

ANAFIELAS.

ZKSIĘGOWNI  
FELIKSA  
ARMATOWICZA.

a.D.  
POGRANICZE -

№ 8277<sup>v</sup>

[w kancelarii]

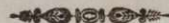
САЛЕИТАНА

WILNO  
1846

**ANAFIELAS.**  
**PIEŚNI Z PODAŃ**  
**LITWY.**

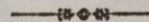
PRZEZ

**J. I. KRASZEWSKIEGO.**



**PIEŚŃ PIÉRWSZA.**

(Z 50 Drzeworytami).



**Wydanie Adama Zawadzkiego.**

**WILNO.**

**NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.**



**1846.**

ANATIELAS

PRZECHYBNI S PODAWI

PIETWY

WILNO

J. J. KAWKASZCZAKOWSKI

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1842 r., 11 Julii.

Cenzor JAN WASZKIEWICZ.

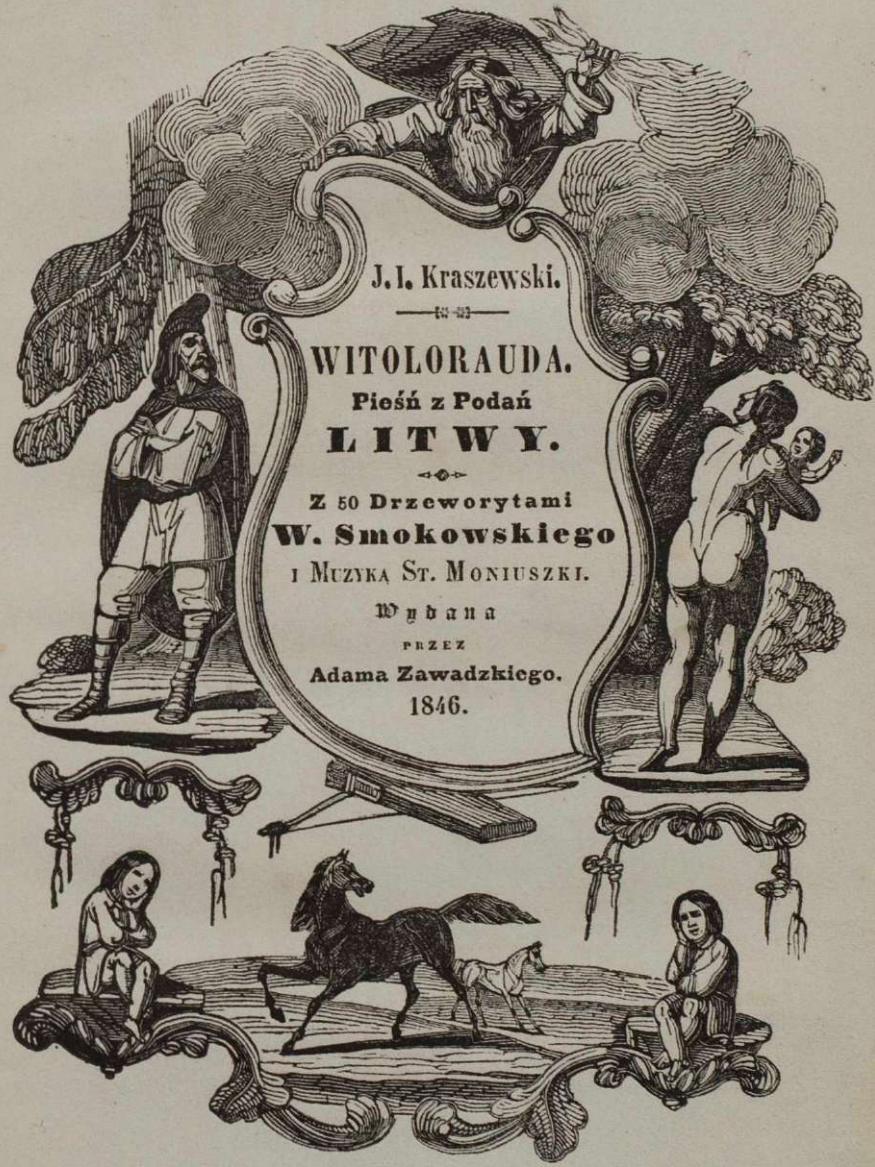
(X 50 Drukarni)



Wydawnictwo Adama Kowalskiego

WILNO

Wydawnictwo i drukarnia Józefa Waszkiewicza



J. I. Kraszewski.

— — —  
**WITOLORAUDA.**

Pieśń z Podań

**LITWY.**

— — —  
Z 50 Drzeworytami

**W. Smokowskiego**

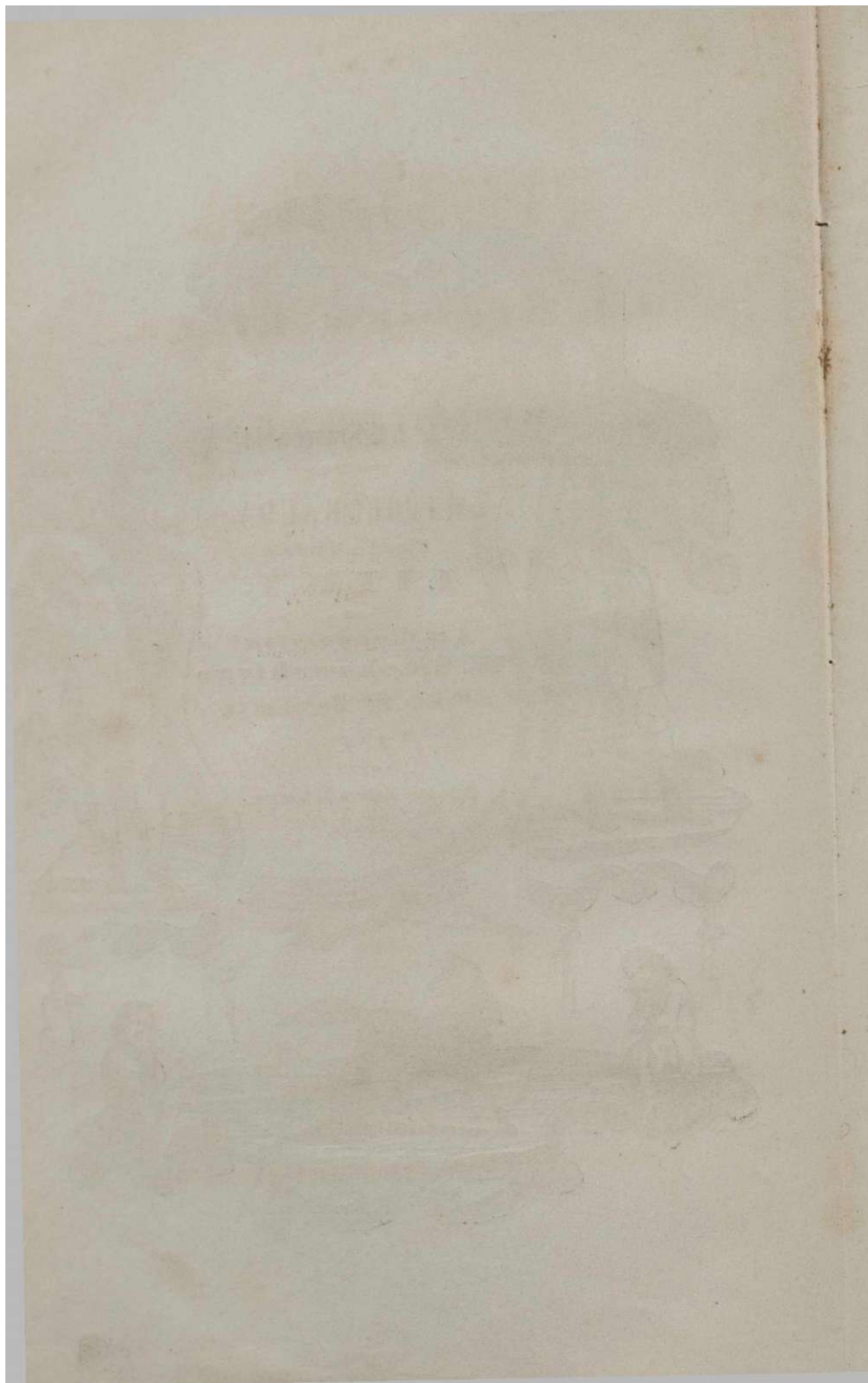
I MUZYKA ST. MONIUSZKI.

Wydana

PRZEZ

Adama Zawadzkiego.

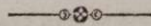
1846.



# WITOLORAUDA.

PRZEZ

**J. I. Kraszewskiego.**



**WYDANIE DRUGIE,**

przerobione i powiększone.

Z 50 Drzeworytami oryginalnemi

Wincentego Śmokowskiego

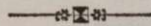
*b. Prof. Malar. b. Ces. Wil. Uniwer.*

i

**MUZYKA**

**DO RAUD I PIOSENEK**

**Stanisława Moniuszki.**



Asz padajniusu dajnu dajneles  
Asz dajnu bernuzelys ;  
Asz adarysiu dajnu skrineles  
Palejsu yi lustely.  
...

---

W i l n o.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.



1846.



WYDZIAŁ

K. L. Krawcowickiego.

WYDANIE DRUGIE

przebiegów i powikłań

z 50 ilustracjami oryginalnymi

Wydawnictwo Lekarskie

W. P. Krawcowicki

WYDZIAŁ

DO RĄD I PISZCZYK

Stanisław Mielnicki.

Wydawnictwo Lekarskie  
W. P. Krawcowicki  
W. P. Krawcowicki  
W. P. Krawcowicki

Wyd. 1111

Wydawnictwo Lekarskie W. P. Krawcowickiego.

1924

## Spis Drzeworytów

oilltityeli oinulmii «lo Hitoloramly.

-<88«8»-

1. <i>Milda z Itomoiscm w świętym gaju</i> . . . . .	do str.	1(1
2. <i>Kijola z małym /fitoh-m na ręku u wrót Ermminy</i> . . . . .	— —	-45
II. <i>Jfitol w lesie przed Mildą w obłoku</i> . . . . .	— —	111
4. <i>Mildu przyprowadza Jfitola do tirewc I*rcweity/w Iiom- no we</i> . . . . .	— —	i01
5. <i>Wlot spotyka Grujtasa w postaci pielgrzyma po wyj- ściu z Iiomnowe</i> . . . . .	— —	140
0. <i>Jfitol na moście prowadzącym do zamku Jtaudona</i> . . . . .	— —	163
7. <i>Jfitol stawia się śmiało przeciw całemu orszakowi Ran- donn</i> . . . . .	— —	108
8. <i>Jfitol spoczywa w zamku Jtaudona po odniesionem nad nim zwycięztwie</i> . . . . .	— —	1'8
W. <i>Jfitol z Jodzicm u grobu ojca swego Homoisn</i> . . . . .	— —	IM

»»»»

## Regestr Muzyki

Stanisława Moniuszki,

ilolącKoieiej «lo WUolorandy.

D)o Hauily I, H, III. IV, V.—*Muzyka przy stronicy* . . . . . 30

l)»o Piosenek: *Hola ptaszki etc.* . . . . . str. 250

— *O! samu nie wiem etc.* . . . . . — 263

— *Oj polecę etc.* . . . . . — 206

— *Itiedna, biedna etc.* . . . . . — 2'2

Muzyka na końcu dzieła.

»\$e40!

.....\*

.....

iv!- ; N <,\* On e\*•)ni 9S.

w i f i i n

i .

**PIOSIEMI** słowy do prostych serc ludu  
Jdę z piosenki), kołatał do duszy,  
I słuchani, pragnąc największego cudu,  
Czy piosnka serca zdrętwiałe poruszy?  
Czy Bogów dawnych i ojców wspomnienie  
Łzę choć wyzebrze, wymodli westchnienie?

B I .

Prosteini słowy śpiewam pieśni stare.  
Na twojej, Litwo, wzrosły one ziemi,  
Sławiły inężtwo, wstyd, cnotę i wiarę,  
I ojców waszych kołysano niemi.  
Pieśni to z mlekiem macierzyńskim ssane,  
Krwia bojów, Izami nieszczęścia skąpane.

**III.**

Pieśni to, które Burtynicy starzy  
 Na ojców waszych nócili pogrzebie,  
 U 1Jogól11 waszym święconych ołtarzy;  
 Pieśni-sokoły, co po waszem niebie,  
 Dopóki słońce świeciło pogodne,  
 Latały silne, wesołe, swobodne.

**• V.**

Lecz wieki przeszły — świątynie zrzucone,  
 Zapadłe groby pług" synowski orze,  
 i zamki klęły siwizną omszone,  
 I wilcy wyją na xiążęcym dworze,  
 A wały grodów, blizny ran zgojone,  
 Dźwigają sosny i dęby zielone.

**V.**

Słuchajcie pieśni! Pieśń ta z grobu wstała  
 Przeszłości waszej dzieje wam wyśpiewa;  
 Na świecie wschodnim pradziadów widziała,  
 I ich się głosem do synów odzywa;  
 Pieśń to urodzin, wesela i bitwy,  
 Starej kolebki, starych mogił Litwy.

WITOLORAUDA .



imzEcu Niemna jest gaj  
poświęcony,  
Stary, jak Litwa, jak  
Litwinów Bogi.  
Niemen ramiony objął  
go sinemi,  
Zielone łąki padły mn  
pod nogi.

Wzgórzem się ciągnie i ku niebu wspina.  
A na wierzchołku, wpośród lip zielonych,

W gęstwinie krzewieni splecionem podszytej,  
 (idzie tylko płacy swobodni mieszkają,  
 A człowiek rzadko dociśnię się kiedy,  
 Jest ołtarz z dania i dzikich kamieni.  
 Wiejski to ołtarz, i wiejskie ofiary  
 Palą się na nim: bo wiele ołtarzy.  
 Wiele po Litwie świątyń pięknej Mildy  
 Tu tylko wieśniak wśród nocy, pocichu,  
 Przyjdzie ukradkiem z ubogą oliarą,  
 Koźlęciem miodem, lub gołębią parą,  
 I sam je spali na Bóstwa ołtarzu;  
 A jeśli dym z nich na Dungus<sup>2</sup> nie wzięci,  
 Jeśli modlitwy Wilda nie usłyszy,  
 To lip Ragany<sup>3</sup> potem jej doniosą,  
 Lub Kauuis<sup>4</sup> karzeł poszeptnie do ucha.  
 A Milda żadną nie gardzi ofiarą,  
 Nikogo zemstą i gniewem nie ściga,  
 Szczęściem nagradza, zapomnieniem karze,  
 Iaz w rok tu z Kowna mnogi lud się tłoczy,  
 Kiedy Karwilis<sup>5</sup> ze snu zbudzi drzewa,  
 Kiedy się Kwiaty w nowe suknie stroją,  
 Łąki w majowe ubierają szaty.  
 Gdy cała Litwa święto Mildy święci,

1. Rn|;ini miłości.

2. Ni'ho.

3. Hóslwn drzew w nich tikryfc.

4. Il. miłości.

^ Miotite *Itwirelfñ*

### 3

I tu naówczas cisną się pobożni.  
Lecz prędko potem zarosną drożyny,  
I znowu przez rok głucho u ołtarza.

Czemuż ten człowiek wpośród nocy ciemnej,  
Codzień tą górą po nad Niemna brzegiem,  
Czy Menes ' świeci, czy noc zajdzie czarna,  
Zawsze posłuszny cierpienióm, nadziei,  
I do Miłdy gaju sam jeden przychodzi?—  
Pewnie go piękna z pod Kowna dziewczyna  
Tu na miłosne zwabiła spotkanie?  
Pewnie to miłość noce w dni przemienia  
I głuchą puszcę ożywia dla niego?  
A może zemsta jeszcze krwią niezłana?  
Może wspomnienia, których tutaj szuka?  
Może pobożność? Lecz tylu ma Bogów,  
Czemuż ten ołtarz samotny polubił?  
Nad brzegiem morza, świątynia Praurymy,  
Na Swintorozie płonie Znicz odwieczny,  
Gdzieś u Dubissy jest drugie Bomnowe,  
W Kiernowie świecą stare Bogów twarze,  
Jest dąb z jemiolą w Zantir u Perkuna,  
W Bikajołh ołtarz kapłana kapłanów—  
Czemuż tam modlić, czemuż do nich prosić,  
Czemuż się kłaniać nie pójdzie lam lepiej?  
Czemuż ten prosty ołtarz wiejskiej Miłdy  
Miłszy mu nawet od świątyń Kowieńskich,

t. Kijiyce.



Gilzie drogi bursztyn wonnemi wstęgami  
Płynie z różami usłanych ołtarzów?

Kto jest ten człowiek? nie poznasz po sukni  
Prosty go ubiór wieśniaka okrywa:  
Na nogach Wiżos<sup>1</sup> z kory wplecione,  
Luk ze strzałami przypięty na plecach,  
A głowę paszcza niedźwiedzia ostania,  
Kudemi włosy jeżąc się na skroni.  
Szłyk jego, odzież, obówie Litwina,  
Jak gdyby z INumy<sup>2</sup> wychodził na łowy,  
Lub wieść o wojnie niósł od Kunigasów<sup>3</sup>  
Do chat wieśniaczych rozpierzchłych wśród lasów  
Tylko mu laski poselskiej brak w dłoni,  
Tylko pośpiechu brak krokom, i czoło  
Chmurą się myśli sępi i osłania.

Znana mu widać dobrze okolica,  
Zatoka Niemna i każda drożyna,  
Każdy krzak róży rosnący nad wodą,  
J każda ścieżka wijąca się w górę.

Idzie — nie patrzy — same idą nogi,  
A myśl daleko gdzieś od niego lata;  
Błądzi tam, kędy białe Murgów<sup>1</sup> cienie

1. Łapcie.

2. Chata.

3. ViqŁat.

I. Iljeci/.y [oli'];l>ih w boju.

## 5

Z ojcami w złotych rogach Alus<sup>1</sup> piją  
I na skrzydlatych rumakach latają;  
Ale za ledwie w lipowy gaj wchodzi,  
Gdzie pod leszczyną słowiki śpiewają  
I białe róże słodką woń rozlały,  
Oczy przed siebie niespokojne zwrócił  
I z obcych myśli otrząsł skroń zmarszczoną.  
Po ścieżce wązkiej i dziko zarosłej  
Drze się po ciemku, aż do Mildorohu<sup>2</sup>  
Cęstemi kilaki szarpie i przemyka,  
Suknię szmatami po głogach rozdziera,  
I ręce krwawi, i piersi kaleczy,  
A ciągle z okiem na ołtarz zwróconetn  
Zdyszany śpieszy, przedziera do niego.  
Przedarł się wreśoie, gdzie ołtarz dokoła  
Zielona łąka otacza kwiatami;  
Stanął; wtem światło z ołtarza zabłysło,  
Jak pierwsza gwiazda na zachodniem niebie,  
Błade i małe; lecz rosło, jaśniało,  
Jak xiężyc młody, lub jak chmurka biała,  
Która go czasem swą szatą osłoni  
I jego blaskiem z nieba się uśmiecha.  
Już ołtarz cały jaśniał mu srebrzysto.  
Światło się coraz zwiększało, mieniło,  
Aż wreszcie postać kobiety przybrało.  
Postać to Bóstwa z uśmiechem na ustach,

1. Piwo.

1. Ołtarz Hildy.

6

Z miłością w oczach, różami na skroni,  
Naga, jak dziecię; w jednćm ręku trzyma  
Czasę z bursztynu, a w niej napój wonny.  
Nie miód to słodki z Kowieńskich pszczoł barci,  
Nie Alus biały, który w niebie pija,  
I nie Mieciones <sup>1</sup>, którym chorych poją:  
Bo woń nieznaną nad nim się unosi,  
Przed którą milczą dzikie róże białe,  
I lipy zapach swych kwiatów schowały.

Ujrzał ją Litwin, ona go ujrzała;  
Postąpił, ona podbiegła ku niemu,  
Czarę na świętym ołtarzu rzuciła,  
A sama w jego objęcia upadła;  
I jak wąż wierzbę opasuje sobą,  
Jak powój, co się na olchach zawiesza,  
Jak chmiel, co ploty miłośnie owija,  
Tak ona jego oplotła uściskiem,  
I drżąc, jak gdyby z boleści, krzyknęła.  
— O Romois — woła — o Romois mój drogi!  
Jeszcze noc jedna, jeszcze noc rokoszy!  
3łoże ostatnia! bo czyż wiem, jak długo  
Miłość się nasza przed Dewajmi <sup>2</sup> skryje?  
O ! jeszcze jedna! dzięki ci i za nią!  
Dzięki, żeś przyszedł jeszcze raz, najdroższy,  
I mocniej kochał, niż się lękał Bogów.—

1. Napój z wywaru krup /. miodem.  
Bodami.

—Jabym się lękał! O Mildo Królowo!  
 Ja, co cię kocham tak, że na skinienie  
 Poszedłbym z Jodsy<sup>1</sup> walczyć w tamte światy,  
 Z Didalisami<sup>2</sup> po czarnych jaskiniach,  
 Ja, cobym wyzwał braci twoich, Bogów,  
 Jabym się lękał!—

—Cicho! Bomois! cicho!

O! nie wiesz, nie wiesz, jak straszne są Bogi!  
 Chcesz walczyć z niemi! Oni i bez boju,  
 Bez łuku, miecza, oszczepu i procy,  
 Na biednych ludzi, gdy zechcą, to skiną,  
 Jednem skinieniem do ziemi przygniotą,  
 Jednem spojrzeniem słabego zabiją.  
 Cicho! bo gdyby głos twój usłyszeli,  
 Naówczas noc ta byłaby ostatnią;  
 Ostatnią szczęścia, a pierwszą boleści;  
 Żalu bez końca i łez nieśmiertelnych.  
 Cicho! Bogowie każde słowo słyszą.  
 Poszept ich każdy uszu dolatuje,  
 Każdą myśl ludzką przynoszą im duchy.  
 Bagana jaka, co w drzewie podsłucha,  
 Żaltis<sup>3</sup>, co się gdzieś czołga pod liśćmi,  
 Woda, co płynie, Pucis<sup>4</sup>, co powiewa,  
 I gdyby światła promyk się przecisnął,  
 Światło, mój miły, nasby oskarżyło.—

1. Złe duchy.

2. Smoki.

3. Wąż.

Wintr łagodny.

## 8

Milda skończyła pocałunkiem mowę.  
Romois zamilkł, na pierś spuścił głowę,  
I w jej objęciu nie o niej już myślał.  
Ona poznała, co się w myślach działo.  
— Miły mój!—rzecze— krótka noc wiosenna,  
A ty choć ze mną, nic mój jesteś cały,  
I myślą smutną ode mnie uciekasz.  
Gdy ja dla ciebie niosę napój Bogów,  
Gdy ja dla ciebie z między nich uciekam,  
Oni tam myślą, że ja po nad ziemią  
Sypię sny słodkie mężom i niewiastom,  
Ze młodych żenię i roskosz rozdaję.  
Jam tutaj z tobą, a ten świat już dawno  
Nie zna miłości. Ja prósb ich nie słucham,  
Nikom w serce miłości nie wleję;  
Wszystkąbym jeszcze odebrała ziemi,  
Ażeby sobie zabrać, oddać lobie.  
O mój najdroższy! wkrótce to poznają,  
Bo w Litwie już się biją, rozzierają,  
W Litwie już niema miłości i zgody.  
Lecz co mi po tem, kiedym ja szczęśliwa!  
Kiedyśmy razem, jam nie siostra Bogów,  
Prosta Litewka i twoja kochanka.  
O, czemuż prostą nie jestem dziewczyną,  
I z tobą zawsze?!—

— Mildo! nie narzekaj.

Co twoim smutkiem, to jest szczęściem mojem.  
Jestże na płaskiej a szerokiej ziemi,

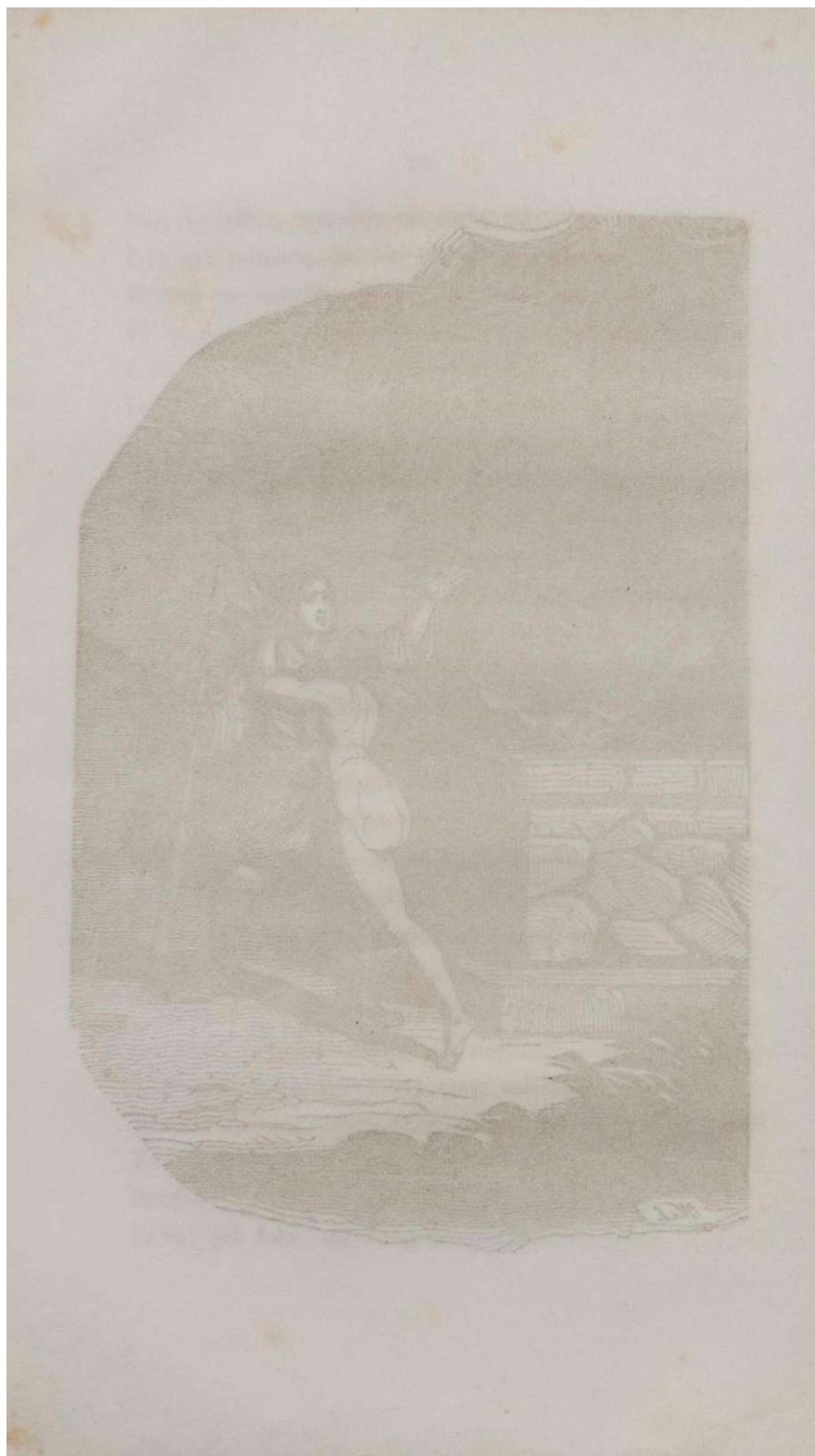
W dziewięciu naszej Litwy pokoleniach,  
Taka, którąbym, jak ciebie, ukochał?  
Pamiętam jeszcze najpierwsze spotkanie,  
Kiedym tu z Kowna przychodził z ofiarą,  
I noc mnie w gaju pod lipą zapadła;  
Pamiętam, gdym cię pierwszy raz zobaczył,  
Wówczas, jakbym się urodził nanowo,  
Pierwszy raz oczy na słońce otworzył.  
Cały świat innym zaświecił przed niemi,  
I inne serce w piersi uderzyło,  
I w oczach jaśniej i weselej było.  
Prędkom się potem, zaprędko dowiedział,  
Żeś ty nie z ziemi, lecz z Bogów krainy;  
Ze gdy ja tutaj wlokę się znudzony,  
Pracując gorzko na spoczynku chwilę,  
Ty w gajach Łajmy <sup>1</sup> królujesz w Dimgusie;  
Ty, w złotej chmurze nad ziemią ciągniona,  
Lecisz białymi gołębiów skrzydłami  
Nad wonne gaje, błyszczące ołtarze.  
Teraz ja jestem jakby Jodsów dusze,  
Skazany cierpieć, i widzieć cierpienia  
Długie, bez końca, w przyszłości przede mną;  
A tobie zawsze lud kłaniać się będzie,  
Palić ofiary, posyłać modlitwy;  
Ty zawsze szczęście niosąc na swych ręku,  
Wzlatywać będziesz nad Litwą wesołą.—  
—Nie bój się Bomois, bo piorun Perkuna,

1. Słońca.

Nim w cielbie, wprzódy na córkę uderzy.  
 I ty nie zginiesz, bo ten napój Bogów  
 Brałem cię naszym nieśmiertelnym czyni.—  
 To mówiąc, Milda objęła kochanka  
 I do ust wonną czarę podawała ;  
 Lecz on odepchnął biały napój Bogów,  
 W ustach jej szukał słodszeo napoju.  
 — Nie chcę—rzekł do niej — nie chcę ja być Bogiem,  
 Nie chcę ja, jak wy, nieśmiertelnym zostać,  
 Ażeby cierpieć bez nadziei końca  
 I patrzeć zawsze w chmurne Bogów twarze;  
 Wolę. tak umrzeć, jak ojcowie nasi,  
 Umrzeć z oszczepem w ręku, w polu bitwy,  
 I pójść do ojców do wschodniej krainy.  
 Nie chcę napoju, bo z twoich ust płynie  
 Słodszy nad ziemi i nieba napoje.  
 Nad wonie jego, miłsze tchnienie twoje;  
 Nad całą wieczność, droższa chwila jedna,  
 Którą ja w twoim uścisku przeżyję.—  
 To mówiąc, Romois na piersiach twarz tulił,  
 A ona, smutno patrząc na niego,  
 •—Miły mój!—rzekła — wkrótce będę matką,  
 Godnego ciebie urodzę ci syna.—  
 — Syna?! mnie syna?! ty masz mi dać dziecię?!—  
 Zawołał Romois i ręce załamał:  
 Ro wieść ta w serce, jak kamień na wodę  
 Rzucony dziecka swawolnego dłonią,  
 Padła; jak fale, lak serce rozbiła.







## II

— Nie chcesz go?—Milda smutnie go zapyta.  
— Ja, syna nic chcieć?! lecz gdzie się z nim skryję?  
Kiedy w nim będzie clióć iskra niebieska,  
Czyli/, go Pramzu nie dojdzie na ziemi?  
Czyliż żyć dadzą swój hańby pamiętce?  
Czyż go potrafię wychować, obronić,  
I ja, człek jeden, od Bogów zasłonić? —  
— O mnieś zapomniał— wszak matkę mieć będzie.—  
— Gdzież się z nim skryję? kędy go podzieję?—  
— Ty bylebyś go od Rogów oblicza  
Przez młode lata potrafił zasłonić,  
Świat nic Boskiemu nie zrobi dziecięciu.  
Wilk go i niedźwiedź przyjmą w dzikim borze,  
Pszczoły miód w usła nosić będą białe,  
Lanie go karmić, koźłeta go bawić,  
Pucis go chłodzić, Ragany okrywać,  
Kwiaty się kłaniać, słowiki mu śpiewać.  
Syn Mildy z ręki ludzi nie zaginie,  
Ani paszczką zwierz go dotknie krwawą.  
Jeden ma straszny jest piorun Perkuna.—  
— Lecz czyż go Perlem, co z góry pogląda,  
Pomiędzy dziećmi ludzi nic odkryje?—  
— Będiesz go chował wśród puszczy głębokiej,  
Zdała od oka wróżbitów, kapłanów,  
Zdała od miejsc tych, w które Perkun patrzy,  
Póki nie wzrośnie, nie nabierze siły;  
Potem go oddasz woli przeznaczenia.  
On sam potrafi walczyć z swoim losem.

## 12

O Romois! czyliż dla twego dziecięcia  
W miłości ojca nie znajdziesz osłony,  
W ojcowskiej trwodze nie znajdziesz ukrycia??  
Już czuję, jak on na świat się wrywa.  
Jeszcze dzień tylko, a spojrzysz na słońce.  
O! czemuż dłużej nosić go nie mogę?!  
Czemuż zaledwie pierwszy raz zapłacze,  
Już obca ręka usta mu zatuli  
I piersi obce pokarm mu podadzą?!  
Cierpienie matki w urodzenia chwili  
Stokroć jest mniejsze, jak drugie, gdy potem  
Dziecię jej losy na wieki odbiorą,  
I ten, którego pod sercem nosiła,  
Co żył jej życiem, od niej oderwany,  
Twarzą ku światu zwróci się cudzemu,  
Myślą ku ludziom obcym się nakłoni,  
Sercem za sereniń nieznanych pogoni.—

Gdy im w uściskach, rozmowie czas płynie,  
Noc uszła prędko i Aussra<sup>1</sup> już wstaje,  
Błyszcząca toczy na niebo od wschodu,  
I już jej promień do lasu zagląda.  
Ujrzał go Litwin, zerwał się wybladły,  
Wskazał na niebo rumieniące w dali,  
Wyrwał z uścisku i z gaju ucieka.  
Ale już Aussra ujrzała ich wprzód,

t. Jutrzenka.

### 13

Ujrzała Mildę w objęciu człowieka;  
Bieży w obłoki, gdzie Dungus gwiazdzisty  
Po nad wysoką górą się rozpina.  
Tam Perkun w chmuracli, w których śpią pioruny,  
Leży, patrząc na świat pod nogami,  
Jeszcze ciemnością i snami spowity,  
Jeszcze na łonie nocy kołysany.  
Aż Aussra wbiega, rozdziera podwoje,  
I przed Perkunem zrumieniona staje.  
Groźny Bóg okiem przed siebie zatoczył,  
I brwi namarszczył, ujrzawszy Boginię.  
— Cóż to? ty tutaj, gdy czas na świat tobie?—  
— Wracam ja zlamtąd, Ojczy! Com widziała!—  
Rzekła, i oczy złociste zakryła.  
— Cóżżeś widziała?—groźnie Perkun woła,  
I wskazał na świat.

— Ojczy! straszne rzeczy!

Wiesz, gdzie jest Miłda?—

— Zapewne na ziemi.—•

— Prawda, w swym gaju; lecz co ją tam trzyma?—

— Noc, to jej pora. W niej serca rozgrzewa,

I usta spaja, i sypie roskosze.—

— Ona! A spójrzcie, co się w Litwie dzieje!

Niema miłości, ni małżeństw, ni zgody.

Ona w swym gaju nie oiiar wygląda,

Lecz u ołtarza pieści się z człowiekiem !!

Oboje razem widziałam przed chwilą,

Kiedy zaledwie uścisk ich się zrywał,

**.14**

A świętokradzca uciekł Niemna brzegiem.  
Ojczy mój! kary na Mildę! piorunu!—

Zatrząsł się Perkun, zagrzmiały niebiosą,  
I góry wschodnie zadrżały w posadach,  
Czarne się chmury na wiatrach podniosły,  
I warcząc, burze i zniszczenie niosły.  
Wszyscy Rogowie pobledli, a ludzie  
Zbudzeni ze snu, padli na modlitwę.  
Porwał się ojciec, i co w ręku trzymał,  
Z gniewem wyrzucił na przelękłą ziemię.  
Leciał słup ognia i utonął w morzu,  
Aż morze prysło, ziemia się strzaskała.  
— Gdzież jest ten człowiek? gdzie Milda?—zawołał;  
I wnet dwa duchy z pod nóg jego wstały;  
Skinął—już oba na ziemię leciały.  
Aussra na nieba znowu śpieszy wschodnie,  
Ażeby słońce wstające z kąpieli  
Uprzedzić chwilą i światu zwiastować.  
Tymczasem niebo chmurzyło się, wrzało,  
Słońce wschodzące w obłok się nurzało ;  
Z północy, wschodu, zachodu, południa,  
Czarne osłony kryły niebo jasne;  
W chmurach już Perkun huczał groźbą straszną,  
Przed której głosem, co żyje na ziemi,  
Od drobnych muszek aż do dębów świętych,  
Tuląc się, płaszcząc, zginało i drżało.

.15

Dwa duchy w chmurach leciały na ziemię,  
I, jak dwa czarne słupy, się spuściły,  
I na przeciwne strony się rozbiegłszy,  
I w rękach wialni winnych pogoniły.  
Grajtas<sup>1</sup> od Mikij gaju się zawrócił,  
Puszczą się łamiąc, jak ogar za zwierzem,  
A w drodze drzewa walił po za sobą,  
Wysuszał błota, wodą zlewał pola,  
Piaskami kręcił, mącił rzeki do dna.  
Po nad nim chmury, jak nad ścierwem krucy,  
Pod nim zniszczenie i postrach leciały.  
Biegł, potem stanął, jakby śladu szukał,  
I niecierpliwy rył ziemię do głębi,  
Kręcąc się w miejscu; potem znowu ruszył,  
I stanął znowu. Romois szedł przez puszcę  
Z oszczepem w ręku i łukiem napiętym.  
Uczuł go Grajtas po woni, uścisku,  
Po tchu zaprawnym Bogini oddechem,  
I warknął w górze, a porem się groźny  
Zwalił na niego, jak dąb na krzewinę.  
I.ecz Romois, jakby przykuły do ziemi,  
Nie zadrzał nawet. Duch podniósł się znowu,  
Dokoła obiegł, cisnął wodą w oczy,  
Piaskiem i błotem, i drzewy całami  
Miolał na niego, jak deszczem na skałę.  
On jedną ręką pociski odpychał,

1. Prędkci.

Drugą, jak gdyby widział zemsty posła,  
Groził, podnosząc twardą ragotinę.<sup>1</sup>

Ale już Grajtas postać swą odmienił,  
Leciał na niego ogromnym niedźwiedziem.  
Podobnego mu nadniemeńskie puszcze  
Od potopowych czasów nie widziały.  
Na grzbiecie czarna sierść mu się jeżyła,  
Oczy, jak głównie nocnego ogniska,  
Łapy, jak dębu świętego gałęzie.  
Stanął, zaryczał; lecz nim padł na niego,  
Już Romois, oszczep podniosłszy do góry,  
Zwalił go w głowę i czaszkę roztrzaskał.  
Wnet Grajtas zrzucił z siebie meszki<sup>2</sup> posiać,  
I znowu dzikim wilkiem się ukazał.  
Zawył, padając pod Romoisa nogi.  
On krok odstąpił, ragolinę rzucił,  
Oburącz zwierzę za gardło pochwycił,  
Strząsnął, i o pień odwiecznego dębu  
Nieprzyjacielem z całych sił uderzył;  
A w oczach jego nie przestrasz milczący,  
Lecz gniew wrzał zjadły, z jakim straszne Rogi  
W chwili nieszczęścia na ziemię patrząją.  
A Grajtas jeszcze przywdział smoka postać,  
I jak Didalis<sup>3</sup> w powietrze się wznosił.  
Żółtą miał głowę, koronę na głowie;

1. Oszczep.
2. Niedźwiedź.
3. Smok.

Łuskowy pancerz połyskał na grzbiecie  
 I ogon w sploty zwinięty okrywał;  
 Na barkach skrzydła skórzane rozpięte,  
 Pod brzuchem dwoje orlich szpon wisiało.  
 Świsnął, a ptacy padali nieżywi,  
 I zwierz przelękły gnał się w knieje ciemne.  
 -Ujrzał go Romois, lecz się już nie bronił;  
 Uczuł, że ludzką nie zmoże go siłą.  
 I próżno walczyć, i paśćby wstyd było.  
 Porwał swój oszczep, ostrzem w pierś skierował;  
 A nim smok z góry spuścił się na niego,  
 Trup tylko krwawy drgał, leżąc pod drzewem.  
 Grajtas zobaczył, gdy duch ulatywał,  
 I znowu wichrem w niebo się zawrócił.

Drugi brat olbrzym gonił Mildy śladem.  
 Lecz Kierszus<sup>1</sup> cięższą obrał część dla siebie:  
 Ko któż wysledzi, kto Bóstwo odkryje,  
 Co tysiąc kształtów, tysiące postaci  
 Zmieni na chwilę w jedno oka mgnienie,  
 Światy przeleci i mija przestrzenie?  
 Kierszus się ubrał długą szatą chmury,  
 I czarnem okiem mierząc ziemię z góry,  
 Napróżno badał znikłej Mildy śladów.  
 To na południe twarzą się obracał,  
 To ku północy wybiegał zajadły,  
 To do zachodu z wiatrami się gonił,

1. Mściwy.



I wracał na wschód, a wszystko napróżno.  
Nareście drżący od gniewu i znoju,  
Wrócił na Dungus, padł u stóp Perkuna,  
I warczał tylko, nie śmiejąc przemówić.  
— Zkąd wracasz?— spytał straszny Bogów ojciec.  
— Biegłem za Mildą, byłem na północy,  
Byłem na świata południowym kraju,  
I tam, gdzie słońce do kąpieli schodzi,  
I kędy ze swych wyjeżdża pałaców.  
Nigdzie jej śladu, nigdzie po niej znaku,  
I wieści nawet nigdzie nie złapałem.—  
A Perkun skinął, i Kierszus pod nogi  
Padł znowu, jak pies na skinienie pana.  
Grajlas czekając, aż go ojciec spyta,  
Podnosił głowę i palrzał mu w oczy.  
— Cóż ty zrobił? Gdzie teraz ten człowiek?—  
— Leży zabiły w nadniemeńskiej puszczy—  
Bzekł, i pod stopy pana się położył.

Milda wybiegła ze świętego lasu,  
I zaraz mieniając piękną postać swoją,  
Niepostrzeżona, to gwiazdą leciała,  
To listkiem, wiatrom unosić się dała,  
To w chmurach deszczem wilgotnym przesiękłych  
Skryta, nie wiedząc, gdzie się kierowała.  
W sercu jej smutno, ciężko, niespokojnie,  
A w łonie dziecię gwałtownie się rzuca;  
Głowę myśl ściska, ciało mróz przejmuje.

## .H>

Choć nieśmiertelna, a jednak się lęka,  
Ilo nadzwyczajną boleść w sobie czuje.  
W chwili, gdy Grajtas, rozpostarłszy skrzydła,  
Smokiem się z góry na Ilomoisa rzucał,  
Kiedy pierś jego oszczepem rozbita  
Ze zwłok zmęczonych uwolniła ducha,  
MiIda uczuła śmierć swego kochanka.  
Duch jego lecąc do wschodniego kraju,  
Zaszumił blisko i mignął kolo niej.  
Lecz tyle strachu było w sercu Mildy,  
Że nowa boleść już jej nie dotknęła.  
Spojrzała tylko, jęła i leciała—  
Gdzie?—sama nie wie. A chmury ją niosą,  
A nad nią niebo zagniewane, czarne,  
Milczące, jakby przed burzy nadejściem.

Nagle jej dziecię rzucając się w łonie,  
Obudzą Mildę z zdrętwiałej rozpaczey.  
Czuje, że wkrótce da życie synowi,  
Że czas mu począć ulrapione życie,  
I malce z nim się na wieki rozdzielić.  
Lecz gdzie go złoży? komu go powierzy?  
I gdzie się skryje, by go na świat wydać?  
Myśli, wiem pamięć przychodzi jej w smutku.

Wgłębi Pragaras <sup>1</sup> jest Poklus, Dóg zemsty.  
Twarz jego blada; słupem oczy stoją;

1. Pielilo.

Na głowie siwy włos płachtą pokryty;  
 Czerwona hroda na piersi mu splywa,  
 W których litości nie znajdziesz kropelki.  
 On męczy duchy, gdy wynijdą z ludzi;  
 On zbrodniów straszyc zstepuje na ziemie;  
 On trzykroć stajac w oczach wystepnemu,  
 Grozi mu poty, az krwawą ofiarą  
 Gniewu i zemsty jego nie przeblaga.  
 Wladzca otchlani ma zone Nijołę.  
 Niegdyś on sercem namiętnem ją kochał;  
 Lecz młodą jeszcze uniósłszy od matki,  
 W zastygłym sercu miłość dla niej stracił,  
 I zamiast raju, który obiecywał,  
 Dręczył Nijołę, jak podwładne duchy.

Nieraz już ona zbiegłszy pokryjouiu,  
 Prosiła Mildy, by kroplę miłości,  
 Choćby kropelkę wlała w serce męża,  
 I osłodziła wieczność ulrapioną,  
 Bez końca i bez nadziei męczarnie.  
 Lecz wówczas Milda, Bogini roskoszy,  
 Nie chciała zstąpić na chwilę w otchłanie.  
 Milej jej było nad Kownem wzlatywać,  
 Miłośnych Dajnos ' słuchać z Niemna brzegów,  
 Z ołtarzy wonne odbierać ofiary,  
 I sypiąc szczęście, krążyć po nad ziemią,  
 Błogosławieńslwy i dzięki się pojąc.

Teraz, gdy Milda boleści poznała,  
Kiedy już nad nią ręka ojca mściwa  
Wisi i grozi nieuchronną karą,  
Kiedy się niema schronić gdzie z dziećciem,  
Wspomniała przecię na prośby Nijoły.  
Może Romoisa duch lecąc w tę stronę,  
Za sobą biedną pociągnął kochankę.  
W chwili się z chmury zsunęła ku ziemi,  
I już przed wroty Pragaru stanęła.

    Nie było straży u wejścia otchłani:  
Ho wszystko od niej zdała uciekało,  
Duchy wysoko po nad nią leciały,  
Zwierzęta wrota straszliwe mijały,  
I ludzie mimo przechodzić nie śmieli;  
A duchy do niej wepchnięte za karę,  
Przykute w głębi na wieki, jęczały,  
I wrót już więcej nigdy nie widziały.  
Z paszczy otchłani buchał jęk stłumiony,  
Jakby tysiąca nieszczęśliwych głosy,  
Którzy po bitwie na polu konają,  
I śmierci prędkiej, cierpiąc, wyzywają.  
Milda drząc w progi piekielne wstąpiła.  
Pierwszy raz jeszcze w nieśmierteluem życiu  
Słyszac, jak jęczy, jak wola cierpienie,  
Wybladła, w otchłań głęboką leciała,  
Drżąc, jak listek osiny od burzy,  
Pomiędzy duchów uwięzionych tłumy,

Których jęk w smutnein sercu się odbijał,  
Dwoił w nieni, ścisnął przestraszoną duszę.  
Stanęła wreszcie przed Poklusa żoną.



Lecz w niej zaledwie Boginię poznała.  
Błade jej lica męczarnie zorały ;  
Włos miała siwy i oczy przygasłe;  
Kłosisly wieniec usechł na jej skroni ;  
I szata czarna, pomięta, zbuczona,  
Tuliła kości od boleści wyschłe;  
Łono zapadłe i wychudłe ciało;  
Na dłoni sparte utrzymując czoło,  
Głęboko, smutnie w przeszłości dumiała,  
Że Mildy nawet wejścia nie słyszała;  
Lecz jakby bytność Bogini przeczuła,  
Oczy ożyły, wzrok się zapromienił,  
I oddech prędszy podniósł piersi wyschłe.  
Zadrzała Nijoła, i zwróciwszy głowę,  
Padła przed Mildą z krzykiem na kolana.  
•—Przecież ty tutaj! litość cię prowadzi!  
Patrz na mnie, siostrze! Jam tu, jak te duchy,  
Jak Jodsów dusze, w otchłani przykuta,  
Cierpię, i nie wiem, za co te cierpienia!  
Cierpię, i nie wiem, kiedy koniec męce!  
Siostrze! miej litość! Ty skinieniem jednym  
Możesz odmienić los i nędzę moję  
W szczęście, jakiem się lobie mili poją!—  
—Co zechcesz, każesz—Milda jej odpowie—  
Zrobię ci wszystko; lecz, siostrze, jam sama,  
Jak ty, dziś biedna! jak ty! stokroć gorzej!  
Na mnie już Perkun pioruny gotuje,  
Za mną olbrzymi wysłani latają;

Tu nawet mogą napaść mnie ukrytą.  
O! nie ja ciebie, ty mnie ratuj, siostró!  
Mego kochanka zabił ojca poseł.  
I za mną gonią; a choć nie zabiją,  
Dziecię mi wydrą, rzuca gdzie w przepaści,  
Na dziką wyspę, między dzikie zwierzę,  
A mnie za karę na morza wygnają,  
Wkują do łodzi bez wiosła i steru,  
Na całą wieczność płakać, i łzy moje  
Mięsząc z białego morza słoną wodą.  
Ja ciebie błagam, ratuj mnie, Nijoło!  
W serce Poklusa wszystką miłość wleję;  
Co mam, ci oddam: młodość nieśmiertelną,  
Roskosz, nadzieje, co chcesz, czego pragniesz;  
Ja twoje włosy zsiwiałe odżywię,  
Serce rozgrzeję, lica zarumienię,  
Ciało odżywię i młodość przywrócę,  
Lecz ocal dziecię! ocal dziecię moje!  
Błagam cię, siostró!—To mówiąc, upadła,  
Wzywając Łajmy, rodzących Bogini,  
I łak, jak prosta niewiasta, jęczała.  
Ale nie boleść jęki jej wyrwała:  
Ona już syna trzymając na ręku,  
Łzami tak jego oblewała przyszłość,  
Nad ojca losem i nad nim jęczała.

— Siostró! weź — rzekła — weźmij mego syna.  
Niech go gdzie prosta kobieta wychowa;

Niecli nie wić, kio ma ojcem, a kto matką;  
Niech illugo nic wie! Ja po nad nim zdała  
Będę czuwała macierzyńskim okiem.  
Dając mu życie, ciężki los mu dałam;  
Serca o przyszłość wówczas nie pytałam;  
Ale do walki ja udzielię siły.  
Wzrośnie on! wówczas drzyjcie nawet Bogi !  
Olbrzymy! Indzie! uderzcie mu czołem!  
Wszystkich Oll ziemi mieszkańców zwycięży.  
Króle i dachy zdumieni upadną  
I harde głowy u stóp jego skłonią.  
W kolebce wrogi mogłyby go zdusić.  
Ty, siostrze, ukryj niepoznane dziecię;  
A za to jakiej zapragniesz ofiary,  
Jakiej zażądasz ode mnie nagrody,  
Wszystko dla ciebie, dla niego uczynię!—  
Rzecz Nijoła: — Wróc mi męża miłość!  
Ja syna twego ocalę, ukryję,  
Najlepszej straży tajemnie poruczę,  
I za to tylko chcę kroplę miłości.  
O! gdybyś mego życia tajemnice,  
Mąk moich wszystką okropność wiedziała!  
Co mi z tych ofiar, które ludzie święcą?  
Co mi z tych modłów do mnie się cisnących?  
Co mi z ołtarzy, które biedni stawiają?  
Lepiej mi było, gdym nie żoną Boga,  
Lecz wolną była litewską dziewczyną.  
Krumine matka próżno się cieszyła,



I z mej młodości na przyszłość wróżyła  
Mnie szczęścia wiele, a sobie pociechy.  
Porwał mnie Poklus z po nad brzegów Rosi.  
Płakałam biedna, lecz nie dzisiejszemi,  
Nie teni Izami, któremi dziś płaczę.  
Tamto Izy były za malką kochaną,  
Dzisiejsze moje za przeszłością całą.  
W początkach jeszcze los mój był znośniejszy,  
Choć już nie taki, jaki był u matki,  
Kiedy po łąkach zielonych biegałam,  
I w Izy nie wierząc, z cudzych łez się śmiałam.  
Wówczas ja byłam młodą i szczęśliwą,  
Póki z nad Rosi przekłętogo brzegu  
Poklus przez sine nie ujrzał mnie wody,  
I do otchłani nie porwał za sobą.  
Rok ledwie cały w piekle mi upłynął,  
Zaledwie matka z odwiedzin wróciła  
Królować w swoim po nad Rosią kraju,  
A szczęście moje zaraz się zmieniło,  
Zsiwał włos wcześniej, Izy oczy wyjadły,  
Westchnienia piersi dziewicze rozbiły,  
Ciału zabrakło i zdrowia i siły,  
A duszy szczęścia, którem człowiek żyje.  
Poklus ode mnie dzieci poodbierał  
I miłość swoją odebrał na wieki,  
Samą mnie tylko z pamięcią zostawił!  
O siostró! wróć mi choć kroplę miłości!  
Wróć, jeśli możesz, szczęście choć na krótko!—

A Milda rzekła, wyciągając ręce:  
 — Podaj mi czarę, z której Poklus pije.—  
 Nijoła spiesznie złoty róg podała.  
 Bogini nad nim długi włos czesała,  
 Szeptala słowa i czyniła znaki.  
 — Z tej czary — rzekła — gdy Poklus wypije,  
 Znowu cię pierwszą miłością pokocha.  
 A miłość jego już nigdy nie minie.  
 Teraz weź syna! Ja na Dungus leczę;  
 Tam sama stanę w groźne ojca oczy;  
 A jeśli na mnie piorunem uderzy,  
 Jeśli na wieczne męki mnie odrzuci  
 I nieśmiertelną do Pragaru skaże,  
 To syn mój, syn mój przynajmniej zostanie;  
 A może kiedy za ojca, za matkę,  
 Może się pomści.—

To mówiąc, sciskała,  
 ]Nie mogąc jeszcze z dziecięciem się rozstać;  
 Rzuciła potem na ręce Nijoly,  
 I jęcząc, oczy od niego zwróciła,  
 Żeby nie widząc, łatwiej go porzucić.  
 Leciła, więcej nie zwracając głowy,  
 A drogę łzami srebrnymi skrapiała;  
 I gdzie łza padła, kwiat wyrósł na ziemi,  
 Z spuszczoną głową, a listki blademi.

STANĘŁA drżąca Milda przed Perkunem.  
Wokoło niego siedzieli w milczeniu  
Bogi, Boginie i niebieskie duchy.  
Wszyscy zadrżeli, gdy na Dungus weszła;  
Zdziwienie usta otwarte zamknęło;  
Szmer nawet ucichł; i jak się przed burzą  
Ciszy szum wiatrów i chmur kołysanie,  
Tak w niebie wszystko głębokiem milczeniem  
Okryte, burzy czekało ze drżeniem.  
A Milda, ziole rozpuściwszy włosy,  
Z rozdartą suknią, z zapłakanem okiem,  
Śmiała stanęła przed ojca obliczem;  
I jakby sądu bezbronna czekała,  
Niema, wśród Bogów zadziwionych stała.

Wtem Pramżu, który wie, co jest i było,  
Pramżu, którego sam Perkun szanuje,  
Stary jak światy, a mądry jak wieki,  
Podniósł głos cichy wśród milczących dzieci.

2!)

— Synu mój!—rzecze, patrząc na Perkuna—  
Na przeznaczenia kamieniu wyryto,  
Że Milda będzie raz kochać człowieka,  
Że się z niej wielki bohater urodzi,  
I że Bogowie tę miłość przebaczą.  
Wiesz, że co ręka Przedwieczna wyryła,  
Żaden z nas tego, synu, nie przemoże;  
Ani ty, ni ja, nie zmienim wyroku.  
Nie sądzmy Mildy. Ona już skarana:  
Ten, co ją kochał, wszak leży zabity,  
I czoło wstydem zranione, i dusza  
Boleje ciężko na przestępstwo swoje.

A Perkun zadrżał, piorunami strząsnął,  
I wzrok rzucając na Mildę gnicwliwy,  
—Nie!— rzecze.—Jeśli kamień przeznaczenia  
Nosił le słowa, wyryte od wieka,  
Że Milda syna mieć będzie z człowieka,  
Że Mildzie Bogi jej zbrodnie przebaczą,  
Niema lam pewnie dziecku przebaczenia!  
Niech powie, gdzie je rzuciła kryjomo.  
Porwać je zaraz i utopić w morzu,  
Albo na pastwę dać dzikiej potworze.  
Wówczas swobodna na Dungus powróci.  
Jeśli nie ona, niech dziecko nieprawe,  
Zrzucone z ziemi do otchłan Poklusa,  
Tysiąc lat płacze nad matki występkiem.  
Tak, Pramżu! jeśli jednemu przebaczym,

Wszyscy ztąd pójdą po kochanków ludzi,  
I świat zarzucą olbrzymów potomstwem,  
Które się kiedyś na Dungus dobędzie.—

A Pramżu, siwą pogładziwszy brodę,  
Rzeki znowu:

— Synu! daj pokój dziecięciu.  
Jest napisano na odwiecznym głazie,  
Ze go i Perkun nawet nie zwycięży,  
Aż on wprzód wszystkich na ziemi połamie,  
I imię swoje na świat cały wsławi.  
Gdy nie mu zemsta twoja nie zaszkodzi,  
Za cóż go nękać, jej serce rozdzierać?—

— Jest napisano, że ja, pan piorunu,  
Ja, co gdy w ziemię uderzę, drży cała,  
Ja, co gdy ześlę dwóch tylko olbrzymów,  
Morza jej z brzegów na ludzi wyleję,  
Ja, co skinieniem gniotę głów tysiące,  
I, jak robactwo, oddechem wymiatam,  
Ja nie nie zrobię? i komuż? dziecięciu?!

— Jest napisano na przeznaczeń głazie.  
Tego wyroku nikt z nas nie odmieni.—  
Słyszac to Milda, dziękowała Pramżu  
Pocichu sercem, wzrokiem i westchnieniem;  
A polem śmielsza o dziecię kochane,  
Groźnemu Bogu w oczy przystąpiła.  
— Ojczy mój!— rzekła — lakżeś to dziecięciu,  
Takżeś to Mildzie, córce twojej, srogi?

Czyżem na laką zasłużyła karę,  
Że raz w lal tysiąc, ja, co miłość daję,  
Ja, co nią życie na ziemi osładzam,  
Rzucając między tyle cierpień, znoju,  
Żem jej dla siebie jedną kroplę wzięła?  
Czyż wina moja nie do przebaczenia?  
Bogini morza kochała rybaka—  
Piorun twój, Ojcze, strzaskał jej pałace  
I nad wodami odebrał królestwo.  
Toż będzie ze mną? toż będzie z dziećciem  
Nigdyż nikomu nie przebaczysz? Ojcze!  
Człowiek przez twego posła dziś zabity,  
Wart był miłości. Nie prosty to wieśniak.  
Oblicze Boskie w urodzenia chwili  
Dała mu Lajma, i duszę tak czystą,  
Jak duchów, które na Dungusie siedzą.  
Romois, Perkunie, wart był lej miłości,  
I on się do niej przeznaczony zrodził.  
Jak on, drugiego nie widziała Litwa;  
Od tego morza, co jej brzegi płóce,  
Aż po te drugie, którem świat się kończy,  
Jak on, drugiego nigdy nie zobaczy.  
Za cóż mnie karać? za co dziecię moje?  
Jeśli kio winien, winno przeznaczenie,  
A po niem, Ojcze, nie dziecię—ja, matka!-

A Perkun na to zawoła ze złością:  
—Twój syn się kiedyś, jako syn Rogini,

W niebo bić będzie. Ziemia mu zamała,  
Świat mu zaeiasny i morza zapłyłkie;  
Wszystko tam będzie dla niego nikczemnem.  
Zechce tu głową dostać do Dungusu,  
Pod nogi moje będzie bił ciemieniem,  
A wówczas może i ja go nie zmożę.—  
•—Ojczy mój! syn to słabego człowieka.  
On nigdy wzrokiem nie sięgnie wysoko.  
Dosyć mu będzie świata, wody, ziemi.  
Nigdy on nad to więcej nie zapragnie!—  
—Jeśli po ojcu wziął serce potomek,  
On tak, jak ojciec, sięgać będzie Bogów.  
Nie! ścigać za nim będą duchy moje.  
Gdziekolwiek Grajtas to dziecię odkryje,  
Niech je utopi, zamęczy, ubije,  
Niech je do morza głodnym rybom rzuci,  
Niech puszczy zwierzętom odda na pożarcie,  
Lub duchom w piekiel zapędzi otchłanie,  
Byleby wstyd ten nie mieszkał na ziemi.  
Tobie przebaczam, lecz nigdy dziecięciu.  
Biada mu, jeśli Grajtas je odkryje!  
Puszczam go za niem, jak za dzikim zwierzem  
Puszczają strzelcy zajadłe ogary.  
Niechaj przetrzęsie ziemię z końca w koniec,  
Niechaj go szuka wszędzie, i w otchłani,  
I w głębi wody, na puszczech u zwierza,  
Gdzie tylko żywych głos jaki usłyszy,  
Gdzie ziemia rodzi, a twór jaki dyszy.—

Słyszac lo Pramzu, polrzasz głowę siwą,  
I milezał stary, a mówił oczami:  
— ISic mir nic zrobi duch zemsty Perkuna,  
Aż wprzódy wszystkich zwycięży na ziemi  
I największego z swych wrogów pokona.—

Mildzie się z oczu srebrne łzy puściły,  
A serce piersią wezbraną rzucało.  
Boleść jej widząc zazdrośni Bogowie,  
Szeptali z śmiechem, zemstą się cieszyli,  
Palcem zajadli, szydząc, wytykali.  
A Grajtas, głowę zwiesiwszy z obłoka,  
Wzrokiem zabójczym patrzył się na ziemię.  
Wtem usnął Pramzu, w Dungusie milczenie,  
Perkun twarz groźną od Mildy odwrócił  
I nogą duchy na ziemię wyrzucił.





**Milda** zleciała z Kau-  
nitem na Litwę,  
Nad martwe ciało  
swojego kochanka.

Łatwo ślad było znaleźć, kędy bieżał:  
Do Grajtas, goniąc, drzewa powywraçał,  
Ho ziemie porył, porozlewał wody,  
Szeroką drogę rozesał za sobą.  
Siadem więc biegła Milda, kędy ciało  
Martwe, bez ducha, wgłębi puszcza leżało.

A tam już ojciec, i bracia, i siostry,  
Nad trupem jego łyż lejąc od rana,  
Kładli stos wielki ze smolnej sośniny.

W dolinie, którą głuchy las otaczał,  
Wpośrodku której pagórek zielony  
Wznosił się darnem i krzewem okryty.  
Na nim leżało łożo Romoisa usiano,  
I zimne ciało z oczu zwróconemi  
Ku wschodniej ojców leżeć miało ziemi.  
Kapłani, z Kowna na pogrzeb wezwani,  
Siedemkroć białym pasem przepasani,  
Mieczem na duchy piekielne machając,  
Krzyżąc, od ciała precz je odpędzali;  
Potem je kładli na wierzchołek stosu,  
Gdzie go już łożo słomiane czekało.  
Na niem w wojennym spoczywał ubraniu,  
Z mieczem u boku, łukiem i oszczepem.  
Na szyi jego ręcznik wisiał biały,  
A w węźle pieniądz na wieczności drogę.  
Przy nim kładziono orężę rycerza,  
Gięty łuk jego, sahadak i strzały,  
Drzewce, oszczepy, i dwa miecze białe,  
Drogie dwa miecze, jakim w Litwie całej  
Może dwóch drugich podobnych nie było,  
Chyba na skarbcu u pierwszego Xięcia.  
Kładli dokoła sprzęt jego wojenny,  
Krzyżąc na duchy starzy Lingussoni<sup>1</sup>;  
A krewni wiedli psy jego najmilsze,  
Riale sokoły, które pieścić lubił,  
Konia siosłrzną karmionego ręką,

1. Kijani pogrzebowi.

I brańców kędyś z dalekiego kraju,  
 Których wziął Romois u białego morza,  
 Gdy z wielkich łodzi wypadli na Litwę.  
 Kapłan miał węgiel ze Znicza ołtarzów;  
 Modląc się, dmuchał i ogień podłożył;  
 A płomień, skwarząc, stos z dołu opasał,  
 I złotem objął dokoła ramieniem.  
 Naówczas dwakroć boleśniejsze głosy  
 Z tłumu się krewnych i przyjaciół wzbity;  
 I Milda, lecąc smutna po nad ziemią,  
 Łzę nieśmiertelną nad stosem wylała;  
 A łza jej padła na piersi zmarłego  
 I pożegnanie ostatnie im dała;  
 A duch je uczuł we wschodniej krainie,  
 I za żywotem westchnął upłynionym.  
 Daleko w puszczy rozległy się głosy,  
 Iaz cichsze, znowu wrzaskliwe, płaczące,  
 To w śpiew zmienione, to w jęki boleści.  
 Krewni z oczyma na stos wlepionemi  
 Taką pieśń smutku z kapłany nócili:

### **I i A II 1) A.**

Czy ci co brakło? czy ci źle było?  
 Po coś nas, bracie, porzucił?  
 Czy głodno w domu, z nami niemiło?  
 Czyli cię z nas kto zasmucił?

pieśni w o m m m m

nui/rL-i S.Hrauiszlu.

1.

.MetlTalo.

(JOT Cłt a to liral.ti,' ciyri zlthyfo'

1.

a  
 er- sr ST  
 tuj nis xiy\ In a lir po .i/u cił? czy płodno wdo mit

ffffi^f  
 -yr- mm g- l-

\* ? J i i ~ 3'  
 i 7.ua iniuemi .-lo' tty li cie z nas kio za suni cał.

; morniai śmeroa Bo la swr^uwmial oanw pk ita. lo wv'

czyś mieniał wtwo jej chacie zapasów? czyś mieniał złożyć gdzie gło  
 wy?

Maestoso. Chór:

Tenori e Bassi.

Po szedł gdzie cie nie

2. *f*

con 8<sup>a</sup> Bassa loco

oj ców wo la ly, na wieczno ści gó ry

c8b.

wschód nie puścić na Jodsów za fru te szwały

3. loco.

pie z o j ca mi A b: lha ly - zwierza u g a mać swo

hod nie.

3. *ff*

Allegretto.

Widzim da cha, na wschód le ci, dziarski pod nim

kon, na nim zbro ja srebrna swie ci, w złotym hel mie

4.

Alfeoro. Jeden olos

]ni e pla< yae po nim, I lin kraj sicohkly, I um oj<ow xijisz< Ji

4. *m*

świat, tam wiecznie silny: na wieki młody nie przeżyje swych  
 Chór.  
 tam ojców naszych świat!  
 lał. Nie płaczcie po nim, je mu tam le piej, bo łachów nie ... ma

5.

i

luut. fin M i ^ - j u i w liip ZJicie,jii, xw<mi lx\* cLaf

bo łachów uiená tam.  
 Chór.  
 tam, ze swéni, ze swéni hę dzie tam, ze swéni, ze  
 swé mi hę dzie tam.  
 Jeden glos. 1<sup>o</sup> 2<sup>o</sup>  
 Z cie

6. molto Agitato, non troppo presto.

5. con 8<sup>va</sup> bassa

Chor.

Już się duch je go

na A nadiel dra pić, po szkiej dro dze szpo na mi jastrzę bia.

pa zu ry wil cze i rysie zaęle bia, a kon drzy, parska i

k A Ni N N J N } K

J N N J > J J ^ j N

z paxzi\_j (ihrar patrzy u u rvce rza, on woóre pa frzy nie

i fly ^ ^ ^

ivr \_ (ba )ocr<wa ly, Tiróo\_xę on pa trzy i luo\_żt

O .to już "wJarl się za ithupsy i ko III0 i su kol le

i trzy ówiazły świecą, i orszak cie. niów wle cze się z nim dłużej,

wszyscy razem na wschód le ca,

wszyscy razem na wschód le ca na wschód le

ca

FINE.



Czyś nie miał w zwierza bogatych lasów?

Nic miał oszczepu na łowy?

Czyś nie miał w twojej chacie zapasów?

Czyś nie miał złożyć gdzie głowy?

Czyśmy cię, bracie, nie dość kochali?

Czyliś niewierną miał żonę?

Czy dzieci twoje cię nic słuchali,

Żeś uciekł w daleką stronę?

Po eóżeś, po co samych zostawił?

Po coś nas, bracie, porzucił?

Malce i żonie serce zakrwawił,

Braci i siostry zasmucił?

## **RA U DA II.**

### **WEJDALOTA.**

Poszedł, gdzie cienie ojców wołały,

Na wieczności góry wschodnie,

Puszcząc na Jodsów zatrute strzały,

Pić z ojcami Ałus biały,

Zwierza uganiać swobodnie.

Rzucam ci na stos rysic pazury,

Jastrzębie i orle szpony.

Niemni się wdrapiesz na strome góry,

Przejdiesz przepaści, przebijesz chmury,

Wejdiesz w kraj ci przeznaczony.

Oto już wdarł sio, psy za nim i siugi,  
I sokol leci, i trzy gwiazdy świecą,  
I orszak cieniów wlecze się z nim długi—  
Wszyscy razem na wschód lecą.

Słuchając pieśni, płakali przytomni;  
A płomień, coraz wyżej wznosząc głowę,  
Konia, i trupa, i psy, i sokoły,  
Gęstemi sploty dokoła otaczał;  
Polem, gdy wialer na dół go odrzucił.  
Czarne na stosie skwarczyły się ciała,  
Których już nawet przyjaciela oko  
I serce matki rozpoznać nie mogło.

A niewolnicy, wyciągając ręce,  
Jęcząc boleśnie, rzucali się z stosu  
Ku swoim żonom, co biedne płakały,  
Ku dzieciom, które na nich zawołały,  
Ku braciom tęsknie patrzącym za niemi;  
I koń się zrywał na pasze zielone  
W stepy i lasy do rżącego stada;  
Psy wyły smutnie za braćmi ogary,  
Brzęcząc łańcuchem, co je w ogniu więził;  
I sokol próżno skrzydły wzniesionemi  
W chmury chciał lecieć z ptaki krążącmi.  
Wszystko płonęło, aż Bomoisa ciało  
Wkrótce się w zgliszce i popiół zmieszało,  
I z niemi razem tocząc się na ziemię,  
Nierozpoznane z przed oczu zniknęło.

## 41

I było słyhać tylko ognia glosy,  
To s\k, lo chrzęsty, to główni trzaskanie;  
Czarny dym włóki się głęboko w dolinie;  
Stos obalony stał się węgla kupą  
I gaś powoli.

Wówczas przyjaciele

Poszli i kości szukali w popiele;  
Zebrali szczątki, w naczynie zaniknęli  
I do naddziadów ponieśli mogiły.  
Tam razem, co kto najdroższego nosił,  
Złoto i bursztyn, łańcuchy, pierścienie,  
Rzucano na grób, by na tamym świecie  
Znalazł, co tutaj za życia używał.  
I Izy zebrane, po zmarłym wylane,  
W naczyniach u stóp jego położyli;  
Na skroń mu węża kładli święconego,  
Który troistem opasał je koleni,  
Jak wal od duchów wznosząc się nad czołem.

A gdy mogiłę zaparto kamieniem,  
Gdy Tilussoni modlitwy skończyli,  
Kiedy Kabiróm<sup>1</sup> wylano ofiary,  
Młodzież, na grobie goniąc z oszczepami,  
Zmarłego mienie bojem zdobywała,  
I smutną kończąc len obrzęd biesiadą  
Na grobie, ojców śpiewami żegnała,  
Kości od uczyty i Komoisa cząstkę  
Itogóni podziemnym kładąc na ofiarę.

!. Diicliy |»(fdńrmne.

Aż zgasły ognie, rozpierchły gromady,  
I pusło znowu w dolinie i w lesie.  
Z krewnych nie jeden żal na sercu niesie,  
I wspominając o Romoisa czynach,  
Smutny do chaty bezpańskiej powraca,  
Gdzie z sutą uczcią stypa gości czeka,  
A próżny stołek, miska wywrócona,  
Zmarłego oczom i sercu wspomina.

Milda na wszystko z wysoka patrzyła,  
I nieśmiertelna, kryjąc boleść w sercu,  
Poszła do Kowna, gdzie ją nad ołtarze  
Próżno pieśniami stęskniony lud wzywał.



**ijula** dziecię ukryła  
do nocy;  
Zeszła na ziemię, gdy  
Poklus usypiał,  
Niosąc jc z sobą, nic  
wiedząc, co począć,  
Tuląc płacz dziecka  
uściskiem trwożliwym.

Szła pustym światem, bez myśli przed siebie.  
Smutna noc w czarnej po nad nią osłonie,  
I climury płyną od północy ciężkie,  
I wiatr wierzchołki drzew zgina do ziemi.  
Aż drogi w troje przed nią się rozłamią.  
Stała, i myśli, którą pójść, Nijola.  
A wtem na pamięć matka jej przychodzi,  
Matka tak dawno przez nią zapomniana,

Do Idórcj dotąd nic śmiała zaglądać,  
Żeliv jej swoich nie odkryć holecści.  
Więc w {trawo ku nićj prędko się zawróci,  
I hieży bez Iclm po nad Rosi brzegi,  
Gdzie gród Krimiiny i zamek na górze.  
Wszystko lam razem z słońcem spać się kładło,  
Wszystko spokojnym snem już spoczywało,  
A Rreks/.la <sup>1</sup> lala słodkie sny na głowy.  
Które po ciężkiej pracy kolo roli,  
.Nim w niebie Aussra, xiężyca kochanka,  
I'śmicchem dniowi otworzyła wrota,  
Krótkiej roskoszy w spoczynku szukały.  
Wokoło zamku, wiatrami drażnione.  
Zboża na łanach także spać się zdały,  
I jakby do snu lekko kołysały.  
Wirszajtos domu i chlewów pilnował;  
A Isparinia, siedząc nad granicą,  
Zbłąkane stada bydłat odpędzała  
Ud plennych łanów i kwiecistych grządek.

Weszła Nijola na ojczyste progi.  
Serce wspomnieniem młodości jej bilo,  
A w oczach Izami zroszonych się ćmiło:  
Ro przypomniała te młodości lala,  
Których i w niebie zapomnieć nie można;  
Chwile złocone, które Rogi ludziom  
Kładnią na brzegu czary przeznaczenia,



By icli wspomnieniem reszty życia słodzić;  
Chwile złocone, które im są dalej,  
Im je człek głębiej za sobą porzucił,  
Tern częściej pamięć w przeszłości je ściga.

I wrót się czujne psy szczekiem ozwały,  
Lecz, jakby córkę swej pani poznały.  
Padły jej u stóp i nogi lizały;  
Czujni parobcy, pałacowi stróże,  
Z snu poczętego z strachem się zerwali;  
Kruinine sama uwieńczoną głowę  
Podniosła z łoża, w podwórzec wyjrzała.  
O! gdzież dziecięcia macierzyńskie oko  
Nie ujrzy zdała, zdała nie przeczujc?  
Nim na krużganki Nijola wstąpiła,  
Już ku niej matka biegła niespokojna  
I w progu jeszcze uściskiem witała;  
Lecz widząc dziecię na ręku Nijoły,  
— Cóż to jest?—rzecze — to niemowlę twoje?  
Czyli cię Poklus z niem razem wypędził?—  
—Nie, matko!—rzekła—dawno nie mam dzieci,  
I wnuki moje ode mnie odbiegli!  
To obce dziecię, to dziecię Bogini,  
Pod twoją, matko, przynoszę opiekę.—

Naówczas długo ją opowiadać  
Naprzód o Mildzie, a potem o sobie,  
Swojego życia i losu nie tając.



Nieraz Kruminc łzami się oblała;  
Lecz kiedy wolę przedwieczną wspomniała,  
Którą w Staubunów<sup>1</sup> wyczytała lesie,  
Wyrytą ręką Pramżu na kamieniu,  
Cieszyła córkę, nic śmiała wstrzymywać;  
I polecając Budintoj<sup>2</sup> opiece,  
Nazad do męża ze łzami wysiała.

1. Sinolióvr las.

2. Bóstwo czuwania, opieki, straiy.



RiMiKE dziecię w głębią

puszcz oddała

Prostej kobiecie, żeby

ukrytego

Perkun nie dojrzał w nie-

znanym zakącie,

W prostej, ubogiej niewolnika Numie  
Tam ssąc pierś czarną, w chłodzie i ubóstwie,  
Szmatą okryty, syn Mildy liogini  
Z dzieciństwa wyssał bogactwa pogardę

I. Chała.

I siły w życiu do walki potrzebne.  
 A dzicy jego przybrani rodzice  
 Widzieli nieraz z przestachem i trwogą,  
 Jak święty Żaltis <sup>1</sup> w kolebce go pieścił:



Jak psy się, przed nim korząc, kładły drżące;  
 Jak nieraz, kiedy sam jeden na dworze  
 Igrał z swojemi braćmi i siostrami,  
 Wilk wyszedł z lasu i pełznął ku niemu,  
 A przypelznawszy, lizał jego ręce;  
 Nieraz leż orły, puszczy odwiecznych dzieci,  
 Niosły mu z krajów dalekich podarki,  
 Z drzew nieznanomych gałyzki zielone,  
 Z nieznanych brzegów kwiaty niewidane;

1. W:|/. swir)\.

Gdy usnął w cieniu u dębu starego,  
 Gołębie dzikie wokoło siadały  
 I do snu słodkim głosem wyzywały.  
 Widzieli biedni, i pojąć nie mogli;  
 A dziecię obce mieniać jakimś Bogiem,  
 Puszczy mieszkańcy kłaniali się przed niem  
 ! troskliwieni stonili pieśczoły.

:>o



uż miody Wilol, bo tak go nazwano,  
Rósł w siły, swoicli rówiennych prześcigał,  
Codzie'ń postawy nabierając męzkiej.  
Probował łuku, probował oszczepu,  
I radby dawno poleciał na łowy,  
By z dzikim wilkiem lub czarnym niedźwiedziem  
Pierwszy raz siły i serca spróbować.  
Nieraz na klęczkach ojca o to prosił;  
Lecz on się lękał, od dnia do dnia zwlekał,  
Namawiał jeszcze, by większych sił czekał.  
Jemu już nudno w ciemnej chacie było,  
Ciasno w ogródku, podwórku, dolinie,  
I wzgórza nie miał, zkąd spojrzeć daleko.  
A łoił piękne oddalone kraje,  
Przygody, walki, inne jakieś życie.  
Naprózno siary do roli namawiał,  
Próżno mu woły do jarzma zaprzęgał,  
I owce kazał pędzać w leśne pasze.  
Wilol go słuchał; lecz smutny, milczący,  
Czuł, że nie o tein serce mu gadało,  
Ze insze losy, życie miał przed sobą.

Bracia i siostry próżno go pytali.  
 On milczał, albo od rozmów uciekał,  
 I dumał, patrząc na głębię puszczy ciemną.  
 Napróżno inanka, której pierś ssał dzieckiem,  
 Chciała wesołym słowem go rozchmurzyć.  
 Milczał, i jakby słów jej nie usłyszał,  
 Jak wprzód smutny, jak wprzód, czegoś dumał.

Baz wieczór, ojciec gdy z łowów powrócił,  
 I dziką sarnę przyniósł ustrzeloną,  
 A wilczą skórę, świeżą krwią zbroczoną,  
 Boźściełał, żeby obeschła z posoki,  
 Wilol ognistym zmierzywszy go wzrokiem,  
 Rzekł doń:

— Ojczy mój! nie wytrzymam dłużej  
 W chacie lak zawsze siedzieć u ogniska.  
 Czemu ja z łobą nie idę na łowy?  
 Czemu sam jeden mam roli pilnować,  
 Albo gnać trzody i wilki odstraszać?  
 Czy nie mam siły? czy mi brak odwagi?—  
 —Lat nie masz— ojciec odpowiedział stary.  
 —Jeśli mam siłę, do czegoż mi lata?—  
 Wrąc, niecierpliwie Wilol na to rzecze—  
 Na co mam gnuśnieć i dymić się w domu,  
 Tak, jak kobieta, nie odstąpić progu,  
 I życie nudne bydłęcia w zagrodzie  
 Wlec bez ustanku? O ojczy mój drogi!  
 Weź ty mnie z sobą! pozwól mi oszczepu!

Zobaczysz, jeśli śmiało nie uderzę,  
Jeśli ci skóry świeżej nie przyniosę.—  
— Jeszeżeś zaslaby — znów stary odpowie.  
— Jeszczem zaslaby? Ojcze! patrzaj siły!—  
To mówiąc, oszczeji wiszący na ścianie  
Porwał i slrzaskal zgięły na kolanie,  
A reszty jego, jak trzcinę, odrzucił;  
I spojrzal dumny, a pierś mu westchnieniem  
Wzniosła się, ogniem blada twarz splonęła;  
Olrząsnął włosy i stanął milczący.  
A siary patrzal na drzazgi oszczepu,  
To na młodzieńca, lo na swoje dzieci,  
I już nie wiedział, jak mu odpowiedzieć.

Ojcze! mam siłę! Julro dzień mój pierwszy—  
Zawołał Witol i uklęknął przed nim;  
A silne ręce ścisnąwszy, wejrzeniem  
Błagał, ażeby znów mu nie odmówił.  
— Julro, wszak prawda?—

— Julro dzieii złowrogi —

— Po jutrze, ojcze! po jutrze, lub nigdy!  
Pozwolisz, albo już ja sam polecę,  
Pójdę, a więcej nie powrócę nigdy;  
Będę się błakał po puszczy głębokiej,  
Bo mi kobiece obmierzło już życie;  
Pójdę i dam się zabić gdzie na wojnie,  
Bo dom mi obrzydł i spokój nasycił,  
Bo serce w świat się oddawna wrywa,  
I nad to życie, śmiercbym wolał raczej.—

Naówczas malka przybiegła i wzrokiem  
Mężowi jakiś tajemny znak dała;  
A starzec wyrzekł cicho i nieśmiało:  
—Julro złowrogi dzień — nie ruszym z domu.  
Po jutrze, synu, twoje pierwsze łowy.—  
Wilol z radości nogi mu całował,  
I matkę ściskał, i z braćmi się pieścił,  
I drugi oszczep smażył i próbował,  
Luki naciągał, ragotinę rzucał.



Już wszyscy we śnie szukali posiłku,  
A Oll w noc późną przy zgaśnięciu ognisku  
Jeszcze łak czuwał, dumając o łowach,  
O owym świecie nieznanym, dalekim,  
Rad, że swej siły w zapasach spróbuje,  
I pocznie życie, którego łak żądał.







dv 011 lak duma, Grajtas świat przebiega,  
 Nad każdym długo przesiada dziecięciem.  
 Napróżno cialy, zamczyska, chrominy,  
 Napróżno budy odwiedza wieśniacze—  
 Nigdzie nie może znaleźć Mildy syna.  
 Gdy się lak biedzi i napróżno szuka,  
 Spomnial narcseie o prządkach żywota,  
 Które nić życia każdego człowieka  
 Snują, wieszając gwiazdkę w końcu nici,  
 A z reszty łkają płótno jego losu.

Spomnial, i poszedł, gdzie na górze w lesie,  
 Z wschodzącym światłem kochanka jutrzeńki,  
 Siadały Bóstwa na siedmiu kamieniach.  
 Pierwsza Werpeja z niebieskiej kądzieli  
 Przędła nić długą, jak przez ziemię całą.  
 Na niej gwiazdeczki błyszczące wieszala,  
 I nici resztę Metantiej' dawała.  
 Ta snuła przędzę na płótno Audietoj.  
 Nukirptoj, w ręku trzymając nożyce,

Czekała oliwili, kiedy Pramżu z góry  
Wyznaczy! śmierci godzinę dla człeka;  
Wówczas odcięła płótno, nie od gwiazdy;  
I gwiazda, gasnąc, na grób poleciała,  
Padła na stosie i znikła na wieki.  
Ykształtoj płótno życia w świętej rzece  
Z brudów obmywszy, oddawała Bogóm.  
Lecz pośród pracy Gadinloj złośliwa  
Coraz to siostry gadaniem odrywa,  
Plecie im dawne światów, Bogów dzieje.  
Nieraz, słuchając, gdy płótno porzucą,  
Znajdą pocięte, poszarpane przez nią.  
Próżno Sargietoj siostry upomina,  
Próżno je budzi, do roboty wzywa.  
One o wszystkim zapomną zdumione,  
Słuchając zradnej Gadiritoj piosenki,  
Albo odwiecznych powieści o Bogach.  
Do nich szedł Grajtas do świętego gaju,  
Nad święty strumień; niewidzialny stanął;  
I kiedy siostry Witola nie przędły,  
Kiedy Audietoj czyste płótno tkła,  
W usta Gaintoj kładł dzikie powieści  
I cudne piosnki do uciia podawał.  
Sama Sargietoj umilknąć musiała,  
A on nie życia rwał, targał i plątał.

•—Znacie — wołała — weselną pieśń ziemi?—  
— 0! cicho! siostro!—Sargietoj błagała—

Do pracy żywo! nic piosnek nam słuchać!  
 Jeszcze lak wiele do rana zostało,  
 A wkrótce Aussra dnia otworzy wrota.  
 Pracujmy skorzej, dajmy pokój pieśni!—  
 Sargietoj woła, a Gadintoj śpiewa,  
 Wszystkie słuchają, rzuciwszy robotę,  
 A Grajtas targa, płacze nie żywota.

P I E S I I I E S E L M Z I E M I .

Nie dziś to, ani wczora, w pierwszą wiosnę ziemi,  
 Kiedy była dziewicą, niebo ją kochało;  
 Słońce z siężycem radami współuemi  
 Gwiazdy za orszak weselny jej dało.

Kto na weselu koła tancerzy powiedzie,  
 I kto im wieńce uplecie na czole?  
 Ty, słońce, pójdziesz z śpiewaki na przodzie,  
 Promienie twe rozsypiesz po tanecznem kole.

Kto przed dziewicą ślubną poniesie pochodnię,  
 Aby z nią do miłości mogło trafić kraju?  
 Srebrno-włosy siężycu, świecący pogodnie!  
 Do zielonych lip Łajmy zaprowadzisz gaju.

A kto nam będzie śpiewał do tańca i skoków  
 Przez dziewięć dni wesela, w radosne godziny?  
 Ty, jutrenko, co świecisz z porannych obłoków,  
 Ty rozbudzisz twą pieśnią lasy i doliny.

Któż nam przyszłość wywróży naszej pannie młodej?  
Oto wieszcz występuje, z za chmury wypływa;  
Stary prorok, kometa, idzie siwobrody,

Idzie, i tak się odzywa:

Dziś deszcze, jutro śniegi,  
Na łąkach owce pasą się stadami,  
Złoto i perły biją o jeziora brzegi,  
Ale nie zawsze będzie pokój z nami.

Do zle przyjdzie od dzieci,  
Do bracia się pokłóca,  
Dwa serca zerwie trzeci,  
Ręce się popchną, serca się porzucą.

Ciemno będzie na niebie,  
Xiężyc napół się skryje,  
Gwiazdy pójda od siebie,  
Ciemność ziemię obwije.

A matka rano wyjrzy na niebiosy,  
Rędzie płakała i cesała włosy,  
A czarny obłok ramiona rozszerzy,  
I z niego piorun ojcowski uderzy.—

Ledwie skończyła, a już nocy drugą:  
—Słuchajcie, siostry, jutrzeńki wesela,  
Słuchajcie, siostry, nieszczęścia jutrzeńki:

ISa wesele jutrzeńki  
Perkun jedzie przez wrota,  
Dąb zielony druzgota.

— I zboczył mi sukienki!  
Krew, co z dębu wytrysła,  
Na wianeczek mój prysła.—

Trzy lata słońca dziecię  
Chodziło i płakało,  
Poschłe liście zbierało.

Pyta matki:—Gdzie w świecie  
Znajdę wodę, by zmyła  
Krew, co suknię zboczyła?—

— Idź, córko moja miła!  
Jezioro w cudzej stronie,  
A w niera dziewięć rzek tonie.—•

— A gdzież będę suszyła,  
Gdzie wywieszę wypraną,  
By wiatr bielił zwałaną??—

— Powiesz ją w ogrodzie,  
W którym dziewięć róż w kwiecie  
Zobaczysz, moje dziecię!—

— Kiedyż włożę na siebie  
W cudnej wodzie zmoczoną,  
Cudnym wiatrem suszoną?—

— W tym dniu, kiedy na niebie  
Ukażą, dziecię moje,  
Dziewięć słońc lica swoje.—

Jeszcze głos pieśni płynął po dolinie,  
 Jeszcze go prządki, dumając, słuchały,  
 Kiedy Sargietoj, załamując ręce,  
 Nić poplątaną z przestraczem wskazała.  
 Lecz Dejwas <sup>1</sup> próżno chciały ją rozplątać.  
 Bo już Gadinloj, której Grajtas szeptał,  
 Taką powiastkę zaczynała prawić:

Ż I I i T I S O W I    Ż O M .

Poszła Egle <sup>2</sup> z siostrami o wieczornej porze  
 Kąpać się niedaleko od siola w jeziorze.  
 Biegły w rozmowach wieczorne godziny,  
 Tyle tam siostry do mówienia miały.  
 Już Menes świecił, kiedy trzy dziewczyny  
 Do swoich koszul wracały.,  
 Lecz Egłę, krzycząc, na drugie zawoła:  
 — Patrzajcie siostry! dziwna rzecz się stała;  
 Koszula moja leżała na trawie,  
 Teraz wąż siedzi w rękawie.  
 Jak go wypędzić? co na siebie włożę?  
 Któż mi da radę? kto mi tu pomoże?

Starsza mówiła:—Kijem go zabiję.—  
 Młodsza mówiła :—Wystraszę kamieniem.—  
 Lecz wszystkie stały, wyciągały szyje,  
 I nic nie śmiejąc, patrzyły ze drżeniem.

1. liojjiiic.
2. Jodła.

fil

A wąż, co w rękawic siedział,  
Tak, sycząc, Egle powiedział:  
— Wyjdę sam, jeśli dasz słowo,  
Że zostaniesz moją żoną.—  
Przestraszona lęką mową,  
Egle kryje twarz spłonioną.

— Ach! ach! czyż lo być może?  
Na cóż żartować ze mnie?  
Wyjdź! lęk zimno na dworze,  
Wyjdź! niech koszulę włożę,  
I nie męcz mnie daremnie.—  
A wąż, potrząsając głową,  
Powtarzał wciąż jednakowo:  
— Daj mi słowo, daj mi słowo!!—  
— Proś sobie ojca, matki.  
Oni myślą o mężu.  
Mnie czas wracać do chatki.  
Wynijdz z rękawa, wężu!—  
A wąż, potrząsając głową,  
Mówił ciągle jednakowo:  
— Daj mu słowo, daj mi słowo!—  
Aż Egle płakać zaczęła.  
Staisza jćj szepce do ucha:  
— Daj mi słowo, on usłucha.  
Ty, byłeś koszulę wzięła.  
Cóż ci przyrzec mu zaszkodzi?—  
Egle się niby uśmiecha,

## 02

— Będę twoją!—rzekła zcielia,  
A wąż z rękawa wychodzi.

Ledwie wrócili do chały,  
Krzyk na siele, krzyk na dworze:  
— Jadą swaty! jadą swaty!—  
Egle kryje się w komorze.  
Trzech wężów na neccc jedzie  
Z podniesioną w górę głową,  
I jeden starszy na przedzie  
Z taką występuje mową:  
— Żallis o swoją prosi narzeczoną.  
Dała słowo, jest mu żoną.  
Stu nas świadków to słyszało.  
Pobłogosławcie rodzice  
I oddajcie nam dziewicę',  
Bo co się stało, to stało.—

A ojciec z matką płukali w komorze.  
—Biedna Egle dała słowo,  
Ale czyliż to być może,  
By hyla żoną wężową?  
Nie!—I biegną do sąsiady.  
— Bagutieno! daj nam rady,  
Co począc z temi swatami?—  
Stara w głowę się skrobała  
I taką im radę dała.  
— Byle co węża omami.



Zamiast córki, gęś im dajcie,  
I co prędzej wyprawiajcie.—  
Jak kazała, łak zrobili.  
Swaty w nockę gęś wsadzili,  
Dziękowali i sykali,  
Wsiedli i pojechali.  
Jechali aż w koniec sioła,  
I sioło przejechali,  
I ciągnęliby dalej,  
Aż kukulka im woła:

— Kuku! kuku! kuku!  
Co to się wam stało?  
Wzięliście gęś białą!  
Kochanka wężowa  
W komorze się chowa.  
Hoją się rodzice  
Oddać wam dziewicę.  
Lecz dłużej nie schronią.  
Wróćcie swaty po nią.  
Kuku! kuku! kuku!—

Jak jechali, wrócili,  
I stanęli przed chatą,  
Z gniewem gęś wyrzucili.  
—My jechali nie na to!  
Ale po narzeczoną,  
Po Żaltisową zonę.

Błogosławcie, rodzice,  
A oddajcie dziewicę.—

Znów rodzice w rospaczy.  
— Radź sąsiadko inaczej.—  
Ona w głowę się skrobie.  
— Gęś, lo trochę zaniała.  
Owcaby oszukała.  
Niecli z owcą jadą sobie.—

Rodzice owcę dali.  
Oni siedli, jechali,  
Jechali w koniec sioła,  
I sioło przejechali,  
I ciągnęliby dalej,  
Aż kukułka znów wola:

i

—Kuku! kuku! kuku!  
Co to się im siało?  
Wzięli owcę białą!  
Kochanka wężowa  
W komorze się chowa.  
Nie chcieli rodzice  
Oddać wam dziewicę.  
Lecz już jej nie schronią.  
Wracajcie się po nią.  
Kuku! kuku! kuku!

Znów powrócili swaty,  
Pojechali do chaty,

## 05

<sup>10</sup>  
Córki gwałtem żądają,  
I siedzą i czekają.  
A rodzice w rozpacz—  
— Radź sąsiadko inaczej.—  
Ona w głowę się skrobie.  
— Kiedy owca zamała,  
Oszuka krowa biała.  
Niechaj z nią jadą sobie.—  
Rodzice krowę dali,  
Oni siedli, jechali,  
Jechali w koniec sioła,  
I ciągnęliby dalej,  
Aż Gicguze <sup>1</sup> znów woła:

— Kuku! kuku! kuku!  
A cóż się im stało?  
Wzięli krowę białą!  
Kochanka wężowa  
W komorze się chowa.  
Dłużej jej nie schronią.  
Powracajcie po nią.  
Kuku! kuku! kuku!—

Z szumem, krzykiem i zwadą  
Nazad swaty znów jadą,  
Krowę białą odwożą  
I rodzicom już grożą:

1. KufculŁa.

CG

—Tak zwodzić sio nic godzi!  
Źle, kio Zallisa zwodzi!—

Znów rodzice w rospaczy—  
—Radź sąsiadko inaczej.—  
Ona w głowę się skrobie.  
— Jak In zrobić, poradzić?  
Slarszą córkę im wsadzić.  
Z nią pojedą już sobie.—  
Rodzice córkę dali.  
Swaty siedli, jechali,  
Jechali w koniec sioła,  
I sioło przejechali,  
I ciągnęliby dalej,  
Aż Gieguze znów woła:

1

—Kuku! kuku! kuku!  
Znów was oszukano,  
Starszą córkę dano.  
Kochanka wężowa  
W komorze się chowa.  
Rodzice ją chronią.  
Wróćcie jeszcze po nią.  
Kuku! kuku! kuku!—

Z hałasem jadą swaty,  
Powracają do chaty,  
Slarszą córkę rzucili  
I rodzicom grozili:



— Ej rodzice! rodzice!  
Oddajcie nam dziewicę,  
Ilo jakeśmy wężami,  
Źle dalej będzie z wami!  
Ługi woda zapławi,  
Siatek wilk wam podławi,  
Chatę burza rozwali,  
Zboże susza wypali.  
Ej! oddajcie nam naszą!—  
Gdy tak grożą i straszą,  
Ojciec, matka płakali;  
I długo jeszcze radzą:  
Czy dadzą, czy nie dadzą?  
Aż nareście oddali.  
Swaty w neckę wsadzili.  
Siedli i pojechali;  
Ale już nie wrócili:  
Ho kukulka spotkała  
I tak do nich śpiewała:

— Kuku! kuku! kuku!  
Spieszcie, swaty, bo pora,  
Spieszcie się do jeziora.  
Mąż wygląda zdaleka,  
Narzeczonej swej czeka.

Kuku!—

A Egle we łzach cała  
Na jezioro patrzała.

J już blisko topieli,  
 I już swaty stanęli.  
 A Żallis na nią czeka;  
 Lecz nie wąż to szkaradny,  
 Ale młody i ładny  
 Bóg wód w ciele człowieka.

Kiedy Gadinloj od pracy odrywa,  
 Próżno Sargietoj przeszkadza jej, prosi,  
 Próżno popsutą pokazuje przędzę.  
 Jak gdyby głuche, na powieść zdradliwą  
 I uszy mają i uwagę całą.  
 Ledwie skończyła, nim ręce podniosły,  
 Ona je znowu odrywać zaczyna.  
 — A wiście—rzecze—co się potem stało?  
 Słuchajcie tylko, zaraz się dowiecie.  
 Wszak będzie jeszcze dość czasu do pracy—  
 Xiężvc wysoko, dzień jeszcze daleko.

B K I t I A Ż i I L T I S O H F J Ż O \ I .

Pięć lat polem upływa,  
 Jak Egle już szczęśliwa,  
 I Zaltis jej, pod wodą  
 Roskoszne życie wiodą.  
 Pięć lat i pięć upływa,  
 Nie tak Egle szczęśliwa:  
 Bo choć dzieci ma troje,  
 Choć na niczcin nie zbywa,

G9

Lecz wspomni sióło swoje,  
Żal jej za rodzicami,  
I zalewa się łzami.

Wszystko miała,  
Co chciała;

Ale kiedy już komu  
Tęskno do swych, do domu,  
iNic nic syci, nie poi,  
Dom a dom w oczach słoł.  
I biednej Egle było,  
Choć w dostatku, niemiło.  
Prosiła męża co dnia,  
I co dzień odpowiadał:  
— Idź przyszłego tygodnia.—  
Tak lat kilka odkładał.

Czas na prośbach upływa.  
Egle, mniej już szczęśliwa,  
Męża prosi i nudzi.  
— Puść-bo mnie w odwiedziny  
Do swoich, do rodziny,  
Puść mnie na świat do ludzi.  
Ja cię tu nie porzucę,  
Za dzień, za dwa powrócę.—  
Mąż nie mógł wstrzymać dalej,  
Dał się wręście uprosić;  
Lecz wprzódy kazał znosić  
Trzewiki kute z stali.

Krugis je z Budrajcami <sup>1</sup>  
Ogrommimi młotami  
Na jćj nóżki zrobili.

Wzięła, myśli; po chwili  
Na ogień je rzuciła,  
Na żużel przepaliła,  
Pochodziła dzień cały—  
Trzewiki popadały.  
— Ot, trzewików już niema!  
Teraz nic mnie nic wstrzyma.  
Gotowani już do drogi—  
Egłe do męża rzekła—  
Teraz tylko pierogi  
Dziś jeszcze będę pieklą.—  
On coś czoło zachmurzył,  
I rzekł żonie:— Myśl o lem:  
Wszystkiem cebry ponurzył;  
Nośże wodę rzeszotem.  
A nie spiekłszy pieroga,  
Za nic i twoja droga.—  
Egłe łamała głowę,  
Bozczynę zamiesiła,  
Rzeszoto oblepiła,  
Wody niem nanosiła,  
I pierogi gotowe.  
Zaltis żegnał ze łzami,

i. Bóstwa kowali, (glównie i posługujące).



Całował dzieci swoje,  
Wyprawił wszystko troje,  
I rzekł:—Gdy wróci z siola  
I stanie nad wodami,  
Wprzód mnie żona zawoła  
Trzykroć lemi słowami:

— Mężu mój! mężu! żona ciebie czeka!  
Jeżeliś żywy, wynijdź pianą z mleka;  
Jeżeli ciebie na świecie już niema,  
Krwia się objaw przed oczyma.—

Co tam było witania!  
Jaka radość na siele!  
Jak ciekawe pytania!  
Jakie różne! jak wiele!  
Jak witali wężową  
Oddawna opłakaną,  
I jak każde jej słowo  
Z ust do ust podawano!  
Tak jej trzy dni przebyło.  
Nie myśli o powrocie.  
Oj! po długiej tęsknocie,  
Swoich ujrzeć tak miło!  
—Jeszcze trzy dni;—prosili—  
Trzy dni zostań w gościnie.  
Dawno z tobą nie byli.  
Nim przyjdiesz, długo minie.—  
I została wężowa.

Bracia wieczór jechali  
Na nocleg w głuchy las,  
Chłopca jej namawiali :  
—Jedź z nami, zbudzisz nas.—  
Pojechał starszy z niemi.  
Cdzieś daleko, w dolinie,  
Pokładli się na ziemi  
I ogień rozłożyli,  
I z chłopcem się pieścili;  
A jeść dając chłopczynie,  
Zadawali pytania:  
— Kiedy wrócicie z sioła  
Do waszego mieszkania,  
Jak tam matka zawoła,  
Zęby ojciec otworzył?—•  
A chłopiec ręce złożył,  
I potrząsając głową,  
Powtarzał im to słowo:  
—Ja nic nie wiem, wujowie!  
Matka więc, matka powie.—  
Potem prosić zaczęli,  
Naokoło stanęli.  
— Ty musisz, chłopcze, wiedzieć,  
A nie chcesz nam powiedzieć;  
Tylko nie żartuj z nami,  
Bo wysiechem różgami.—  
On wciąż mówił:—Wujowie!  
Matka wie, ona powie.—

## 05

Dziesięć niioleł nacięło  
I chłopca hić zaczęto.  
Chłopiec płakał—Wujowie!  
Niechaj matka wam powie.—  
I napróżno go zbili.  
A gdy zrana wrócili,  
Egłe pytała syna:  
— Co to oczy czerwone?—  
— Smolna była łuczyna,  
Wiatr dym pędził w tę stronę.—

Bracia wzięli młodszego.  
Zbili znowu napróżno.  
Nie powiedział im lego,  
Jak ojca wyzwać można.  
Polem wzięli dziewczynę,  
I zawieźli w dolinę,  
Prosili i pytali.  
Długo, długo milczała;  
Lecz różgi pokazali,  
I ze strachu wydała.  
Bracia śpieszyli skoro  
Za sioło nad jezioro,  
Kosy z sobą pobrali,  
I stanąwszy, wołali:

— Mężu mój! mężu! żona ciebie czeka.  
Jeżeliś żywy, wynijdź pianą z mleka:

Kiedy cię na świecie niema,  
 Krwią się objaw przed oczyma.—

Pryśły cicie wód łozyska,  
 Mleczną pokryły się pianą,  
 A z piany Zaltis wytryska,  
 Powitać żonę kochaną;  
 I już na brzeg się toczy,  
 Z brzegu sunie się dalej.  
 Wtem go młodzież oskoczy,  
 I w sztuki rozsiekali.

Minął w gościach dzień trzeci.  
 Egle, zabrawszy dzieci,  
 Tęskna wraca do męża.  
 Już ujrzała jezioro,  
 Pośpiesza z dziećmi skoro,  
 Staje i woła węża.  
 Pękły cicie wód łozyska;  
 Lecz krew na falach połyska,  
 A głos wychodzący z fali  
 Woła do niej raz ostatni:  
 •—Tę krew masz z ręki bratniej.  
 Bracia mnie rozsiekali.—  
 Egle słupem stanęła,  
 Z oczyma łez pełnemi.  
 — Cóż ja pocznę? — krzyknęła—  
 Z sobą, z dziećmi mojemu?  
 Powróćż żyć z zbójcami?

Bracia, zbójcy mężowi,  
Wyśmieją płacz mój wdowi.  
Gdzież ja pójdę ze łzami?  
Ach! lepiejby nam było  
Spać pod jedną mogiłą,  
Lub wrosnąć z dziećmi mcmi  
Na wieki do lej ziemi.—  
Ledwie rzekła te słowa,  
Stała jodłą wężowa,  
Z gałęzmi spuszczoncmi,  
Jak ręce załamane.  
Przy niej dzieci splakane  
Bogj w drzewa zmieniły:  
Starszy dębem się staje,  
I zawsze pełen siły,  
Wiatrom się nie podaje;  
Młodszy w korze jesiona  
Rozpościera ramiona;  
A mdłe ciało dziewczyny  
Drży listkami osiny.

Kiedy Gadinloj powieść tę kończyła,  
A Grajtas życia Wiloła nie plątał,  
Pożno Audieloj na płótno spojrziała,  
I z krzykiem wątek poczęła naprawiać.  
Sargietoj jęła siostry upominać.  
Ze wstydem wszystkie rwały się do prz

Ale już Wilol, którego nie życia  
Splątana w ręku robotnic leżała,  
Najpierwszą próbę przebywał na świecie,  
Którą mu Grajtas zdradliwie zgotował;  
A sani, wróciwszy do Perkuna tronu,  
Spokojny u nóg jego się położył.



ANEK był, kiedy  
Wi-  
tol  
ojea zbudził;

Ledwie się Aussra rumieniać na niebie,  
Słońcu niebieski ogień rozkładała.  
Jeszcze trzy konie słonecznego wozu  
Niezaprężone pasły się na górze;  
A xiężvc smutny, z twarzą wpół-rozciętą,  
Przyszedł chwilę, by swoją kochankę,  
Rumianą gwiazdę poranku zobaczyć.  
Głuche milczenie w głębiach puszczy leżało;  
Szerokie knieje, ostępy i bory,  
A w- nich zwierz dziki, snem porannym spały.  
Tylko ptaszyny Swieczpaukszlynis budził.

One, świergocąc, niechętnie wstawały,  
I nazail w ciepłe gniazdko się. tuliły.  
Brekszla wszelkiego stworzenia powieki  
Snem jeszcze słodkim cisnęła łagodnie.  
Próżno Btidinloj, dla gnuśnych złowroga,  
Myślą o pracy ludzi chciała budzić.  
Spali spowici potrzebą spoczynku.  
Lecz Wilol nie spał; przemarzył noc całą;  
Bóstwóm się leśnym modlił i Raganóm:  
Prosił Szejbrala i dzikiej Miedziojuy,  
Żeby mu w pierwszych poszczęścili łowach;  
Prosił puszczy duchów i leśnych straszycel,  
By do ostępów, w których zwierz się kryje,  
Grislis i Jodsy nie broniły wstępu.  
Słyszał Oll często, że łowiec zbłąkany  
Spotkał się w puszczy gdzie z dzikim człowiekiem,  
Lub ptak go uwiódł, padając co chwila,  
Lub jeleń zwolna w ostępy prowadził,  
Aż potem więcej łowca nie ujrzano,  
Tylko gdzieś w puszczy garstka białych kości  
Pod starym dębem na wieki została,  
Postrach myśliwych, niebacznym nauka.

Wsiał ojciec, przetał rozespiane oczy;  
A matka smolne paliła łuczywo,  
Placków na drogę, nabiału i chleba,  
Bad macierzyńskich nie skąpiąc młodemu.  
— Nie wiesz — mówiła — nie wiesz, co lo łowy!



To nie igraszka, jak w podwórku chaty,  
Nic w gnieździe wróbli, nie z pliszką to sprawa.  
A któż wie, co tam w puszczach się ukrywa?  
Tyle straszydeł! niebezpieczeństw tyle!  
Tyle srogiego i dzikiego zwierza!  
Już brat mój jeden zginął od niedźwiedzi;  
Drugiego koza lekko ustrzelona  
Wiodła w ostępy, aż zbłądził, i potem  
Ledwie w dni kilka wybladły i głodny  
Późną się nocą do chaty powrócił;  
Ale co widział w Miedziojny krainie,  
Nikommu nigdy nic mówił ni słowa,  
I więcej polem nie poszedł na łowy.  
Już lepsza bitwa, niż walka z zwierzęty.  
Któż wie, co się tam pod skórą ukrywa?  
Czasem zły człowiek wilczą skórę wdzieje,  
Czasem czarownik w niedźwiedzia się zmieni,  
Lub potwór jaki zastąpi ci drogę,  
Albo duch, albo.... I kto to odgadnie?—  
A Witol słuchał, próbując oszczepu,  
I głową tylko potrząsał powali,  
Jak gdyby za nic miał matki przestrogi.  
Ojciec tymczasem łuk podjął, wziął strzały,  
Wdział Wiżos, skórą grzbiet okrył niedźwiedzią,  
A Witolowi wyniósł strój podobny  
Z twardych skór zwierza na łowach odartych.  
Pierwszy raz chłopiec szaty męskie włożył;  
Pierwszy raz uczył, że mu wolno było

Przesiać nareście być tylko dziecięciem.  
Wyglądał oknem. Już się świt zabielił,  
Słońce ze swoich pałaców za chwilę  
Na złołym wozie miało wyjść z kąpieli.  
Wyszli, a jeszcze Bogom się domowym  
Długo modlili i ofiarę leli.  
Stary z szałasów wypuścił psy swoje.  
Skoczyły, czując, że pójda na łowy;  
Jeden drugiego z radości porywał,  
I, jakby tylko sam chciał iść za panem,  
Gryząc go za kark, warczał i wstrzymywał.

Wyszli. Był ranek wiosenny, srebrzysty,  
Las milczał jeszcze, czekał słońca wschodu,  
Bosa na trawach ciężyla i wonny  
Kielich się kwiatów powoli otwierał.  
Na wschód się starzec milczący obrócił,  
Znajomą sobie skierowawszy drogą.  
Witol szedł za nim, całymi piersiami  
Łakomie chłodne chwytał powietrze.  
Szli puszcza, w której śladu ludzkiej nogi,  
Siadu człowieka, ni zwierza nie było.  
Ogromne dęby z konary gęstemi,  
Pokryte gniazdy i świętą jemiołą,  
Wysoko po nad brzeźniak się wznosiły.  
Poniżej, brzozy schylone, pogięte,  
Jak lud pod panem, niewolnik posłuszny,  
Tęsknie za słońca promieniem patrzyły.

U spodu, młodej Łazdony dziedzina,  
(jfsleini sploty wiła się leszczyna,  
W dzięczneini luki gnąc na różne strony.  
Z pośrodka dębów, gdzieniegdzie wysmukła  
Sosna, u wierzchu ozdobna koroną,  
Jakby dziewica do ślubu ubrana,  
Wesoło wieńcem niczwiędłym szumiła.  
Tu ówdzie biała osina i klony,  
I poświęcone Lnjmie lipy stare,  
Pod poważnemi wyrastały dęby.  
A rzadko chwojniak skurczony i biedny,  
Jak lud od roli, cherłał na piase-zysku.  
U stóp drzew kwiaty rozliczne się słały :  
Jedne, co jadu strzałom dostarczały;  
Drugie, któremi mądrzy Sigonoci,  
Żebrząc po wioskach, od chorób leczyli;  
I inne jeszcze, co nieraz do wieńca  
Śmiały parobek przynosił Litewce;  
Po nad strumyki kwitły owe modre,  
Których Nijola nieszczęsna zachciała,  
Które Krumine gorzko oplakała.  
Środkiem ostępów rznęły się strumienie,  
Okryte gestem gałęzi sklepieniem,  
I uciekały, lękając się ciszy,  
Tęskniąc za ludźmi i zieloną łąką.  
Szli, a las milczał; tylko czasem krucy  
Wrzeszczeli, z wierzchu sosen się zrywając;  
To dzięcioł stuknął, wróbel zaświergotał,

To z nich Gieguze, śmiejąc się, szydziła;  
 Psy cicho u nóg z spuszczonej głowy  
 Szły, znaku tylko pańskiego czekały,  
 A pyski wznosząc ku kniei zwrócone,  
 Nosem powietrze łapczywie chwytaly.  
 Wtem łom zaszumiał i coś się przemknęło.  
 Witol poskoczył, starzec go zatrzymał—  
 •—Liszka!—zawołał— powrócim do domu.—  
 — I po cóż wracać z próżnymi rękoma?—  
 — Przystroga Bogów, byśmy nie szli dalej:  
 Bo konni tylko liszka przejdzie drogę,  
 Powinien wrócić, gdy mu spokój miły.—  
 — A! więc winną stronę, idźmy w inną stronę.—  
 — Wrócić potrzeba.—

— O! ja nie powrócę,  
 Póki chociażby najlichszego zwierza,  
 Choćby ptaszyny malej nie ubiję.—  
 Tak mówił Witol, a jego zapałem  
 Starzec niechętny przekonać się musiał.  
 — Chodźmyż! niech będzie przeznaczenia wola—  
 Bzekł, i na drugą stronę się zawrócił.

I znowu cicho: bo oba myśliwi,  
 Okiem po lesie patrząc ostrożnie,  
 Nic nie mówili; psy dech wstrzymywały,  
 Jak gdyby zwierza spłoszyć się lękały.  
 •— Słuchaj — rzeki starzec — jest zład niedaleko  
 Starego dziada niedźwiedzi łożysko

Pod wielkim łodem. W zimie łapy liże,  
A łodem skryty na pastwę czatuje.  
Jeśli usłyszysz nas, jeśli napadnie,  
Redzimy się bronić; lecz straszno zaczepiać.  
Wiele on ludzi we wnętrzościach nosi,  
I wiele kości bieleje pod łodem,  
I strzał niemało próchnieje dokoła.  
Radbym go obszedł, lecz w lewo i prawo  
Głęboki strumień zagradza nam drogę.  
Mądry, na samej ścieżce sidła stawi.  
Lecz można cicho ominąć łożysko,  
Dech zatrzymując, żeby go nie spłoszyć,  
I ostróżkami minąć go krokami.—

— Ojczy!—rzekł Witol—na cóż się go lękać?  
Dwóch nas na niego, czyż nie mamy rady?  
Wszak to najlepszy na łowy początek.—  
— Szaleńcze! cicho!—Wilol oszczep podniósł,  
I lekko trzęsąc głową, się uśmiechał.  
Wiem na łom naszli; za łodem chrzęstnęło;  
Psy wzniosły uszy i oczy wywarły;  
Ogromny pysk się z za drzewa wychylił,  
Polem dwie łapy na łomie oparte,  
I czarny niedźwiedź spojrział na myśliwych.  
Stary szedł chyłkiem; lecz Wilol z radością  
Łuk swój naciągnął i pomiędzy oczy  
Strzałę mu ostrą zapuścił głęboko.  
Ryknął zwierz dziki i przez łom przeskoczył

Prosto na niogo. Słai Witol z oszczepem;  
I kiedy niedźwiedź ku niemu się zbliżył,  
W czaszkę go dwakroć z całych sił uderzył;  
Wierne psy z tyłu szarpać go poczęły;  
Ou się otrząsnął i na nie zawrócił;  
A łowiec młody już mu na kark skoczył,  
I w silne ręce za gardło ująwszy,  
Stłumił ryk prędko, a z rykiem i życiem.  
Padli obadwa. Z twarzą rozognioną  
Porwał się Witol, nie wierząc zwierzęciu,  
I bił go jeszcze, aż na twardym pysku  
Skrwawiony oszczep w trzaski podruzgolał;  
Naówezas krzyknął radośnie, aż w lesio  
Sto razy głos się daleko powtórzył.  
Stary, patrząc na łatwe zwycięstwo,  
Oslupiał, mierząc bojaźliwiein "okiem  
Nieprzyjaciela drgającego jeszcze.  
Z radością Witol na pierś mu się rzucił  
I ścisnął ojca; a łzy mu płynęły,  
A piersi oddech wzdymał przyśpieszony;  
Potem niedźwiedzia, biegł, deptał nogami,  
Szalony pierwszym w swém życiu zwycięstwem.

Siedli ze starcem skórę z niego zdzierać;  
Łapy na przysmak odcięli wieczorny,  
A ścierwo plastwu leśnemu rzucili.  
— Spieszmy!—rzekł ojciec.— Obudzone rjkiciu,

Już puszcza pewnie biegną meszek <sup>1</sup> siada.  
 Trzeba uciekać! Bierz psy i idź za mną.—  
 Wsiali, a Wilol wziął skórę skrwawioną,  
 I jeszcze drżący wzruszeniem, odwagą,  
 Szedł, patrząc tylko, zkąd znów dojrzy czego?

Siary na coraz gęstsze wiódł go puszcze;  
 Czasem z rozmysłem obejrzał się wkoło,  
 I, jakby dążył po znajomej drodze,  
 To lu, lo ówdzie kręcił się i zbaczał,  
 Silnem ramieniem gałęzie drzew trzaskał,  
 Cbrósty rozgniatał, przeskakiwał łomy,  
 I przez strumienie przewodził głębokie.  
 Aż wyszli wreścić w szeroką dolinę,  
 Dokoła czarnym otoczoną lasem.  
 Łąka lo była zielona, jak rola,  
 Kiedy ją młoda wiosny ruń okryje;  
 Gdzieniegdzie tylko złociły się kwiatki,  
 I łoża młode puszczała gałązki.  
 Tu siedli spocząć; a Wilol swą skórę,  
 Pelcu radości, na wietrze rozesał,

Już było słońce podeszło wysoko,  
 Śpiesząc do swojej wieczornej kąpieli;  
 Obeschły rosy; na niebios błękiecie  
 Chmury, jak wojska, jęły się gromadzić.  
 Łowcy posiłek południowy wzięli;

1. Niedźwiedzi.

I gwarząc, jak to myśliwcom się gwarzy,  
 Z wiernymi psami jadłem się dzielili;  
 A kości, Bogóm podziemnym ofiarę,  
 Szepcąc modlitwy, pod ziemię zagrzebli.  
 Polem szli znowu. Lecz stary, na słońce  
 Spojrzawszy, drogę ku domu zawrócił  
 Inszemi lasy i dalszemi ścieżki.

—Tu—rzeki do syna — inszy zwierz nas czeka  
 Wilk, lis, ryś może, sarna bojaźliwa.  
 Niechaj psy idą.— Świsnął—niecierpliwe  
 Prędko się w knieje, przeganiając, wdarły;  
 A on, wskazując ręką Witolowi,  
 —Czekaj—rzeki— aż cię głosem uwiadomią,  
 Gdzie się masz ruszyć. Stój. Ja dalej idę.  
 Kiedy zawołam, ozwij się, przybywaj.—

Wilol zaledwie słowa starca schwytał,  
 Słuchał psów głosu, za niemi się zrywał,  
 Zazdrościł wolnych po puszczy przegonów;  
 Lecz kiedy ojciec, łamiąc się przez chrósty,  
 Odszedł, a jego samego zostawił,  
 Uczuł się jakby swobodniejszym jeszcze,  
 I jak do walki, spałszy się o drzewo,  
 Czekał i czekał. A psy gdzieś już w dali  
 Słabym się głosem raz po raz ozwały.  
 I cicho znowu; tylko drzewa szumią  
 I płacy krzyczą na sosen wierzchołkach.  
 Wtem z za Wilola nagle się wrywa

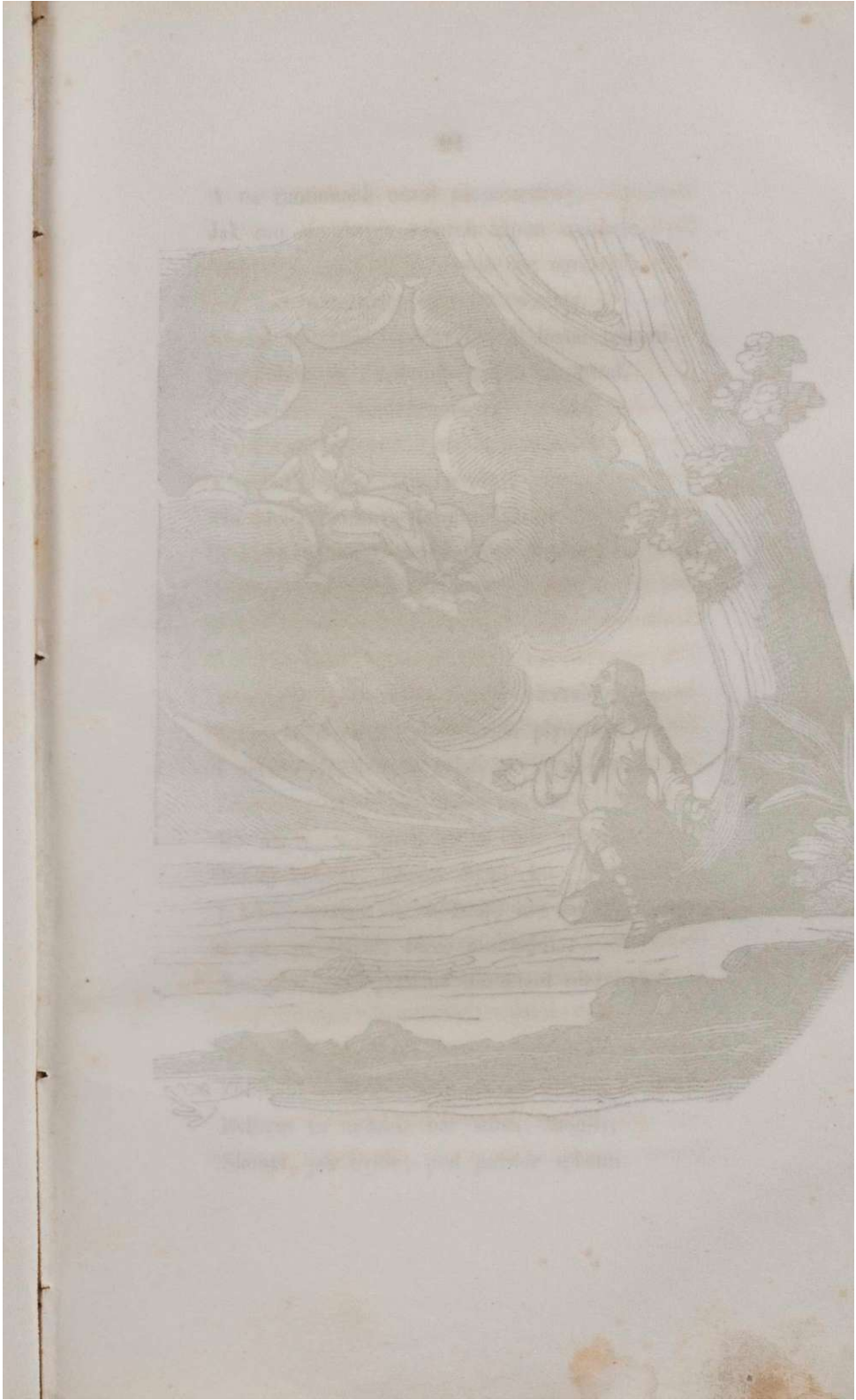


Jeleń wysmukły; spojrzął, w górę skoczył;  
Lecz nim w las pierzchnął, uwięzła w nim strzała.  
Padł. Wilol za nim. On porwał się znowu,  
I szedł, kulejąc. Drugą za nim strzałę  
Posiał myśliwiec, i drugą go trafił.  
A jeleń coraz szedł wolniej, rogami  
Gałęzie łamiąc. Wilol coraz bliżej  
Ściga go z drzewcem, doścignąć nie może.  
Dra się po lesie przez mokre bagniska,  
O staje tylko od siebie, to bliżej,  
To dalej znowu: bo jeleń poskoczy  
I znów ustanie; myśliwiec pośpieszy,  
Wstrzymają gąszcze. Wiele strzał w sajdaku  
Miał Witol, wszystkie za nim powysyłał;  
A jedne poszły po drzewach i lesie,  
Raniąc niewinne starych lip Ragany,  
Inne go zlekka po skórze drasnęły,  
Lub padły słabe pod nogi jelenia.  
Wciąż gonił łowiec, wciąż jeleń uciekał.  
Witol rozjadły, z wlepionem weń okiem,  
Zapomniał ojca, i przestróg, i puszczy,  
Co go dokoła nieznana, tajemna,  
Coraz straszniejsza, ciemniejsza, objęła.  
Zzajany stanął i chciał dobyć głosu.  
Długo się męczył, nim piersi znużone  
Słabe huknięcie, obumarłe w puszczy,  
Ku stronie ojca z westchnieniem wydały.  
Ale daleko ojciec już od niego

Pozostał z psami, i głos go nie doszedł.  
A jeleni skoczył w głąb kniei i zniknął.  
Zmęczony łowiec upadł odpoczywać,  
Nie śmiał już krzyżeć i począł rozmyślać.  
Słońce się coraz na zachód skłaniało;  
Ledwie czerwony promień przez gęstwinę  
Jeszcze się tylko obłądny przeciskał.  
Cóż począć było? Witoli myślał wracać  
Śladem jelenia; lecz szukając drogi,  
Którą strzałami i krwią był poznażył,  
Nie znalazł nigdzie złamanej gałęzi  
I nigdzie śladu. Wszystko się już było  
Znowu po za nim splątało, zamknęło,  
Jakby od wieka ni człowiek, ni zwierzę,  
Jednej gałęzi nie poruszył z miejsca,  
I ziemi nogą nie dotknął dziewiczej.  
Naówczas Wiloli odwagi żałował,  
I ojca rady zapożno przypomniał;  
A myśląc, jakby z puszczy się wydobyć,  
Próżno dokoła patrzył niespokojny.  
Wtem ujrzył dziką barć na starej sośnie,  
W rozlwartém dziuplu, rojem otoczoną.  
Wszystko zjadł z sakiew, pragnienie paliło  
I głód go męczył; ale straszno było  
Te dzikie pszczoły Bogini Auslhci  
Wydrzeć, ażeby miodem głód ugasić.  
Podnosił jeszcze oczy na barć chciwie.  
Wtem /śródy gałęzi nad głową zwieszonych

Śmiech jaliiś dziki usłyszał, szyderski.  
Myślał, że jaki ptak się ozwał z sosny?  
Gieguze może próżniaczka wesola?  
Lecz znowu cicho i pusto dokoła,  
I czuje w duszy:—Nic laki głos ptaka!—  
A puszcza milczy, tylko drzewa szumią.  
Gdy po nich Wilol jeszcze raz pogląda,  
Ujrzał nad barcią okropne straszdyło.  
Był to człek dziki. Włosami okryty.  
Na Ihie dwa rogi zakręcone nosił:  
Twarz miał poćzwarną, dwoje lśniących oczu,  
I zęby długie, jak wilczej paszczęki;  
Nogami drzewo objąwszy czarnemi,  
Rękoma drażnił Witola, i z góry  
Świecące, długie zakrzywił pazury.  
Witol luk porwał, lecz strzał brakowało;  
Chwycił za oszczep—ten leżał strzaskany,  
I drzewce u nóg złamane leżało.  
Nie było nawet czem się widmu bronić.  
Straszny Girystys po drzewie się spuszczał,  
I coraz głośniejszy, coraz śmiały się dziczej;  
A zęby ostrząc, pazurami krzywiąc,  
Jak gdyby pastwę rozdzierał już swoją,  
Oka z młodego nie spuścił myśliwca.  
Witol odstąpił, skórę z ramion zrzucił,  
Rękę wyciągnął i czekał go śmiało;  
Lecz gdy już walkę ma począć zuchwałą  
W szarym pomroku, ujrzy, aż dokoła

Na każdym drzewie, na każdej gałęzi  
Świecą się, oczy, drżą ostre pazury,  
I rogi krzywe po liściach szeleszczą.  
Pełno ich było, w którą spojrział stronę.  
Walczyć z wszystkimi?—pomyśleć nic można.  
Poblądł młodzieniec, lecz serca nie stracił;  
Stanął i czekał. A oni siedzieli,  
Szyderskim śmiechem do siebie gadali,  
I pazurami sobie wskazywali  
Biednego chłopca, który stojąc wryty,  
Trzymał łuk próżny i drzewce złamane.  
Już skórą świeżą zarzuciwszy plecy,  
Myślał się cofać, gdy mu pod stopami  
Cóż się ruszyło. Ogromna ropucha,  
Jak gdyby mlekiem święconym karmiona,  
Dwoje weń oczu wlepiała zielonych.  
Rzucił się w stronę. Tu karzeł wyskoczył  
Stary, garbaty; na łokieć miał brodę;  
Sparty na kiju, sunął się powoli,  
I Witolowi sobą zaparł drogę.  
Próżno chciał przebić te żywe zapory.  
Gdziekolwiek myślą, oczyma się zwrócił,  
Zewsząd go dziwne objęły potwory,  
Jakby nic w puszczy nadniemeńskiej błędził,  
Lecz w tajemniczym Staubunów gdzieś lesie.  
Zamknął już oczy, wyciągając ręce,  
I śmiało na przód rzucił się w gęstwinę.  
Wtem puszcza śmiechem tysięcznym zawrzała:





A na ramionach uczul nieszczęśliwy,  
Jak mu się dwoje ostrych szpon wciskało.  
Spojrzał—nad głową dwoje ócz ognistych,  
Jak dwa pioruny ze chmury, wisiało.  
Chciał strząsnąć, porwać, nic dostał rękami.  
Już Johds go dusił, do gardła dostawał,  
Gdy zebrał siły, lecz nie na obronę,  
Na krzyk ostatni. Puszcza jęk odbiła,  
I nagła jasność spuściła się z góry,  
Na białej chmurze promienista postać  
Kobiety w bieli, przed którą straszyla,  
I Johds, co za kark już dusił Witola,  
I karzeł, który drogę mu zastąpił,  
I Giristysy w gałęziach wiszące,  
Wszystko zniknęło i jak sen pierzchnęło,  
Tylko krew ciepła po plecach płynęła,  
I serce bilo, i oczy pałały.  
Zdziwiony Wilol upadł na kolana,  
Bo nigdy, w dzikiej wychowany chacie,  
Takiej kobiety, takiego uśmiechu  
I takiej twarzy nie widział, nie marzył.  
A gdy ją ujrział, serce mu zabiło,  
Nie strachem, jakimś uczuciem nieznanem.

— Ktoś lww?—zawołał.—Jam ci winien życie!  
Zbłąkany w puszczy, pierwszy raz na łowach,  
Byłbym lu nędznie bez słosu, mogiły,  
Skonał, jak bydlę, pod potwór zębami.

Kłóś ty? o Dejwa! Czyliś ty Lazdona?  
 Czyli tych dębów Ragana gościnną?  
 Czyli Miedziojna myśliwych Bogini?  
 Czyli Auslhcja pszczoł lycli opiekunka?—

— Jam matka twoja — zawołała Milda.—  
 Leciałam górą, kiedy jęk twój, synu,  
 Boleśnie w serce tęskne mnie uderzył.  
 Jam matka twoja!—

— Tyś jest matką moją!  
 Nie! Jam jest synem ubogiej kobiety.  
 Malda jej imię. Ojciec mnie dziś stary  
 Pierwszy raz, nie chcąc, na łowy prowadził.  
 On tam gdzieś w puszczy szuka mnie napróżno,  
 Nie śmie sam jeden do chaty powrócić.  
 Jam chłopiec biedny, ty jesteś Bogini!—  
 — Ci ludzie nie są lo twoi rodzice.  
 Jam matka twoja.— To mówiąc, troskliwa  
 Milda go szatą śnieżystą osłania,  
 Szalą, za której dotknięciem cudownym  
 Najsrozsze rany posłuszne się goją;  
 Krew jego ściera, pocałunkiem blizny,  
 I ścisaniem serce bijące uleczą.  
 Napróżno Witol zdziwiony się broni,  
 Prózno się z matki objęcia wyrzywa.  
 (Ina, jak w upał jeleni upragniony,  
 Którego strzały od wud nie odpędzą.



Ani się zraża Witola zdumieniem,  
Ni zimną jego dla siebie bojaźnią.

Wola nareście:—Nie czujeszże, synu,  
Nie czujesz maiki? Czyż serce nie bije  
I krew ci żywiej po żyłach nie płynie?  
Czyliż nic lobie nie mówi przeczucie?—

Chłopiec milczący bał się i nie wierzył.  
— O Dejwa!—mówił— nie chciej mnie uwodzić.  
Jam się w ubogiej wyrobnika chacie,  
Jam się ubogi, nieznany urodził.  
Gdybym był twojem, o Dejwa, dziecięciem,  
Czegożbym w puszczy na ciężkiem wygnaniu  
Tak nędzne życie, tak długo włókl biedny?—  
— Nie wiesz ty, synu, dla czego cię malka  
Daleko oddać i ukryć musiała:  
Bo nad Iwą głową jest zemsta Perkuna,  
Na ciebie duchy mściciele czyhają,  
I wszędzie stawiają zasadzki i sidła.  
Musiałam ciebie w obcych oddać ręce,  
W dalekie puszcze, żebyś uiepoznany  
Przeżył dzieciństwo, aż do lat młodzieńczych,  
Pod skrzydłem swego ubóstwa tajemnic.  
Tutaj spokojnie przepędziłeś lata.  
Które gdzieindziej jużby walką były.  
Możeby Grajtas, szukając po świecie,  
Odkrył cię dawno, w kolebce udusił,  
A moje serce zakrwawił na wieki!—

—Malko! a za cóż ta zemsta Perkuna?—

—Ro ojcem twoim był nie Róg, lecz człowiek.—

— Gdzież jest mój ojciec?—

— Dawno już zabity.

Gdyś ty się rodził, on, bojąc się zemsty,  
Dumny, sam sobie zadał śmierć okrutną!—

—A gdzież jest jego mogiła? o matko!—

—W puszczy nad Niemnem, na wzgórzu zielonem.—

— Pójdźmy tam do niej, poprowadź mnie, Dejwa!—

— Nie! Tam oddawna Grajtas już czatuje,

Do wie, że syna najłatwiej mu znaleźć

U grobu ojca ze Izą i ofiarą.

Kiedyś w noc ciemną polecim tam razem.

Lecz teraz, synu, czas gdzieindziej tobie.

Nie możesz zawsze w tej chacie pozostać.

Nic dość masz siły na zwalczenie Rogów.

Trzeba, byś poznał świat i jego tajnie,

I wszystko, co się przed tłumem ukrywa,

Co tylko starzy ołtarzów kapłani

Z ust do ust sobie od wieków podają.

Chodź ze mną!—rzekła. Lecz Witol się wzbrania.

•—Pozwól mi — rzecze — pożegnać się z ojcem.—

— Jeszcze go potem obaczysz, mój synu!—

— Pozwól mi z matką pożegnać się, starą,

I z braćmi mci, siostry, i tą chatą,

W której lat tyle spędziłem spokojnie.—

— Nie! Czas nam lecieć! Jeszcze ich zobaczysz.

Kiedyś tu później zawędrujesz może.

Lecz nie płacz po nieli, za życiem dziecięcem;  
Zapomnij! Inne gotuję ci życie,  
Piękne, jak Sanie gdy świeci w południe,  
Wielkie, jak niebo nad morzem rozpięte,  
Głośne, jak grzmoty starego Perkuna.  
Syn Mildy miałby płakać lat spędzonych  
W pogardzie, w nędzy?! zegnać towarzyszy  
Sromoly swojej?!—To rzekła Bogini,  
Witoła szatą śnieżystą osłania.  
Młodzieniec zadrzał, spogląda zdziwiony,  
Tuli się drżący do matki, i wzlata  
Po nad drzew wierzchy, wyżej, po nad chmury,  
I nic z wysoka nie widzi już ziemi,  
Którą westchnieniem pożegnał żałośnym.

1. Słońce.



oboje lecieli w milczeniu

Pod nimi słońce zapadło czerwone  
I Wakarinne<sup>1</sup> weszła na niebiosa;  
Pod nimi słyhać było tysiąc głosów  
W jeden głos zlanych, zmieszanych z wiatrami.  
Kiedy się czasem ku ziemi zbliżyli,  
Światła migaly i szumiały rzeki;  
Lasy, czarnymi kołysząc głowami,  
Cós z przelotnymi gwarzyły chmurami.  
Oni lecieli ciągle ku północy,  
Aż się nad zbiegiem u dwóch rzek spuścili

1. Gwiuztla wieczorna.

Mał wielką, rielią, zieloną doliną.  
Tu się dąb wznosił stary, rozłożysty,  
Sani jeden, jakby strażnik tego miejsca.  
Mur sześciocienny wkoło go otaczał,  
Jak orszak, który xiążąt w bitwie strzeże.  
W jednej z ścian były wrota do świątyni.  
Tam połyskały straszne Dogów twarze:  
Perkuna, który grom w rękach piastował.  
Czarne Pokolc, olbrzyma Atrimpa.  
Inni Bogowie dokoła ścian stali.  
Tam był Wirszajtos, Szejbrato, Zieiniennik  
Przy nich ofiarne ołtarze rzędami,  
Od krwi i dymu okopcialc, czarne,  
Ognia i ofiar jutrzejszycli czekały.  
U stóp ich jeszcze wały się kości,  
I popiół ziemię ubitą pokrywał.  
Po za murami wielkie drzewa stopy  
Przygotowano na ołtarz Perkuna,  
Przed ojca dębów poważne konary.  
I widać było świetny blask od Znicza  
Wśród ciemnej nocy, jak xieżyc u wschodu  
Połyskujący na murach czerwonych.  
A nad ołtarzem, z spuszczonei głowy.  
Strażnicy ognia w milczeniu siedzieli.

Ma prawo bramy dom Krewe-Krewejty;  
Ma lewo stała podróżnych gospoda;  
Dalej czerniały Wejdałotów domy

I Sigonotów ubogie chrominy,  
I wędrowników pobożnych szalasy.  
Wszystko lam spało, tylko u ołtarza  
Dwóch Wejdałotów ogień podsycalo;  
Drzewem, bursztynem, żywicą karmiony,  
Błyskał i żółtym wznosił się płomieniem;  
Niekiedy ostry, jak strzała myśliwca,  
To zwity w kłęby, jak chmura wiatrami  
Szybko pędzona po zachodriem niebie.  
Nad nim dym wonny w górę się unosił,  
A w jego mglistych, sinawych zasłonach  
I twarze Bogów i strażników twarze,  
Zmieszanc, żyć się i ruszać zdawały.

Milda stanęła: bo Wilol 'zdumiony,  
Choć nieraz słyszał o Bogów świątyni  
Dziwne powieści przy ogniu wieczornym,  
Ciekawe oczy na wszystko otwierał  
I chciwie niemi nowy świat pożerał.  
—Dość patrzeć, synu!—rzekła doń łagodnie—  
Lecą godziny, mnie nazad potrzeba.  
W tych murach, które pożerasz oczami,  
Mieszka najpierwszy, najmędrzy z kapłanów.  
Jego nie tylko Litewski lud słucha,  
Lecz barbarzyńskich krajów Kunigasy;  
Króle północni o radę go proszą  
I corok hołdy i ofiary znoszą.

On godzi swary, wojnę wypowiada,  
On wróży szczęście, nieszczęście przepowie,  
I on wie wszystko i u Bogów może.  
Do niego cicić na naukę wiodę,  
Żeby ci odkrył wszystkie tajnie życia,  
I dal ci poznać Dungus, Bogów ziemię,  
Ten Dungus, który po nad głową twoją  
Piorunem grozi i zemstą Perkuna.  
Tu sil nabierzesz do walki potrzebnych;  
Walki tak długiej, jak żywot twój cały.  
Ten kapłan ojca twojego jest bratem.  
W imie go brata zaklnę, będę prosić,  
Żeby cię przyjął i schronił od burzy:  
Bo to jest jedno miejsce, gdzie cię Grajtas  
Szukać nie będzie, domyślić się nie śmie;  
Jedno, w którym ty mądrości zaczerpniesz,  
Nasłuchasz dziejów i nauczysz świata,  
W którym naostrzysz twój oszczep do walki,  
I serce twoje na cios zahartujesz,  
A umysł młody wprawisz do przebiegów.  
Teraz tyś jeszcze jak kozłalko słabe,  
Które, gdy w kniei ogary posłyszysz,  
Stanie zdziwione, uciekać zapomni;  
A gdy napadną, nie umie się bronić.  
Trzeba ci siły i w rękę i w sercu!—  
Tak mówiąc Milda, ku drzwiom się zbliżyła,  
Tchnęła, i wnet się rozwarły na dwoje.  
Oni przed Krewe-Krewejtą stanęli.

Starzec był siwy, z pochyloną głową;  
 Włos na niej rzadki bieli! się srebrzysty;  
 Z pod wpadłych twarzy oczy mu świeciły  
 Ostatkiem ognia, resztkami żywota;  
 I sta, jak gdyby odwykłe od mowy,  
 W brodzie ukryte, ściśnięte, milczały.  
 Białą miał szatę, i lniany pas biały  
 Siedemkroć siedem biodra przepasywał.  
 Sparty na ręku modlił się w milczeniu  
 I'rzęd drobnym Boga wielkiego posągiem,  
 Który na szacie rozpostartej leżał.  
 AV ciemnej komnacie blisko niego stała  
 Trójzębna laska, dostojęstwa godło,  
 I czarna jakaś wojenna chorągiew,  
 I czapka strojna w perły i łańcuchy.  
 On siedział, spojrział; milcząc, podniósł oczy  
 I czekał, alty pierwsi się ozwali.  
 •—Ojczy!—Bogini pocichu wyrzekła—  
 Baz lo już drugi w kobiecej postaci  
 Oczóm się twoim objawiani zdumionym;  
 Pierwszy, gdy brat twój umarł zład daleko.-

Bądź pozdrowiona, wielka Dejwa Mildo!  
 Zawołał, wstając, i padł na kolana  
 Starzec; lecz Milda skinieniem znać dała—  
 Podniósł się zwolna, i, złożwszy ręce,  
 Z spuszczoną głową słucał jej rozkazu.





— (Ho jest — rzecz — syn twojego brała.  
Wiesz, jakie losy Perkun mu gotuje.  
Chceszli go przyjąć, wyuczyć tajemnie,  
I wlać mu mądrość, klórą sam posiadasz,  
Do przyszłej walki uzbroić go w siły?—

— Straszny — rzeki starzec — straszny gniew Perkuna!  
Zemście się jego nie oprą i Dogi.  
Gdzież skryć się przed nim? dokąd nie dosiężc?  
Dokąd posłańcy jego nie doleczą?  
Przez siedem światów piorun jego bije,  
Za siedem mórz się prawica wyciąga,  
A jego duchy do pieczar Poklusa  
I do krainy wschodniej dolatują.  
O Dejwa! straszny, wielki gniew Perkuna!  
Do w jednej chwili w proch ludzi druzgota!—  
— Lękasz się — Milda odrzekła powolnie.—  
Nikł tu dziecięcia nie znajdzie u ciebie.  
Ja ducha zemsty w inną stronę zwiode;  
Inne, daleko, w drugim końcu świata,  
Naznacę dziecię na zgubę i zemstę.  
Przyjm go! Sierota, on niema nikogo,  
Ni matki nawet! bo i ja dla niego  
Zrzec się go muszę, by, kryjąc, nic zgubić!  
Na pamięć brata, co w śmierci godzinie,  
Kiedy duch jego na wschód ulatywał,  
Jeszcze o tobie wspominał przed zgonem,  
Ty przyjm go, starcze! ocal od zagłady!—

Słuchał jej Krewe w posępnem milczeniu.  
— O wielka Dejwa! niechaj się tak stanie—  
Ilzckl wreście—laka na mnie losów wola.  
Ja go przyjmuję. Dęilzie moim synem.  
Jeśli na starość przyjdą z nim nieszczęścia,  
Jeśli mi skończyć ciężko przeznaczono,  
Wolą się moją wyroki nie zmienią.  
Niechaj zostanie. Tak Pramżu napisał.—  
Powiedział starzec, i na znak przysięgi  
Ręką się prawą za gardło uchwycił.  
— Przysięgam, Dejwa, wszystko w niego wlej  
Cokolwiek długie doświadczenia lala  
Przed mojem okiem tajemnic odkryły;  
Wszystko mu oddam po sobie w puścizmie;  
Co już oddawna w mej duszy zamarło,  
Co się w pamięci zatarło latami,  
Dobędę znowu wszystko i przypomnę,  
Wszysłkiem do walki strasznej go uzbroję:  
Bo całe jego życie widzę z czoła,  
A życie jego będzie długim bojem.—

Skończył i oczy podniósł; a Bogini,  
Szałą się mglistą osłoniwszy cała,  
Rzuciła uśmiech w nagrodę starcowi,  
Znikła; a Witol sam się z nim pozostał.



WIEKU miody! lysz wiosną  
człowieka!

Na tobie ziarno przyszłości  
on sieje!

Twoim on ogniem resztę  
wieku żyje!

Biada, kto miody na świat  
patrzy siaro,

Zimnemi piersi, obojętnem okiem,

I nic nie znając, nic poznać nie żąda,

Nic nie uczuwszy, nic uczuć nie pragnie!

Lecz błogo, błogo, gdy z duszą młodzieńczą

Wynijdzie na świat chciwy świata człowiek;

Wszystkiego żąda; wszystko chciałby w chwili

Pożreć i objąć, pojąć i zrozumieć!

O! wówczas życie, lo podróż wesoła!

Co chwila nowe objawią się kraje,  
I coraz świeże wabią go obrazy;  
Świat rąk tysiącem serce mu oplata,  
Tysiącem myśli głowę mu uwieńcza,  
Tysiącem żądz duszę mu kołysze.  
O! wówczas młodość jest słodką godziną!  
Człowiek się uczy, pragnie i spodziewa.  
A czegoż więcej do szczęścia potrzeba?  
Pragnienia tylko, zapału, nadziei.



Tu Witol młody, gdy w insze wszedł zj  
Gdy świat tak wielkim zrozumiał, ohaczył,

Gdy tysiąc cudów odgadnąć zapragnął,  
Chciwy na starca nauki się rzucił;  
A on, jak gdyby niepotrzebne skarby,  
Długimi laty mądrość przyzbieraną,  
Której nikt nie chciał, nikt mu nie zazdrości,  
W gorącą duszę Witola wylewał,  
Jak drogi napój w kosztowne naczynie.  
Słodko mu było u życia zachodu  
Widzieć, jak myśli, które w nim przygasły,  
W młodzieńczej duszy kwilnęły rumiane,  
I nową siłą pojone, ożyły;  
Słodko mu było widzieć, jak to ziarno,  
Ledwie zasiane, zielono bujało;  
Słodko mu było w tej dziewiczej duszy  
Drugiego siebie uczuć, z złotem skrzydłem,  
Z odważną piersią i długą nadzieją.

Starzec powoli w wieczorne godziny  
Dawne mu ojców opowiadał dzieje;  
O Dejwach uczył, o przodkach, o duchach,  
I o tycli gwiazdach, co duszy człowieczej,  
Patrząc się z góry, strzegą i pilnują.  
Nieraz wśród ciszy, gdy spało Romnowe,  
A święty ogień gasnął na ołtarzach,  
Gdy Menes smutny, z porąbaną twarzą,  
Szedł wolno w chmurach, czatując jutrzeńki,  
Oni czuwali; i w długiej rozmowie

Noc im przebiegła, jak strzała do celu;  
Noc, jaką człowiek kiedy raz przeczuwa,  
Będzie ją potem do śmierci wspominał.

— Ten świat lak wdzięczny—mówił do Witola  
Krewe-Krewejlo, siwą gładząc brodę—  
Ten świat już tak jest odwieczny, lak siary!  
Tysiąc tysięcy lat po nim stąpało;  
Tysiąc tysięcy pokoleń przepclzło,  
A pamięć czasów i ludzi wspomnienia  
Wody rozmyły i wiatry rozwiały;  
I ludzkie kości w mogiłach spróchniały,  
I na mogiłach puszcze powzrastaly.  
Tam, gdzie się świeci złota gwiazda wschodu,  
Tam ojców naszych, i naszych nadziei,  
Przeszłości naszej, przyszłości kraina.  
Skłoń głowę—ojców lam mieszkają cienie.  
W tamtej to stronie dziadów naszych kości  
Śpią, nogą obcych wdeptane do ziemi.  
I my tam pójdziem połączyć się z niemi.  
Dawno lo, dawno, ojców naszych dziady  
Z braćmi się swemi darli w tamtym kraju.  
Ciasno im było; głód ich nękał ciężki;  
I gdy się dziecię rodziło, płakali:  
Do dziecku miejsca nic było w ojczyźnie.  
Tak codzień gorzej, głodniej, ciasniej było,  
Codzień się mnożył niepokój i zwady.

Trupy się braci walały po drogach.  
O garstkę zboża, o dzikie owoce,  
Rodzeni bracia bili się, jak zwierzę.  
Naówczas starszy kapłan lud swój zwołał,  
I płacząc, mówił, żeby szli na zachód;  
Ze tam jest ziemia pusta i dostatnia,  
Która ich wszystkich przyjmie i wyżywi.  
Ale nikt nie chciał w tak daleką drogę,  
Nikt nie chciał swoich i kraju porzucić,  
I mogił ojców, i chaty pradziadów.  
Każdy chciał zostać, a choćby i umrzeć,  
Byleby w swojej ziemi, między swemi.  
Lecz kapłan młodziej braci iść rozkazał;  
Przyrzekł, że wrócą do ojców krainy,  
A duch ich do niej po śmierci przyleci,  
Jeśli się wzajem zabijać nie będą,  
I o swej wierze i ojczystych Bogach  
Dla obcej ziemi nic stracą pamięci.  
Wyszli więc młodsi. Szli długo przez góry,  
I szli przez rzeki, i po morza brzegach,  
Aż przyszli w Litwę, i znużeni drogą,  
U morza, Niemna i Neris osiedli,

Widziałeś, synu, mogiły wysokie,  
Które po lasach wznoszą się, dębami,  
Sosny słaremi i lipy pokryte.  
Tu ojców groby. W nich leżą olbrzymi.

Myśmy skarłale wielkoludów szczątki,  
 Myśmy potomki ojców, których kości  
 W dziecinnych naszych nie udźwiguem ręku.  
 Bogi skarłaly, i ogromne ludy  
 Zeszły na karły bezsilne, trwożliwe,  
 Z duszą tak małą, jak drobne ich ciała.  
 Spójrz w te mogiły. Gdy je wiatr rozwieje,  
 W nich kość, jak dębu stary pień, bieleje;  
 Czaszka, miedzianym wężem uwieńczona,  
 Strzaskana w czworo, większa, niż ty cały;  
 A wielka dusza gdzieś w ojców krainie  
 Płacze, bo się już nie odrodzi w synie,  
 Bo dzieciom z woli Bogów się dostało  
 Dusza zmałała i zdrobniałe ciało.

i

Dawno już Pramżu ten stary świat stworzył,  
 I pierwsze lala młodej jeszcze ziemi  
 Słodkie, jak każda młodość, być musiały.  
 Ale niedługo ludzie się popsuli:  
 Do tyle złego sama ziemia płodzi  
 Z tenii darami, które dla nas rodzi!  
 Powstały wojny, nienawiści, zdrady—  
 Brat zabił brata, ojciec przeklął syna,  
 A matka córkę, a dzieci rodziców.  
 Naówczas Pramżu spojrział z okna niebios;  
 Spojrział, i swojej nie mógł poznać ziemi.  
 —Toż lo jest świat mój?! toż lo moje dzieci!



Gdzież jest ta zgoda, którą ja posiałem?  
Gdzież są te cnoty, które w dusze wlałem?—  
Rzekł, ręką wrota otchłani- odrzucił,  
Gdzie duchy, siedząc, rozkazów czekały;  
Dwa z nich wywołał, kazał im na ziemię.  
Wanda i Wieją ' poszły; w ręce wzięły,  
Zaczęły światem kołysać i chytać,  
Aż wszystkie morza do góry się wzdęły  
I z brzegów swoich na ziemię się lały.  
Zalały wzgórze, doliny zrównały.  
Przez dni dwadzieścia, przez dwadzieścia nocy,  
Trwał potop wielki. Ludzie z gór na góry  
Próżno się biedni rzucali, płynęli :  
Nigdzie im Pramzu suchego kawałka,  
Nigdzie suchego nie zostawił kraju:  
Do na przeznaczeń kamieniu odwiecznym  
Wryło było, że wszyscy wyginą.  
Lecz kiedy wyjrzał na skaraną' ziemię,  
Widział ją Pramzu pustą i zalaną,  
Widział, jak morskie płąsały potwory  
I po nad całą ziemią panowały,  
Zal mu był ludzi. A jeszcze ich dwoje  
Gdzieś na wierzchołku góry jednej drżało.  
Pramzu jadł właśnie niebieskie orzechy,  
I rzucił z góry orzecha łupinę.  
Wsiedli w nią starzy. Pramzu zamknął duchy

!. Woila i Wiilr

I znowu wrota na otchłań zarzucił.  
Morza do brzegów, rzeki do łożyska,  
Wszystko, jak dawniej, na miejsce, wróciło,  
I ziemia znowu zieleniec zaczęła,  
A trawa kości skaranych pokrywać.

Dwojgu tym ludziom na znak pojednania  
Pramżu na niebie zawiesił Linsminę  
Laskę pokoju, obietnicę zgody.  
Lecz z tyłu ludzi tysięcy zostało  
Dwoje ich tylko, i to starców dwoje:  
Niewiasta, która rodzić już przestała,  
I mąż, co władać oszczepem nie zdązał.  
Linxmine wolą Bogów im przyniosła.  
Ona im rzekła:—Skaczcie przez kamienie, •  
A każdy kamień w człęka się przemieni.—  
Ilekróć stara skoczyła niewiasta,  
Tyle się kobiet narodziło młodych;  
A ile razy ów starzec przeskoczył,  
Tyle się synów od ziemi podniosło.  
Tak od nich dziewięć par powstało ludzi,  
I dziewięć pierwsze Litwy pokolenia,  
Które podziśdzień mieszkają na ziemi;  
Dziewięć pokoleń, jak dziewięć jest maści  
Koni ofiarnych, które święcą Dogóm.

Było to dobrze przed ojców podróżą.  
Jeszcześmy wszyscy we wschodniej krainie,  
Na swojej ziemi długi czas mieszkali;  
Jeszcze naówczas nie skarłały ludy,  
I rosły wyżej głową po nad lasy,  
A morze było w kolano olbrzymom.  
Cięższe już było po potopie życie.  
Człowiek za grzechy pierwszych pokutował:  
Bo ziemia była niepłodna i mokra,  
A błót i jezior z potopu zostało  
Więcej niż lasu i suchego pola.  
Ludzie pomiędzy puszcze się tulili,  
W budach i dołach od burz się chronili,  
Zołądźką spiekł( i mięsem surowem  
Nędzne swe życie krzepiąc, jak zwierzęta.  
Bronią im palka, a odzieżą skóra,  
A chatą były lasy niedostępne.  
Jeszcze dziś ujrzysz podobnych, co dziko  
Po za błotami w ostępach się kryją,  
I z dzikiem zwierzem, jak zwierz dziki, żyją.

Lecz gdy lat wiele spokojnie lak przeszło,  
Królowa krajów z nad morza białego  
Krumine, córkę powiła Nijołę,  
W zamku nad rzeką Bossą zbudowanym.  
Kraj bowiem zdawna miał swych Kunigasów

I. Bałtyk.

Co temi liuly po puszczech rządili;  
Ale, jak one, nędzni lakże byli.  
Nijola piękną wyrosła dziewczyną;  
Ale się matka nie cieszyła długo—  
Ujrzał ją Poklus wielki Bóg podziemny,  
Straszną miłością w sercu się zapalił,  
I przysiągł, że ją mieć będzie za żonę.  
Czatował na nią, ale porwać nie mógł—  
Matka jej strzegła jak skarbu drogiego.  
Rzadko Nijola wyrwała się straży,  
Żeby z dziewczęły pobiegać wiejskicnii.  
Raz tylko wyszła dla matki po kwiaty,  
Co po nad brzegiem rzeki rozkwitały;  
Chciała je sama własną zerwać ręką;  
Na suchej trawie zrzuciła obówie,  
Wstąpiła w wodę—już Poklus czatował,  
Chwycił i zaniósł na ręku do piekła.  
Naówczas krzykiem rozbiegły się brzegi,  
Pobiegły dziewczki, leciała Krumine,  
Przyszła nad rzekę, lecz zastała tylko  
W zielonej trawie zrzucone obówie.  
I nikt nie widział, gdzie córka najdroższa,  
Kędy się młoda Nijola podziała.  
Królowa w gniewie córki swojej sługi  
Zaklęła w Nendry co rzeki pilnują.  
Suche, smutnemi kołysząc głowami,

Patrzą i swojej królowej czekają,  
Czyli się znowu nie pokaże z wody.

Krumine wyszła córki swojej szukać.  
Przeszła świat płaski, nigdzie jej nie było.  
Płacząc, się nazad do Litwy wróciła.  
Ale z podróży przyniosła do kraju  
Drogie nasiona zbóż, uprawę roli.  
Wówczas się Litwa w żyzny kraj zmieniła.  
Wycięto puszcze, podniesiono skiby,  
Zasiano ziarno, i dzicy raz pierwszy  
Zeszli się w Kiemas <sup>1</sup> na insze już życie.  
Odtąd powoli dzicz znikać zaczęła;  
Ludy z daleka przyszły tu handlować;  
Jedni na Lajwach <sup>2</sup> ku nam przyplływali,  
Drudzy przez kraje dobiegli sąsiednie,  
Niosąc nam srebro i złoto za bursztyn,  
Za skóry zwierząt i wosk naszych barci.

Ale gdy obcy wypatrzyli u nas  
Lud silny, ziemię, co długi len rodzi,  
I drogi bursztyn, który morze daje,  
Pozazdrościli nam Litwy, i wkrótce  
Wiele ich zbrojnych na Lajwach przybyło.  
Zaczęli Litwę bezbronną mordować,

1. Wsie.

2. Łodzie.

Gwałcić niewiasty, mężów pętać w łyka,  
 Bo kraj nasz posiąść zwyciężony chcieli.  
 Przestrach po Litwie poleciał jak strzała.  
 Jedni w las biegli, drudzy w progu domu  
 Płakali, myśląc, co się z niemi stanie.  
 Wtem poseł Krewy z laską kraj przeleciał.  
 Krewe się wszystkim rozkazał gromadzić.  
 Każdy wziął oszczep, i pożegnał żonę,  
 Dzieci uściskał, jakby na stos idąc:  
 Wszyscy się bowiem napastników bali,  
 I pewnej śmierci lub pęt wyglądali.  
 Wikt nie śmiał nawet myśleć o zwycięztwie.  
 Lecz Perkun Khawę<sup>1</sup> zesłał im na wodza.  
 Litwini wpadli na oboz wśród nocy,  
 Pobili obcych, zatopili lodzie,  
 A resztę w ciężką zaprzęgli niewolę. '

Długo ich potem widziano na Litwie  
 Wiodących życie z bydłety po chlewach,  
 Lub pług ciągnących ciężki na nowinach.—

Tak mówił starzec, wpatrując się w niebo.  
 A Witoł, słowa połykając chciwie,  
 Siebie i świata dla nich zapominał.  
 Potem mu starzec cześć Dogów tłómaczył:

—Ten niewidzialny, odwieczny, niezmienny,  
 Który napisał przed laty, co będzie,

1. Bóg wojny.

Którego wyrok na wlos się nie zmieni,  
Jest Okkapirmas, Bóg nad wszystkie Bogi.  
Syn jego Pramżu panuje nad ziemią,  
Strzeżąc spełnienia ojcowskich przeznaczeń;  
Czyta, co ojciec wyrył na kamieniu,  
I wie, co będzie; lecz co jest, nie zmieni.  
Perkun nad ludźmi panuje przestrachem;  
On w rękę trzyma pioruny i burze;  
On grozi, kiedy cześć Bogów się zmniejsza;  
Piorunem karze, gdy go człek rozgniewa.  
Pramżu nic patrzy na ludów mrowisko;  
On czyta losy w przeznaczenia głazie,  
Co było, będzie, przed wieki, na wieki,  
Lecz rzadko oczy na ziemię odwraca.  
Perkuna piorun ludzi tylko ściga,  
Drzewa obala i puszcze druzgoce;  
Lecz Pramżu kiedy uderzy o ziemię,  
Kiedy ją pocznie ćwiczyć silną dłonią,  
Drży ziemia z strachu i trzęsie się cała  
Perkun z inneni władzę swoją dzieli;  
Sotwar oświeca, Atrimp wód pilnuje,  
A Poklus piekiel, w których jęczą dusze,  
Ziemiennik głody lub urodzaj daje.—

I jął mu starzec liczyć Dogów wiele,  
Obrzędy ofiar, tajemnic i wróżby.

1 Trzęsienie ziemi.

—Kiedy rok nową wiosną się zaczyna,  
 Karwilis<sup>1</sup> łąkom świeżą odzież daje.  
 Twej matki Mildy obchodzimy święto.  
 Wielkie to Bóstwo, co węzłem braterskim  
 Łączy nas wszystkich i uściskiem spaja;  
 Co przypomina, że dziewięć pokoleń  
 Z jednej się pary w jednym dniu zrodziło;  
 Wielkie to Bóstwo, co małżeństwom świeci,  
 Zsyła im zgodę i roskosze mnoży.  
 Ciągną się starce, młodzieńcy, dojrzały,  
 Przed ołtarz Mildy z ofiarą nabożną:  
 Stary, co miłość doznaną wspomina;  
 Młody, co jeszcze miłości wygląda;  
 Dojrzały, co jej trwanie chce przedłużyć.  
 Nawet zwierzęta jej władzy posłuszne,  
 Płaszczą się przed nią; dzicy puszczy mieszkance  
 Zapomną walki, łagodni się staną,  
 Gdy na nich Bóstwo okiem tylko rzuci.  
 Na wiosnę także Pergrubją<sup>2</sup> witamy;  
 Prosim Perkuna, by powściągnął burze;  
 Swajstysa, żeby światła nam nie skąpił;  
 Pilwity<sup>3</sup>, żeby dary swe mnożyła;  
 A Mildy, żeby wszystko osłodziła,  
 I dała zgodę, pokój między bracią,  
 I miłość droższą nad Pilwity skarby.

1. Miesiąc gołębi (Maj).

2. Bogini wiosny, kwiatów.

3. Bóstwo dostatku, bogactwa.



W pierwszy dzień wiosny, luedy słońce wslaje,  
 Litewskich Kiemów<sup>1</sup> dziewczęta się budzą,  
 Diegąc u wschodu powitać Pergrubie  
 W wozie Lelusa<sup>3</sup> przez nieba jadącą.  
 Zda się naówczas, że wszystko odżywa:  
 Bo to dzień wielki, dzień to tajemniczy.  
 Wszystko stworzenie jemu się raduje.  
 Kwiaty ku słońcu wesolo patrzą;  
 I więcej w tym dniu jednym ich rozkwita,  
 Kiedy Sulinkaj<sup>3</sup> nad niemi zaświeci,  
 Niżeli potem przez całe miesiące.  
 Dzień to wesela—wszystko po wsiach żyje;  
 Młódź i kobiety ofiary składają;  
 Każdy się do niej choć cząstką przyłoży;  
 A kiedy Dejwie wiosny kozła biją,  
 Krew jego lejąc, le słowa śpiewają:

— *O Patii nasza! Botjitti Pergrubie!*  
*Ty, która zimę precz od nas odpędzasz,*

*\*Pt/, która trawy i laviaty oiywiasz,*

*Prosim ci f, spojrzij i na zboia nasze,*  
*Pomnói nam plony, wytęp chwasty szkodue,*  
*/ podnieś kłosy, jak podnosisz trawy. —*

Jeśli ich nędza, ciężki głód uciska,  
 luną modlitwą Auszlawisa proszą,

1. Wsie.
2. Słońca.
3. Pierwszego Wnia roliu uazwanie.

Żeby im rękę podał i uzdrowił;  
Lub Puschajtisa podziemnego Boga,  
Żeby się do swej starszej braci wstawił.  
O ciemni ludzie! zamiast się -poprawić  
I zemstę Bogów od siebie odwrócić,  
Oni Bóstw nowycb w Dungusie szukają,  
Niezasłużonej prosząc u nich łaski.  
Nim Pilwit nowe zesze im dostatki,  
Oni na uczcie, oni na weselu  
Drogi czas pracy przetrawią i zgubią.

Na wiosnę także jest pastusze święto.  
W trzodzie wieśniaka bogactwo i doba.  
Proszą, ażeby Goniglis<sup>1</sup> jej bronił,  
A Lelus<sup>2</sup> swoim światłem dobroczynnym  
Drapieżne zwierzę od trzody odganiał,  
Kiedy się z puszczy zdradliwe zakrada.

Ujrzysz lv kiedyś te wiejskie obrzędy,  
Co się na uczcie kończą i biesiadzie  
Szałem pijanych, młodzieży rozpustą :  
Posłyszysz kiedyś tę piosnkę pastuszą,  
Którą, pamiętam, w zielonych dolinach  
Słyszałem kiedyś, biegając chłopiędem:

1. Bóstwo pastusze.
2. Słońce.

— *Gonujlu- Bożku ! paś moje stado,  
Paś mi buhajka i krowę ;  
Nie puść złodzieja wilka , o Lado,  
łyki nasze i dąbrowę.*

*Owce pasiemy po błoni,  
Ciebie, wilku , nie lękamy —  
Ilójt i złotym włosom na skroni  
Nasze stado pasie z nami.—*

Latem przychodzi wielkie święto Rosy.  
Jest to odwieczna uroczystość nasza,  
Święto nad święta, którego początku  
W dalekich wiekach za nami nie widać:  
Ro je przodkowie ze wschodniej krainy  
Przyniesli tutaj z Rogami swojemi.  
Wielkie to święto, wielka radość ludu!  
— Lado!—wołają, biegając szaleni,  
I ognie palą, cieszą się, weselą,  
Całą noc krótką czuwając na dworze.  
Noc ta jest nocą tajemnic i cudów;  
Lecz tłum choć czuwa, nic nie widzi wkoło,  
Biesiadą tylko zajęty i gwarem.  
Biada tym, którzy to święto znieważą!  
Ludzie odepchną, Bogi ich ukarzą,  
I pójda nędzni gdzieś w pogańskie kraje  
Dokonać reszty nędznego żywota  
Z przcklęctwem braci ciężącym na karku

I zemstą Bogów wrytą na czole.  
Tej nocy ludzie mogli, gdyby chcieli,  
Dostać od Bogów mądrości i siły;  
Lecz oni wolą przy ogniach ucztować.  
I tak jest dobrze—takie przeznaczenie.

Gdy pierwsza kosa dotknie zbóż dojrzałych,  
Obchodzą po wsiach wesołe zażynki  
Ofiarą wielkiej Królowej Krumine,  
Która im pierwsze przyniosła nasiona.

Gdy Siłlu miesiąc na niebo się wtoczy,  
A w polu wszystkie roboty skończone,  
Naówczas wielką dziękczynną ofiarę  
Ziemiennikowi ze zwierząt składają;  
Diją je, warzą, przy śpiewach wesołych  
I przy modlitwach wiejskiego Wurszajla  
Którego na ten obrzęd uroczysty  
Zpośrodku starszych na wiosce wybiorą.  
Jest w Szwenla-Mesla posąg Ziemiennika,  
Który co roku, kiedy z pola zbiorą,  
Stary zdejmują i tłuką w kawałki,  
A nowy święcą, bijąc lllll ofiary.  
Jest to nauką, by lat, co skonały,  
Zapomnieć nieszczęść, żyć jutra nadzieją.  
Może lo cała szczęścia tajemnica.

1. Kaptan wiejski.

Jesl potem święto na ojców pamiątkę.  
Dzień to Wellony. Jej krewni wzywają,  
Azeby braci, ojców, matek, żony  
Duchom na ziemię zstąpić dozwoliła,  
I znowu zasiąść za siołem ze swemi.  
Święto Cbaulurej jest świętem pamiątek.  
Wszyscy się ciągną na ojców mogiły,  
Umarłym jadło i napój przynoszą,  
I płacząc po nich, do uczty spraszają.  
Ten dzień nas łączy z umarłym już światem.  
Nieraz naówczas ze wschodniego kraju,  
Wyrwane jękiem, prośbą i modlitwą,  
Duchy nad ziemię naszą się zniżają,  
I łzawym oczóm potomków się jawią:  
Albo jak mara, co w nocy przelata,  
Albo jak ptaszek, co na bzach świergoce,  
Albo jak Lejlas<sup>1</sup>, na którego skrzydłach  
Duch śmierci wyrzył tajemnicze runy.  
Ubodzy polem, po zmarłych dziedzice,  
Desztki biesiady z mogił zabierają.

Na ligi święto Perkuna przypada,  
W wielkim miesiącu. Po nim na wsiach Litwy  
Święto Waj/gauta kobiety obchodzą:  
Do len jesl także bogactwem Litwina.  
Dni Messedrines są Bożka Raguta.

1. Motyl.

Pora to szalu, rozpusty, pijaństwa.  
Ode wsi do wsi srokatym zaprzęgiem  
Wiozą bałwana, wykrzykując pieśni,  
Ciehyeb przechodniów ciągnąc do biesiady,  
Którą kapłani Polinikaj święcą.  
Zdała za tłumem siarce i staruchy  
Wloką się, pieśniom wtórując pijanym,  
Skacząc i krzycząc:—Piagutas, Ragulas!—  
Lud w owym szale pracy zapomina,  
I resztę siły na julro potrzebnej  
W długiej rozpuście rozprasza niebaczny,  
Myśląc, że lego wymagają Bogi.

Polem już koniec Irzynastu miesięcy  
Obchodziło w święcie największem Kolady.  
Naówczas lud się od grzechów oczyszcza  
Kozłem ofiarnym, gorącą modlitwą;  
Kapłan ofiarną krwią skrapia zebranych;  
A po godzinie ciszy i spokoju,  
Znowu do szalu i biesiad wracają;  
I w Blukku Wakars pałac rok przeżyty,  
Cieszą się, że już daleko za niemi;  
A nowy bałwan ubrawszy w błyskotki,  
Jako skarb drogi, do domów odnoszą.  
O! lud nasz, synu, lubi się weselić;  
Nawet ofiary, naszych Bogów święta,  
Ucztą, biesiadą i szałem zamyka:

Bitny on w polu, pracowity w domu,  
Ale na jutro i siebie niepomny;  
Czci dzień dzisiejszy, jak ojców wspomnienie,  
A burza, która nad głowy się zbiera,  
Dopiero straszna, kiedy weń uderzy.  
Nigdy jej Litwin przewidzieć nie ząda,  
Nigdy się od niej uchronić nie stara.  
Gdy pełne chaty, nabite stodoły,  
Jedzą i piją, dopóki wystarcza;  
Przyjdzie głód potem—wszyscy się rozbiegą  
I pójdą chleba daleko gdzieś szukać.—

Tak mówił starzec; a "Wilol spragniony  
Słuchał go duszą młodą i ciekawą.  
Drugi raz patrząc w niebo mądry Krewe,  
W błyszczące gwiazdy zgasłe oczy wlepiął,  
I Wilolowi dawne prawil dzieje  
Xiężyca, słońca i gwiazd ich orszaku:

— Słońce Bogini jest sięzyca żoną.  
Codzień powstaje ze wschodniego kraju,  
Z mokrej kąpieli, na wozie złocistym,  
W którym trzy konie wprzężone hasają.  
Powolnie niebo przejeżdża dzień cały,  
Aż znowu wróci na łoże spokojne.  
Z ich się małżeństwa gwiazdy porodziły,

Co jaśniejszemi promieniami świecą.  
Mniejsze, ich wnuki, niedorośla dziatwa.  
Synowie słońca zaludnili niemi,  
Wprzód puste jeszcze, te nieba szerokie.  
Niedługo księżyc został żonie wierny,  
Jak pierwszej wiosny, pierwszego dnia ziemi;  
Wkrótce on córkę jutrzeńkę pokochał,  
Unikał słońca, w nocy zaczął chodzić,  
I pod dzień biały na niebie się bawić.

Słońce raz wyszło wcześniej z łoża swego,  
J niewiornego z jutrzeńką zastało;  
ftaówczas miecz swój ogromny porwało,  
Oblicze męża rozcięło na dwoje.  
I odtąd Menes skarany na wieki,  
Co miesiąc dawne powtarzając dzieje,  
Wschodzi rozcięły, póki nie uprosi,  
Aż słońce twarz mu zrąbaną przywróci.

Ta wielka gwiazda jesł lo Wakarinne,  
Gwiazda wieczorna, co w pierwszym dniu ziemi,  
Z pierwszych uścisków słońca i księżycy,  
Zmrokiem się zaraz na niebo włączyła.  
Ona przychodzi świecić od wieczora;  
Pod ranek niknie, na sloneczuóm łożu  
Odpocząć przez dzień do nowej podróży.



Każda z gwiazd mniejszych jest Gulbi <sup>1</sup> człowieka.  
 Z wierzchu żywota nici przywiązana  
 Świeci, dopóki Oll żyje na ziemi;  
 Odcięła ręką Nukirptoj, upada.  
 Hlekroć, synu, lę gwiazdę poslrzeżesz,  
 Co się gasnąca ku ziemi przybliża,  
 Człek to umiera, a duch jego wzłata  
 W paszczę Wizuuu, lub na wschodnie góry.

Ten starzec z brodą, to prorok jest świata,  
 To Udegila <sup>2</sup>, co przyszłość zwiastuje.  
 Kiedy ku ziemi z brodą się nachyli,  
 Głód, mór lub wojnę otrzęsa ze włosów.  
 On lo w noc pierwszą po słońca weselu  
 Pierwszy niewierność siężyca wywróżył,  
 I zamiast pieśni weselnej tańcerzóm,  
 .Nieszczęścia wróży na głowy im rzucił.  
 Patrzaj na północ—-lam Grizulas świeci,  
 Wóz tajemniczy bez rumaków stoi.  
 Dawno lo, dawno, na słońca weselu,  
 Wioząc dziewicę do lip Łajmy gaju,  
 Złamany, w drodze na wieki pozostał.  
 Ta biała pręga zwie się ptaków drogą,  
 .Nią dusze lecą do krainy wschodu.

<sup>1</sup> S(-U7..

<sup>2</sup> Iiuntol.1.

To jest Juksztandis, to Tikulis świętny;  
Ta wielka gwiazda jest gwiazdą Perkuna,  
Jak on odwieczna, jak on nieśmiertelna.  
Inne są także, które Bogóm naszym  
Na jasnych czołach stupromiennic świecą;  
Mniejsze zwieszono po nad ludzi głową.  
Ile icli w górze widzisz tam błyszczących,  
Tyle jest duchów, i Bogów, i ludzi,  
A każdy w niebie mieszka gwiazdą swoją.  
Po nad wszystkimi ma rząd Zwajgzdunoka.  
Ona je zrzuca, gdy człowiek umiera;  
Ona zapala, gdy dziecię się rodzi;  
Ona im światła z wozu słońca bierze  
I codzień świeże na plecach roznosi.  
Gwiazd Boga żona z nim razem swą trzodę  
Po modrej pasie co nocy równinie.— '

Tak mówił starzec; codzień, co wieczora,  
Nową naukę w młodzieńca przelewał;  
I jak jaskinia po nad morza brzegiem,  
W którą od wieków morze skarby składa,  
Bursztyn, korale i drogie kamienie,  
Póki ich rybak znalazłszy nie wydrze,  
Tak starzec wieści, które sto lat zbierał,  
Teraz dopiero wylał ze swej duszy.  
A Witol z całym młodzieńca zapalem  
Wszystko połykał, i zawsze łakomy.

Nowego żądał i o więcej prosił.  
Tak mu spłynęły dwa lata w Romnowe;  
Zmieniły myśli, rozszerzyły serce.  
Widział już świat ten, w który miał się rzucić.  
Przecuciem młodych, a nauką starca.  
Śmielszy do boju, kiedy przyszłość marzył,  
Nie tak ją straszną i czarną już widział:  
I już starego ojca nie żałował,  
Ni chaty w puszczy, ni zabaw dziecięcych,  
Które nie jeden raz wprzód opłakał;  
A w sercu uczuł len zapal do boju,  
I to pragnienie walki z ciężkim losem,  
Których któż w życiu choć raz nie doświadczył?

Tymczasem prędko płynął czas w Romnowe.  
Krew-Krewcję pochylały lata;  
I jak la kropla, co pełne naczynie  
Jedna przepełni, lak jemu godziny,  
Które długiego domierzały życia,  
Już się napróżno wezbrane zlewały.  
Nie czuł ich starzec; ni w życiu rokoszy,  
Ni w duszy swojej sił na dalsze życie,  
Ni w sercu węzła, coby go do świata,  
Coby go jeszcze do ludzi krępował.  
Wszystkie już dawno pęknięte leżały.  
Wzdychał za cichym spoczynkiem w mogile,  
Za połączeniem z ojcami swojemi:

Płakał nad Litwą; lo znowu bezsilny  
Często wśród ofiar usnął i spoczywał,  
Jakby już duszą w wschodni kraj ulatał.

Gdy się rok skończył, w Oczyszczenia święło,  
Po raz ostatni zawołał Witola.  
— Synu!—rzekł—czas już, bym życia dokonał,  
Tak, jak przede mną wszyscy poprzednicy.  
Stanę na stosie i za lud mój spłonę,  
Którego grzechów ni kozie! ofiarny,  
INi modły żadne od kar nie zasłonią.  
Krwii mej potrzeba— oddam im krew moję.  
Tobie, Witolu, zostawuję skarby  
Najdroższe z skarbów—doświadczeń owoce.  
W ciebie przelałem myśl moje i duszę. ,  
Idź w świat, i niech cię pioruny Perkuna  
Miną w godzinie świętej jego zemsty.  
Ja z ojcem twoim i z ojcy naszemi  
Idę się złączyć.—Gdy tak mówił Krowę,  
Błyszczącym okiem w młodzieńca poglądał;  
A on Izę srebrną ukradkiem z powieki  
Ręką ocierał, i kraj starca szaty,  
W milczeniu cisnąc i płacząc, całował.  
— Ojczy!—rzekł—cóż się ze mną biednym stanie?  
Gdzież się podzieję? Matka się wyrzekła,  
Duchy mnie gonią i zemsta nade mną!—

— Oto — rzekł starzec — miecz, którym ty duchy  
I nieprzyjaciół pokonasz najszerszych.



Miecz to wielkiego na Litwie rycerza.  
Nigdy Oni ręki nie zawiódł walecznej.  
D J            1  
Nie tylko ziemskich przemoże Oni wrogów, 16

## 130

Lecz duchów nawet odpędzi od ciebie.  
Weź go. To druga jest po mnie puścizna. »  
Gdy się stos święty zawali pode mną,  
Idź z nim w tę stronę, w którą cię powiedzie  
Pierwszy liść wiatrem przed tobą pędzony.  
On przeznaczenia pokaże ci drogę.—

To rzeki, i zwołał starzec Wejdałotów.  
Przyszli z nieszczerą obłudników twarzą,  
Spuszczonem okiem i kornym pokłonem.  
Dawno już oni tej chwili czekali,  
Bo jeden z nich miał nastąpić po Krewić.

• \*

—Zwołajcie lud mój—rzekł starzec. - Ja czuję,  
Że czas mi spłonąć na śmiertelnym stosie.  
Wielką zgotujcie ucztę i ofiarę,  
Do pora Bogów straszny gniew przebłagać.—  
Upadli przed nim i poszli z rozkazem.  
Każdy przed sobą niósł laskę poselską,  
I ze wsi do wsi, od chaty do chaty,  
Lud zwoływali na obrzęd w Romnowe.

Wszyscy śpieszyli, zewsząd lud się cisnął.  
W puszczacli głębokich wieścią obudzony

Zrywał się. Litwin, i z oszczepem w ręku,  
Z ofiarą w sakwach, biegł oglądać Krewy,  
Ostatnią chwilę i obrzęd ostatni.

Nareście nadszedł dzień ów uroczysty.  
Po nad rzekami tłum ludu dolinę  
Gwarny, ciekawy, zmieszany zalegał.  
Za świętym dębem z najdroższego drzewa  
Stos Wejdaloci układli wysoki.  
Do niego siane białemi płótnami,  
Sypane kwieciami prowadziły wschody.  
Po rogach stosu ofiarne ołtarze  
I ognie święte trzy doby płonęły.  
W blizkiej zagrodzie podarki, ofiary,  
Które lud znosił, składali kapłani.  
Czterech Ewarte przy oKarzach stało;  
Przy każdym po dwóch Krewe w białych szatach,  
W wieńcach na skroni i laskami w ręku;  
Za nimi rzędem pomniejsi Krewnie  
I Wejdalotów gmin niepoliczony,  
Wiejscy wróżbici, Sygonoci biedni,  
Co się po siołach za jałmużną włóczą,  
I Burtinikaj z gęśłami na ręku,  
Puttones, którzy zwaśniony lud godzą.  
Wszyscy tam przyszli za jałmużną lichą,  
Z gęśłami, wróżbą, z miłośnemi leki,  
Ubóstwem swoim i prośbą na ustach.

Powstało słońce wielki dzień oświecić  
Krewe-Krewcjly ofiary i śmierci.  
Już Wejdaloci krzątali się wkoło,  
A lud u stosu cisnął się ciekawy.  
Nareście drzwi się świątyni rozwarły,  
Starzec niesiony na ręku kapłanów  
Wyszedł do ludu — lud upadł na twarze,  
I panowało milczenie nad tłumem.  
Wokoło Krewy gęślarze, śpiewacy,  
I grajków orszak szedł z pieśnią poważną;  
Za nim kapłani, kapłanki, dziewice;  
Niesiono Bogów posągi straszliwe,  
I zielonemi liśćmi drogę siano.  
Krewe-Krewejto w białej siedział szacie;  
Siedemkroć siedem pas go opasywał;  
Przez prawe ramie przepaska wisiała;  
Na skroni czapka wysoka, błyszcząca  
Złotem i drogich kamieni wyborem,  
I zielonością świeżą uwieńczona.

Szli aż do stosu w milczeniu głębokiem,  
Które gęślarze przerywali smutnie.  
Lud patrzył cichy i pochylił głowy;  
A Wejdaloci świętej rzeki wodą  
Tłumy zebrane, śpiewając, kropili.  
Kapłani starca już na stos podnieśli,



I wszyscy zeszli; on został sam jeden.  
 Znów eisza—czeka lud słowa w milczeniu.  
 Starzec ostatni raz z piersi wydobyl  
 Glos, co za chwile na wieki miał zgasnąć.

•—Ludu mój!—rzecze—klęski na was spadły!  
 Wróg niszczy Litwę i brańców zabiera!  
 Codzień mniej ludzi z wyprawy powraca,  
 I codzień sioła szérocej pustują,  
 I codzień pola szerzej chwast pokrywa!  
 Głód na was patrzy! Bogi gościnności  
 Mór ciężki, karę na winnych zesłały!  
 Leci nad Litwą i płachtą powiewa;  
 A gdzie się czarny pokaże posłaniec,  
 Sypią mogiły i po Numach płaczą!  
 Grad wasze pola, ulewa ogrody,  
 A burza lasy codzień niszczy straszniej!  
 I jeszczeż o swych występkach wąpicie?  
 Jeszcze o gniewie Bogów swych nie wiecie?  
 Codzień, to gorzej! codzień klęski srogie  
 Idą, jak płomień po lesie puszczone!  
 Ludzie padają i sioła się walą!  
 I I degita płomienistą brodę  
 Zwiesił na niebie, czerwocmi oczy  
 Spogląda na was i zemstę wam wróży!  
 Jeszczeż to Bogów błagać wam nie pora?

Olo ja za was na święty słos idę.  
Może śmierć moja gniew Bogów ukoi,  
Może krew moja zemstę zaspokoi.  
Idę i spłonę za was, ludu Litwy!  
Lecz bądźcie godni przebaczenia Bogów.  
Długo icli zemsta nad ludem się zwleka,  
I długo Perkun z piorunami czeka ;  
A kiedy pierwszy wyrzuci z swej dłoni,  
Nieprędko, dzieci, ujrzycie ostatni!  
Trzeba wam wrócić do ojców prostoty,  
Do pobożności, do zgody i cnoty;  
A wówczas Dogi oblicze rozświecą  
I łaski swoje na głowy wam zleją.

O dzieci! nic tak za ojców bywało,  
Jako się teraz w naszej Litwie dzieje!  
Częściej lud Dogów odwiedzał ołtarze,  
Lepszemi dary zemstę icli zaklinał  
I szerszym sercem niósł dla nich oliar  
Insze też czasy przeszły po tej ziemi—  
Lata spokojne. Wróg jej nie napadał,  
I mór do pogan daleko gdzieś leciał,  
I Perkun burzą nie niszczył zasiewów,  
I Ziemicznikas dawał urodzaje,  
I Atrymp wody utrzymywał w brzegach;  
Podziemne duchy pobożnym służyły,

Nic, jak dziś dla was, szkodliwemi były.  
Teraz Piłwite twarz od was odwraca,  
Auszlawis cborób nasyła tysiące,  
Których ni popiół ze Znicza ołtarzów,  
Ani kapłanów nie leczy zakłęcie.  
O dzieci moje! czas się opamiętać!  
Niechaj podróżni swobodni wędrują:  
Niech nikt gościowi nie odmówi eldeba,  
Ni daebu w słotę, ni w nocy posiania,  
Ani ogniska, by osuszyć szaty;  
Niccli zgoda dzieci z ojcami połączą;  
Niecli się brał z bratem nie waśni zajadle;  
A wówczas Dogi twarz do was obróca,  
I miecz przez poły wyjęły nad wami  
Nie dotknie karków Litewskiego ludu.—

Tak mówił starzec: lud płakał, słuchając;  
A Wejdaloci na czterech ołtarzach  
Palili Bogóm błagalne ofiary.  
Potem znów Krewe podniósł głos do ludu,  
I długo mówił, i mówił ze łzami,  
I żegnał wszystkich; wszyscy go żegnali,  
Padali na twarz i łkając płakali.  
Nareście ustał starzec, ręką skinął,  
Stanął na stosie, wznosił oczy do nieba,  
Modlił się długo i lud błogosławił.

1.36

Usiadł; a ogień wziąwszy poświęcony,  
Sam stos, ostatnią ofiarę, podpalił.



## 137

Wyschłe się drzewo zajęło, i w chwili  
Gęsty dym starca osłonił dokoła.  
Niekiedy tylko wiatr go rozpędzał;  
I wówczas widać było na wierzchołku,  
Jak siedział niemy bez krzyku, bez jęku,  
I zdał się wolno w płomieniach usypiać.

Trąby i rogi, śpiewy i piszczalki,  
Razem z płomieniem dokoła zawrzały.  
Nim Bodziawołos<sup>1</sup> Wałundę<sup>2</sup> dosypał,  
Popioły tylko zostały z ofiary,  
A starca tylko u ludu pamiątka.  
I już nowego Krewe Wejdaloci  
W wrota świątyni wesoło przywiedli;  
Tłum go odgłosem powitał wesołym,  
I łez wylanych przed chwilą zapomniał.

Kiedy ostatnia głównia dogasała,  
Witoli, z łez mokre ocierając oko,  
Westchnął i spojrział—przed nim liść wlatywał;  
I on za liściem w nieznajomą stronę  
Puścił się, modląc do Boga podróźnych<sup>3</sup>.

1. Zegar.

2. Cliwiia—pewny rozmiar czasu.

3. Kicło-Dewas—Bóg podróźnych.



ZEDŁ smutny Witol ze spuszczoną głową;  
 A miecz Krewejty zwieszony u pasa  
 Wlókł się po trawie, brzęczał po kamykach.  
 Za nim z Romnowe pomięszane głosy,  
 Jakby wspomnienia przeszłości, goniły.  
 Szedł ku południu, bo tam liść przewodnik  
 Leciał, wiatrami po drodze niesiony.

Pierwszy raz sam się puszczał w podróż długą;  
 Lecz chociaż świata mało widział okiem,  
 Przecztał go duszą i zmierzył myślami.  
 Marząc, do lasu dostał się gęstego,  
 I usiadł spocząć na zielonem wzgórzu,  
 Pod wielką jakiejś rodziny mogiłą.  
 Na niej, jak gdyby gwiazda z niebios spadła,  
 Leżały siwe w sześć promieni głązy.  
 Z strony południa zawarte kamieniem

Wrota mogiły, na resztę rodziny,  
Na dzieci ojców i na mężów żony,  
Zielonem darniom kryjąc się, czekały.

Tu usiadł Wiloł spocząc i podumać.  
Gaj, szumiąc cicho, do snu go wyzywał;  
I strumień święty, nad którego brzegiem  
Choroby starte na szmatach wisały,  
Szemrał, w gęstwinę lasu się wdzierając.  
Zaledwie oczy lekki sen przymykał  
I stos mu Krewy marzyć się zaczynał,  
Usłyszał łoskot. Górą ptak przeleciał;  
Kracząc, zawisnął po nad nim wysoko,  
I znowu zniknął za drzew gałęziami.  
Lecz w głosie ptaka, i locie, i pierzu,  
Poznał, że puszczy nie był to mieszkaniec,  
Ale duch z pod stop Perkuna puszczonego,  
Który po świecie zemstę jego nosił;  
Powstał więc, jakby do walki wyzywał,  
I oparł rękę na rękojeść miecza.  
Wtem białą drogą, wijącą się w gaju,  
Ujrzał ku sobie idącego starca.  
Siwą miał brodę, ubogie odzienie,  
Laskę podrózną, nogi bez obuwia,  
Na plecach sakwy, nakrycie na głowie,  
Co Sigonotów włóczęgów znaczyło.  
Zbliżał się, chwiejąc, powoli, i mruczał,  
I na Witola z pode łba spozierał;

Stawał, szedł znowu; a gdy się z nim zrównał,  
Odetchnął chwilę i tak go powitał:

—W imie Bentisa, w imie Kielo-Dewas,

Bądź pozdrowiony, wędrowniku młody!

Wszak pewnie idziesz od strony Romnowe?—

— Z Romnowe, ojcze!—I ja się tam ciągnę,

Ale zapóźno: bo Krewe-Krewejlo,

Święty nasz ojciec, pewnie się już spalił?—

— Kiedy ostatnia głównia stosu gasła,

Jam wówczas, starcze, z Romnowe wychodził.—

— Szkoda! straciłem do ludu przemowę!

A lak z daleka szedłem na ten obrzęd,

I po jałmużnę, którą już zapewne

Pomiędzy naszych rozdzielić musieli.—

— Śpiesz się, a może trafisz na jałmużnę.

Ja nie mam, czem ci dopomódz na drogę,

Sam jestem biedny, a idę daleko.—

— Niechaj cię Bogi szczęśliwie prowadzą.

Dokądże idziesz?—

—Na Litwę głęboką.—

— Wojak, czy dworak, czyś poseł xiążęcy?—

— Podróżny tylko.—Wolny, czy poddany?—

— Spójrzj na włosy, dość ci lego będzie;

Spójrzj mi w oczy; ja ci nie odpowiem.—

— Do swoich pewnie, do ojca, do matki?—

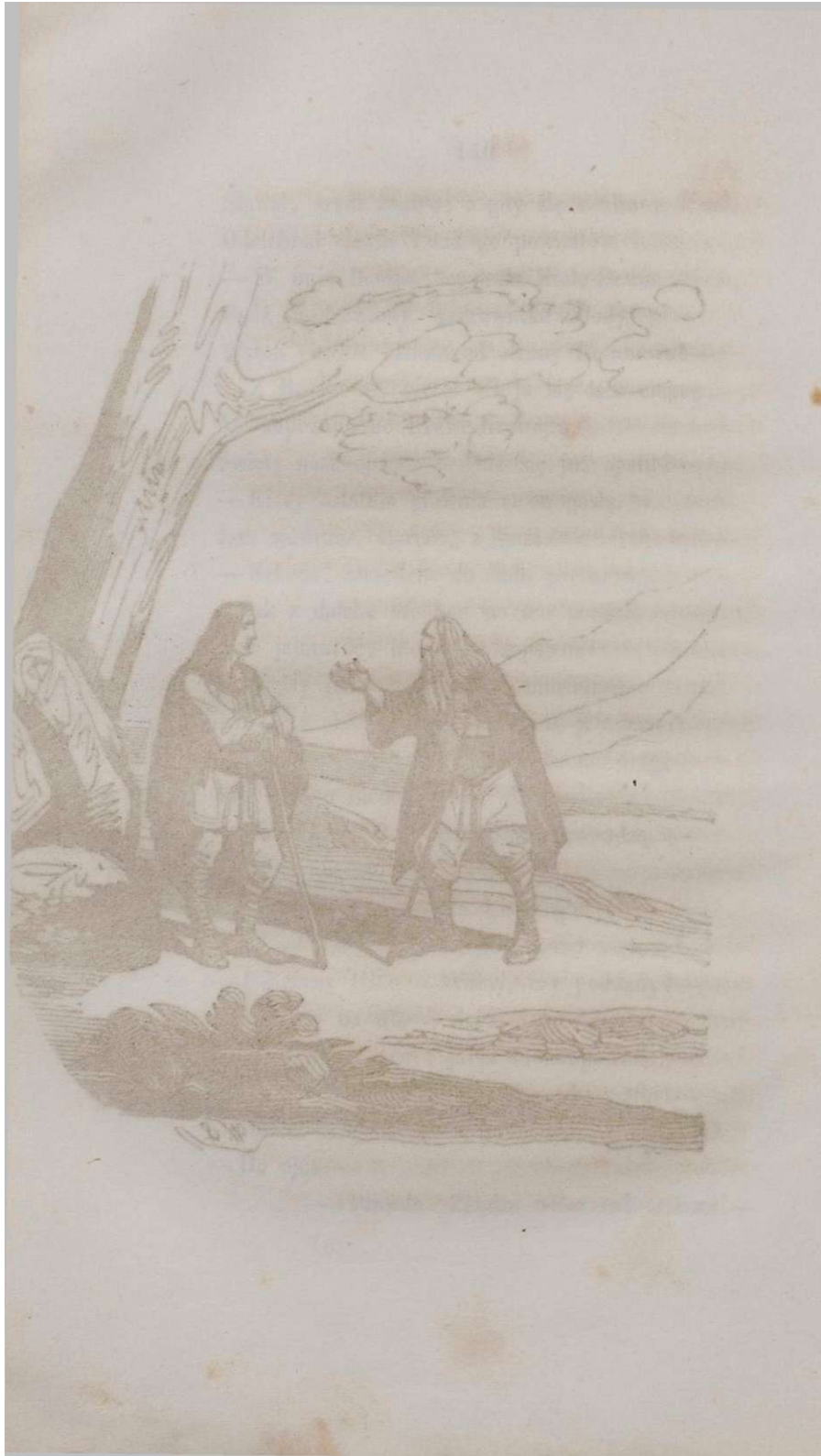
•—Jeslem sierota, idę— do mogiły.—

— Do ojca?—

— Prawda. Zkądże wiesz to? starcze! —







—Zkąd? Wszak mówiłeś, bym ci spojrział w oczy;  
 A ja z twych oczu więcej coś poznałem,  
 Niż może chciałeś, żebym się dowiedział.—  
 —Nie mam tajemnic, zniczem się nie kryję.—  
 — Z niczem? Żartujesz ze starca, młodzieńcze!  
 Wiciem ja ludzi widział już na świecie,  
 Wiciem ja rzeczy ukrytych odgadnął;  
 I w twem jest sercu wielka tajemnica.—  
 — Może. Idź, starcze! Niech cię Kielo wiedzie.  
 Trafisz w Romnowe jeszcze na jałmużnę.  
 Zład niedaleko. Nie baw się, pośpieszaj.  
 Na prawo droga wiedzie na dolinę,  
 Kładka na rzece, i ujrzysz dąb święty.—  
 — Chwilę, mój młody! Czegóż się mam śpieszyć?  
 Wszakże usiadłeś spocząć pod mogiłą.  
 Spoczniemy oba. Bentis dopomoże,  
 I my się lepiej zapoznamy z sobą.—

Witol nieufnie na starca poglądał:  
 Ho z oczu jego jakiś blask złowrogi,  
 Jakaś myśl dzika zdawała się łyskać;  
 Lecz na Beutisa zatrzymał się imię;  
 Nie śmiejąc ruszyć, pozostał na miejscu.  
 •Starzec swe sakwy na ziemi porzucił,  
 A sam powoli usiadł pod mogiłą.  
 Milczeli oba, spoglądali tylko.  
 Z podróżnych węzłów dobył Sigonola

Mizerną strawę, i, szepcąc modlitwy,  
Rzucił ofiarę, nim zaczął pożywać.

Witol w milczeniu spoglądał na niego.  
— Idziesz daleko — rzekł mu wróżbit stary—  
A z czemżeś, bracie, wybrał się na drogę?  
Czy masz ty zapas? czy ufasz w gościnę?—  
—W imie Nemejas i Peskia gdy wezwę,  
Któż mi ogniska i chleba odmówi?—  
— O! jest już Maras<sup>1</sup> na Litwie oddawna,  
A lo znak przecię jest niegościnności.  
Złć się, mój miody, wybrał w długą drogę.—•  
— Mam łuk, by ptaka w południc zastrzelić,  
I miecz, by drzewa na ogień narąbać.—  
— Nie zawsze ptaki na podróżnych lecą,  
Nie zawsze lasy będziesz miał na drodze.  
A wieszże drogę do ojca mogiły?—  
—Wiem — odpowiedział Witol zadziwiony,  
Zmierając starca oczy ciekawemi.  
Lecz Sigonota na dół spuścił głowę,  
I znów spokojny jedzenie pożywał.  
—Pozwól—rzekł potem—powróżyć na drogę.—  
•—Nie mam, mój ojcze, czem za wróżbę płacić.—  
—A kiedy nie chcę od ciebie zapłaty?—•  
—To i ja wróżby od ciebie nie żądam.—•  
—Dasz mi twych włosów garslcczkę w zastawie.—  
— Nic nie dam, ojcze!—Witol powstał z ziemi

1. Mór.

I chciał odchodzić. Lecz i starzec powstał;  
Ale nie starcem; wzniosł się na mogile,  
Urósł w wielkiego za chwilę olbrzyma,  
I głową dosięgnął najwyższego dębu,  
A ręce długie, jak dębu konary,  
Ku młodzieńcowi wyciągnął skwapliwie.  
On za miecz porwał, i o drzewo sparty  
Czekał napadu śmiało i spokojnie.  
—Dasz mi twych włosów!—krzyknął ducli szydersko—  
Dasz mi ich z głową razem, Mildy synu!  
Znam cię, kto jesteś! Dwadzieścia lat szukam,  
Zbiegałem puszcze, i zamki, i Numy,  
Niedźwiedzie łomy, Staubunów pieczary,  
A nigdzie dotąd nie odkryłem ciebie.  
Lecz kiedy dusza Krewejty leciała,  
Na białej sukni Perkun postrzegł płamę.  
Płamę tę twoje łzy na niej zrobiły.  
I po niej przecie do ciebie doszedłem:  
Do kóżby cię był u dębu Perkuna  
Pod płaszczem Krewy mógł szukać i znaleźć?  
Teraz tyś moim!—

I Grajtas poskoczył,  
Wyciągnął ręce; lecz Witol go mieczem  
Popchnął lak silnie, że upadł na ziemię.  
Porwał się Grajtas drżący, rozzłoszczony;  
Widać, obrony takiej się nie spodział  
I takiej siły w młodzieńca ramieniu;  
Odkoczył, przypadł i pełznął pod nogi,

Chcąc go wyrzucić. On w stronę się umknął.  
Naówczas Grajtas, zmieniawszy się w ptaka,  
Trzepnął skrzydłami, podnosząc wysoko,  
Wzbił się do góry, w powietrzu zawiesił,  
I nagle z świstem, jak kamień, upadał,  
Dziob rozworzywszy, nasrożywszy szpony;  
Lecz Witol ostrze cudownego miecza  
Ru górze zwrócił i i przebił nim ptaka.  
Znów krzycząc Grajtas, podniósł się do góry,  
Długiego węża skórę wdział na siebie,  
Pełznął po drzewie, syczał smoczym głosem,  
Chciał go pochwycić, uwikłać i zdusić;  
Ale się Wilol ucieczką ratował,  
I miecz podniosłszy, uciął głowę gadu.

Wtem wszystko znikło, jak senne marzenie,  
I krwi na mieczu nawet nie zostało.  
Grajtas gdzieś z wichrem uciekł zawstydzony.  
Wilol szedł dalej.

Już blisko noc była,  
Ale zawady spotykał co chwila :  
Droga się coraz w ścieżynę zmieniała;  
Łomy ją, wpoprzek leżące, grodziły;  
Rzeki, jak gdyby umyślnie, pod nogi,  
Pieniąc i szumiąc, biegły, podpływały;  
Przez nie zaledwie wązka wiodła kładka,  
Lub dąb spróchniały z gałęzmi rzucony,  
Co się pod nogą chylił i ugiął.

Ze śmiałem sercem szedł Witol przed siebie,  
Łamał gałęzie grodzące mu drogę  
I wązkie kładki jednym mijał skokiem.

Noc coraz bliżej, a nie widać chaty,  
Ni dróg do siola, ani życia znaku,  
Nie spotkał bydła idącego z paszy,  
Ani wieśniaka z wozem smolnych drewek.  
Zewsząd go głucha objęła pustynia.  
Już noc gwiazdzista po nad nim wisiała,  
A co krok nowe i cięższe zawady:  
To wąż ogromny, sycząc, pełznął drogą;  
To wilk otwartą paszczę z po za krzaku  
Wychylał, mierząc go okiem błyszczącym,  
Jakby chciał poznać, czy ma się czem bronić;  
To po dolinie niedźwiedź się przesuwał,  
I ukrył w puszczy, rycząc przeraźliwie,  
Jak gdyby braci na pomoc przyzywał;  
To ptacy jacyś nieznanemi głosy  
Z wierzchołka dębów żałobnie krakali,  
I po nad głową Witola skrzydłami,  
Lecąc, powietrze z szumem rozbijali.  
Nareście słabe w oddali światelko  
Mignęło, ludzkie mieszkanie zwiastując;  
Mdle i białawe pod lasem błyskało.  
Wilol ku niemu zwrócił się radośnie;  
Lecz szukał ścieżki, a ścieżki nie było.  
Za gęstym łosem, pomiędzy pniakami,

Niekiedy tylko zdała zaświeciło;  
Lecz w lewo, w prawo zdawało się błąkać,  
I podróżnego naumyślnie zwodzić.  
Stanął, i wspomniał Grajtasą wybiegi,  
A potem nazad ku drodze się zwrócił.  
Natrafił ścieżkę, i światła nie patrząc,  
Z dobytym mieczem szedł dalej drożyną.  
Światło zniknęło, znów ciemność dokoła,  
I głucha cisza, przerywana tylko  
Szelestem liści, krzykami Pełedy <sup>1</sup>.

Długo lak Witol pośród nocy ciemnej  
Drapał się puszcza i pola przebiegał,  
Dłota przegrzęzał i rzeki przebywał.  
I zdało mu się, że ta podróż nocna  
Dłużej niżeli przez noc zwykłą trwała,  
Jakby dwie nocy bez końca zimowe.  
Spoglądał na wschód, upatrując ranku;  
A ranek z Aussrą jeszcze nie przychodził.  
Ludzi i wioski nie było ni śladu,  
Ani mogiły nad drogą wyniosłej,  
Ani świętego kamienia podróżnych,  
Ani pastwiska zbitego trzodami,  
Ani ogniska wiejskich nocleżanów;  
Tylko go dzikie otaczały bory

1. Sowa.



I błota trawą wysoką zarosłe,  
I puste pola okryte wrzosami.



Długo tak błdził. Aż się las otworzył.  
Małemi krzaki i trawą usiane

Szerokie pole przed nim się ciągnęło.  
 Na polu w dali widać było wioskę,  
 W której już ranne łuczywa świeciły,  
 I dym z Wietów<sup>1</sup> ku niebu się zwijał.  
 Lżej mu się stało: bo już odpoczynku  
 Po nocnym trudzie i cłdeba zapagnął.  
 Spieszył do siola.

U brzegu strumienia

Leżały Nummy<sup>2</sup>, wiśniowemi drzewy,  
 Bzy i lipami osłonięte wkoło.  
 Po jednej stronie obrotiny wieśniacze,  
 Po drugiej gumna i obory stały.  
 Kręta ulica wiodła środkiem siola.  
 W ogródkach ujrzał przy świetle poranka  
 Butę zieloną, poświęcone śmiecia,  
 Które zrzucają na cześć Malislu Babie,  
 I krzywe wiśnie pod Kirnisa<sup>3</sup> strażą.  
 Piały koguty, witając jutrzeńkę,  
 A skrzętny lud już do pracy powstawał;  
 Pastusi trzodę pędzili na łąki,  
 Goniglisowi<sup>4</sup> składając ofiary.

Do siola lego ostatniej obrominy  
 We drzwi ubogie zapukał podróżny,

1. Dymnik.

2. Chaty.

3. Buzek — stróż drzew\* wiśniowych.

4. Bozek pastuchów.

I w imie Peskia o gościnę prosił.  
Przyszedł gospodarz i rygiel odsunął,  
Ku podróżnemu wyciągając rękę.  
— Bracie!— zawołał, patrząc przelękniony—  
Cóż cię to nocą przez te puszcze gnało?  
Jakimże szczęściem przebyłeś je cało?  
Czyli cię duchy w drodze nie zbłąkały?  
Chodź, usiądź z nami, i przyjmij, co mamy.—  
To mówiąc, powiódł do chaty Witola.  
Uboga była, dymem zakopcona.  
Nad progiem Kobol, Bożek domu, wisiał.  
W ognisku smolne płonęło łuczywo,  
I oświecało wnętrze, ściany czarne,  
Ławy przy ogniu i siwe kamienie,  
Stół zbity z desek, i bydła zagrody,  
I chlebną dzieżę, poważnie siedzącą  
Na pierwszym miejscu, pod Bożków opieką,  
Okrytą białym zwieszonym ręcznikiem.  
U okien błoną zaciągnionych żółtą  
W maleńkich kubkach stał popiół ze Znicza,  
Woda ze świętych strumieni czerpana,  
I krew ofiarna, co bydła zarazę,  
Mór i nieszczęścia od chaty odgania.  
Dalej wisiały szaty ich ubogie,  
Mała kolebka ze śpiącą dzieciną,  
Oszczep starego i kądziel niewieścia.  
Po ziemi kury chodziły swobodnie,  
Krzycząc i dziobiąc ziarno rozsypane.

Ledwie podróżny przestąpił próg chaty  
I przed Robolem wiszącym się schylił,  
Wyszła kobieta, i zagrzała wodę,  
Ażeby nogi obmyć mu znużone;  
Parobcy z siana wysłali mu łoże;  
A młoda dziewczka już się u ogniska,  
Śpiewając, kolo jadła zakrząfnęła.  
Gospodarz słuchał Witola powieści,  
Dziwił się jego przez puszcze podróży,  
I prosił spocząć przy ogniu gościnnym;  
Lecz Witol śpieszył, i na pół dnia ledwie  
Dał spocząć nogóm, przyjąwszy gościnę;  
Znów się z południa w dalszą puścił drogę.  
Sam gdzie nie wiedząc, wędrował jak wczora.  
Ranek był letni, świeży i pogodny.  
Wszyscy na pola do pracy wybiegli;  
On jeden tylko bez myśli i celu.  
Nie wiedząc dokąd szedł, nie wiedząc po co.  
I w duszy smutno Witolowi było,  
Ze nigdzie swoich, że nigdzie ojczyzny,  
I krewnych sobie, przyjaciół nie znajdzie,  
Ze nie ma dokąd, nie ma iść do kogo.  
Czasem wzrok tęskny ku niebu podnosił,  
Jak gdyby matki nieśmiertelnej wzywał;  
A czasem ludu prostemu zazdrościł  
Cichego życia u siebie, ze swemi.  
Na całym świecie on nie miał nikogo,  
Prócz jednej ojca mogiły na Litwie;

Ale gdzie była, i o niej nie wiedział;  
I tam go może zasadzki czekały.  
Myślał; i myśląc, na wspomnienie boju,  
Czuł, jakby go coś do ziemi wiązało;  
Czuł rokosz jakąś w swoim przeznaczeniu,  
W walce z duchami, w nieskończonej walce,  
Co go nad prostych wynosiła ludzi,  
Z nieśmiertelnymi bratając Bogami.

Reszta dni zeszła na dalszej podróży.  
Kie w niej nowego Witol nie postrzegął.  
Przechodził siola i chaty pomijał,  
I gęste lasy porzuczał za sobą,  
Darł się przez bory, przepływał przez rzeki;  
A ciągle w jedną kierując się stronę,  
Nie wiedział nawet, wiele od Romnowe  
Kraju go, błota i puszczy dzieliło.

Znów nadszedł wieczór. Po nad świętą rzeką,  
Która wśród gajów lipowych płynęła,  
Na Auszlawisa natrafił świątynię,  
I pustą, ale spokojną gospodę,  
A w niej starego tylko Wejdałotę,  
Co tam nad brzegiem żył z lichej jałmużny  
I wędrowników pobożnych przyjmował.  
Z nim święte jego Giwojfe<sup>1</sup> mieszkały,

1. Gfiły święte.

Kilku Żallisów i stara Raupuże  
On z niemi gadał, za nadrą je chował;  
Karmiąc i pieszcząc, Bogów w nich szanował.  
Kapłan był stary. Stąpając po grzbiecie,  
Lata go zgmiotły i w pól przełamały,  
I na policzkach, w zmarszczkach napisały  
Wszystko, co doznał, przebył i przecierpiał.  
Zapadłe oczy jak przez mgłę patrzyły  
Na świat, którego nie żądał już starzec;  
A usta w skargach i żalu skrzywione  
Zdały się boleć, nawet gdy milczały.  
Suknię miał zwykłą wędrownych kapłanów,  
Starą, podartą. Ledwie na niej ślady  
Białego szycia i pętlic potrójnych;  
A szerść bydłęca oddawna po ziemi  
Wlokąc się, wszystka wytarła po krajach.  
1

Smutny był wieczór w kapłańskiej gospodzie.  
Starzec wyglądał zwyczajnej jałmużny,  
Prosił o litość, wzywał do wód świętych,  
Wróżbą go nęcił za małą zapłatę;  
Lecz widząc, że się młodzieniec opierał  
I kątek tylko w gospodzie uprosił,  
Na niedowiarstwo i oziębłość ludu,  
I na zepsucie powszechnie narzekał.  
Sen nie brał powiek smutnego Witola;

Nic czuł się jeszcze podróżą znużony.  
A słazec smolne zażęgal łuczywa;  
Ze skargi w skargę przechodząc i żale,  
Jął swego życia powiadać przygody.



.UV.NO

temu

nie wiem jak wiele,

Urodziłem się na Litewskiein siele,  
Z ojca i maiki ubogich wieśniaków,  
Do roli, znoju, pracy przeznaczony.  
Ale Auszlawis, co mnie wybrał z itumu,  
Inną mi dolę na przyszłość golował:  
Do kiedym ojca Irzodę gnał w pastwiska,  
Kiedy do żniwa młodego mnie brano,  
Kie czułem, żebym w lem życiu wieśuiaczem  
Wytrwał do śmierci. Było Bogów wołą  
Wezwać mnie, żebym ludziom dopomagał  
Nie pracą moją, lecz modłami niemi.



Kiedym lat doszedł, na poblizkiej wiosce  
Ojciec dorodną opatrzył mi żonę,  
I zapowiedział, że mi ją przeznaczył.  
Posłali do niej Pirszle i Pirszlisa  
Nic była ona, tak, jak mv, nboga,  
A jednak swatów przyjęło od ojca,  
I dano słowo, i piwem zapito.  
Mnie nic jednakże do niej nie wiązało:  
Iśo ebociaż młoda i piękna Baniuta,  
Clioć nam jej mieniem polepszyć się miało,  
Mnie coś innego wówczas się marzyło:  
Co nocy bowiem Zallis, Bogów poseł,  
Przychodził do mnie, kładł mi się na piersi,  
Spał ze mną, pokarm z mej ręki przyjmował,  
I znów nad rankiem w podziemia uchodził.  
Poznałem, że mnie Bogowie wzywali,  
Ażebym kiedyś został icli kapłanem;  
Ale staremu nie mówiłem ojcu:  
Bo on ubogi nie byłby pozwolił.  
Mnie tylko mając pomocą na starość.

Po zapoinach długo się ciągnęło.  
Ojciec na wojnę po zdobycz wyprawiał.  
Mnie się na wojnę, równie jak do pracy,  
Serce gdzieindziej wezwane, wzdrygało.  
Lecz gdy Kunigas <sup>2</sup>, przez braci ścigany,

1. Swaty.
2. Xiąre.

Ognie wojenne po górach zapalił,  
Gdy w wszystkich wioskach zapłonęły stopy  
I młodzież nasza z oszczepy wybiegła,  
I jam iść musiał ze swojego siola.  
Wszystkich nas razem w bratni kraj wysłano  
Durzyć i palić, nim się wróg pozbiera.  
I myśmy z łupem i jeńcy wrócili,  
Nim oni ognie wojenne zażegli;  
A siół spalonych dymiące się zgliszczą  
Za stopy wojny już im posłużyły.

Jam z częścią łupu do domu powrócił.  
Dyło lo mego przyborem wesela.  
Ojciec oznajmił rodzicom Daniuly,  
Ze w przyszły tydzień córkę im porwiemy  
I dwie sztuk bydła za posag zapłacim.

Nadszedł dzień. Stryja syn, mój Keleweże  
Dwa dziarskie konie do wozu założył  
I z przyjaciółmi po dziewczkę pojechał.  
Wzięli Buniutę na jej chaty progu  
I wieźli do nas. Na naszej granicy  
Ja sam, porwawszy żagiew zapaloną,  
A w drugą rękę kubek z piwem hiałem,  
Biegłem ich spotkać. Trzykroć wóz obiegłem  
I trzykroć piosnkę zwyczajną śpiewałem:

1. Woźnica weselny

*Nie płacz, nie płacz pokryjomu,  
Łzom swym nie daj bicilz.  
Jakeś strzegła ognia w domu,  
Będziesz u nas strzedz.*

Ale, śpiewając, na twarz jej patrzałem.  
Leż tam nie było! Zaraz źle wróżyłem.  
Która nie płacze po rodziców domu,  
I po mężowskiej nic zapłacze śmierci.  
Biegłem przed niemi, wróciłem do cialy,  
I smutny siadłem za zasłanym stołem.  
Wtem Żallis święty z pod ławy swą głowę.  
Pokazał żółtą i do rąk mi przyszedł.  
Smutniejszy jeszcze wziąłem go na piersi,  
I we drzwi chaty niespokojnym okiem  
Patrzałem. Aż-ci turkot na podwórku.  
—Już Keleweże wiezie pannę młodą!—  
Wołają wszyscy i naprzeciw biegną.  
On u drzwi konie zhukane porzucił,  
Wbiegł w izbę, i chciał na stołek wyskoczyć,  
Na który później sadzą pannę młodą;  
Ale się noga sękata złamała,  
Zśliznął się, upadł, i z rozbitą głową  
W komorze z strachu ukryć się poleciał.  
Zła to jest wróżba. A gdy weszli druhy,  
Musiano drugi stołek przygotować,  
Żeby Baniutę pośród nich posadzić.

Tak Morgu Wakars<sup>1</sup> przeszedł niewesoło:  
 Ho przyjaciele biegali za bratem,  
 Chcieli go wybić za złą wróżbę skoku;  
 A stary Swalgon • kiwał smutnie głową;  
 I, chociaż milczał, dość mówił wejrzeniem;  
 Odmową wróżby już dla nas źle wróżył.  
 Szły potem dziewczki z Baniutą do dworu,  
 Z ofiarą panu, smutną pieśń śpiewając,  
 Prosząc, ażeby dziewictwo poddanki,  
 Dał się przebłagać, mężowi darował,  
 Albo datkami pozwolił okupić.  
 Lecz srogi pan nasz śmiał się z dziewczek pieśni,  
 Len, miód i kury, podarki wykupne,  
 Nazad dziewczętom wyrzucił pod nogi,  
 A narzeczonej kazał na noc zostać.

i

Jam smutny siedział, kiedy brat przyleciał  
 Zdyszany, niosąc od dworu nowinę:  
 — Daniuta na noc we dworze została.  
 Wykupnym datkiem pan wzgardził, nie przyjął,  
 Wianek zielony podeptał nogami,  
 Na płacz i jęki śmiechem odpowiedział. —

Cała się chata krzykami rozległa.  
 Zeszli się starcy, zbieżeli się młodzi;  
 Swalgon coś mruczał, nie mogąc poradzić;

1. Dziewic wieczór.
2. Knpl.m weselnych obrzędów.

Staruchy cicho po kątach szeptały;  
A jam sam jeden za stołem pozostał.  
Widziałem, jak się młodzież ze mnie śmiała,  
Jak wszyscy na mnie ukosem patrzali,  
Jak ojciec, chodząc, załamawszy ręce,  
Próżno do Bogów modlił się domowych,  
A matka w kącie przy ogniu płakała.

— I ja — myślałem — od pańskiego łoża  
Wezmę Baniutę z wiankiem rozerwanym!  
Ja miałbym żyć z nią! przyjąć ją za żonę!  
Nigdy! nie! nigdy! Lepiej uciec z domu!—

Ta myśl ucieczki nie pierwszy raz w głowie  
Stawała mojej. Nieraz mnie chęć brała  
Uciec od ojca do świętych ołtarzów.  
Teraz to był mój ostatni ralunek.  
Zallis, co mi się na piersiach rozgrzewał,  
Zdawał się jeszcze dodawać odwagi,  
Zdawał się wzywać do świętej podróży.

Noc była, kiedy wyszedłem przed chatę.  
Wokoło ludzie gwarzyli pocichu:  
Opodał znowu swawolny śmiech młodych  
Serce mi krajał, twarz wstydem oblewał.  
Niepostrzeżony odszedłem od chaty,  
Biegłem do pierwszej świątyni do Kowna,  
I w Aulos służbę ołtarzy przyjąłem.

Wiciem tam cierpiał w pierwszych lat postudze!  
 Bogowie moi przez ręce kapłanów  
 Ciężkich prób po mnie z początku żądali.  
 Nie było nawet na modlitwę czasu —  
 Wodę mi nosić, drwa rąbać kazano,  
 Ognia pilnować, kiedy wszyscy spali,  
 Lub Wejdałolóm sporządzać jedzenie.  
 Trudno tam pierwsze lata wytrwać było;  
 Ale Auszlawis dodawał mi siły.  
 Karmiąc Giwojte, łaskę ich zyskałem.  
 Ja jeden potem służyć im chodziłem,  
 I mnie jednego w podziemnej świątyni  
 Nie sykiem, ale pieszczotą witały.  
 Z sługi zostałem świątyni strażnikiem.  
 Lżejsze to życie. Ale mi niedługo  
 Ostatek siły odebrały Bogi.  
 i  
 Musiałem tutaj, żebrując jałmużny,  
 Nad świętą rzeką usiąść śmierci czekać.—

— I więcej swego nie widziałeś sioła?—  
 Zapytał Wilol starego kapłana.  
 — O! raz łam byłem przechodem—rzekł cicho,  
 W lat dziesięć może po ucieczce z domu.  
 W jesienny wieczór ujrzałem przed sobą  
 Rodzinną wioskę; i anim z radością,  
 Anim ją z żalem ujrzawszy, powitał;  
 Byłem jej obcy: bo tu moja dusza  
 Srodze się łzami i wstydem napiła.

Szedłem bez myśli; a ludzie przede mną  
Nizko się, prosząc o zdrowie, klaniali.  
Nie jeden podał ubogą ofiarę,  
Nie jeden prosił o popiół z ołtarzy,  
Nikt mnie nie poznał, jam wszystkich zapomniał.

Tak wolnym krokiem przyszedłem przed chatę;  
Alem ją znalazł pustą, drzwi podparte,  
Dymnik zwalony, ploty wywrócone,  
I sadek pusty; tylko śmiecia kupa  
Zielonym chwastem porosła wysoko;  
Psa nawet w chacie opuszczonej szczeku,  
Ni żywej duszy odgłosu nie słyszał.

—Cóż to—spytałem—w tój chacie się stało?  
Czy Krajwa umarł? gdzie żona i córka?—  
—Wszyscy umarli—rzekł mi jakiś starzec—  
Wszyscy, bo straszny był tu mór przed rokiem.  
Mówią, że Dogi za syna się mściły,  
Który gdzieś uciekł od żony daleko,  
Uciekł w dzień ślubu i więcej nie wrócił.—

Poszedłem dalej; i nic mnie już we wsi,  
I nic na świecie nigdzie nie wiązało.  
Więcej do sioła nigdy już nie wrócił.—

Tak mówił starzec; a Witol go słuchał  
I jego myśli ze swojemi bratał:

Bo i on lakże sam jeden był w świecie;  
Ale inaczej czuł sieroctwo swoje,  
Które na piersi srodze mu ciążyło.

Znużony kapłan usnął, pieszcząc węża;  
A Witol, widząc wschodzącą jutrzenkę,  
Nadziawszy Wizos, wziął miecz i szedł dalej.

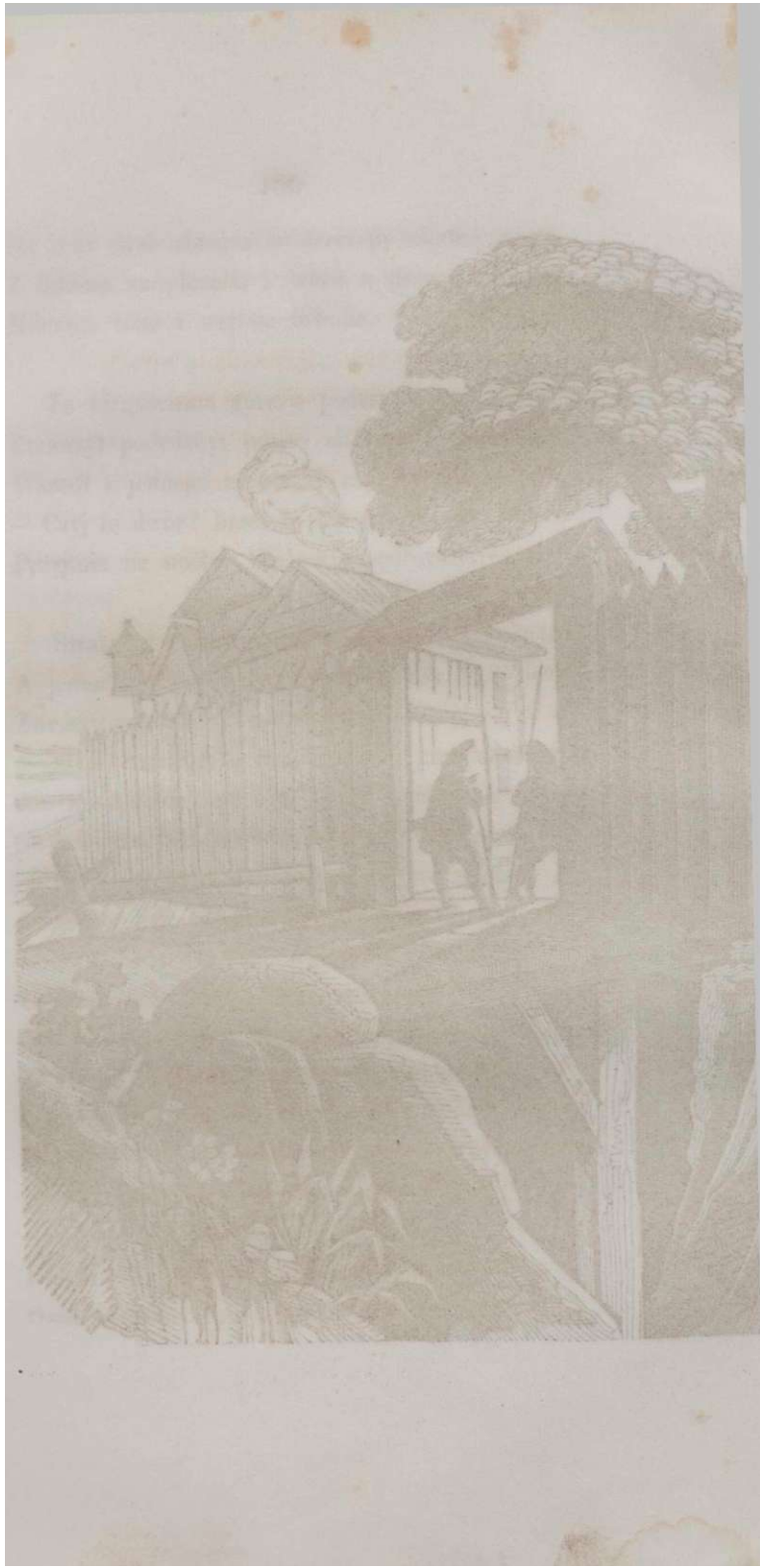


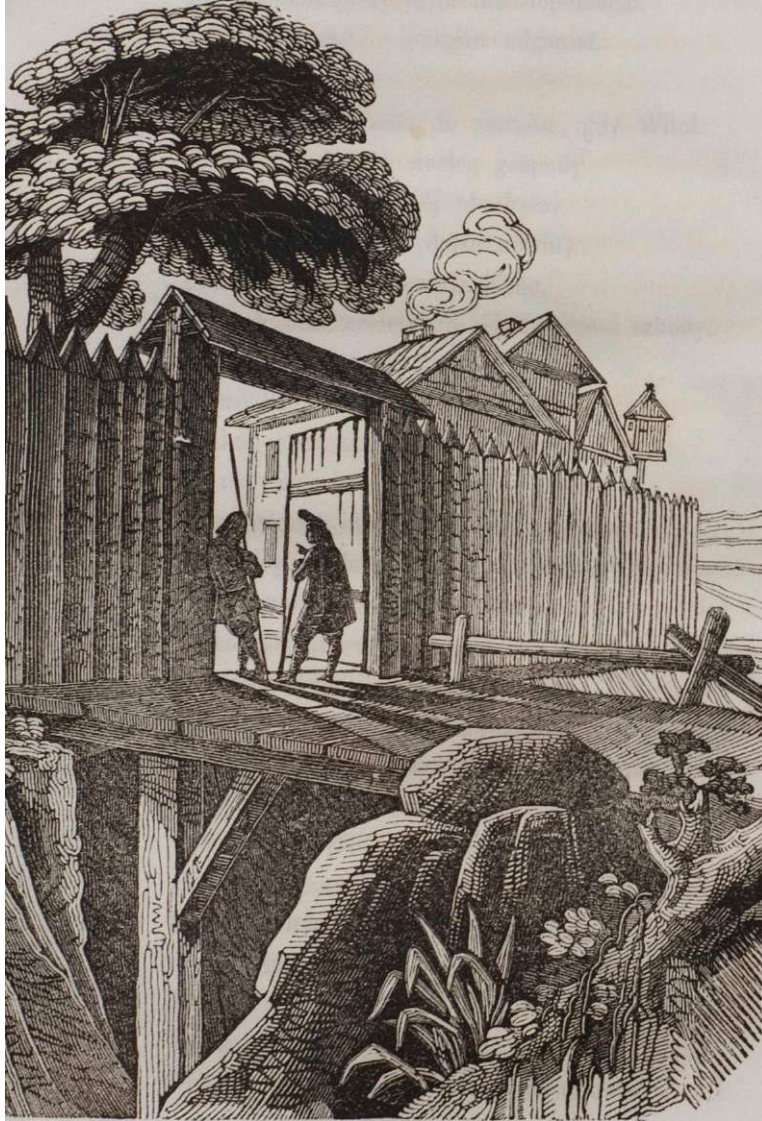


Lecz kraj weselszy roztoczył się wkoło,  
 I lud weselszy śpiewał pieśni żniwa;  
 Po drodze ucztę dożynek spotykał;  
 Wszędzie go siola w gościnę wzywały;  
 Chętnie z nim każdy rozłarał się chlebem  
 I u ogniska pierwsze miejsce dawał.  
 Lecz gościnności Witol nie zaządał,  
 Ani, przyjąwszy, odpoczywał długo :  
 Nadludzka bowiem siła w nim mieszkała.  
 Szedł, nie czuł znoju, nie chciał odpoczynku,  
 I brnął przez rzeki, cisnął się przez lasy,  
 Gałęzmi wkoło uścielając drogę.  
 Jeśli mu w ręku nie starczyło siły,  
 To miecz, cudowny dar Krewe Krewejty,

Jak najwierniejszy druh mu dopomagał,  
I drogę trzebił, i wrogów odganiał.

Znowu się miało do zmroku, gdy Wilol  
Szukał oczyma na nocleg gospody.  
Ale dokoła nigdzie jej nie było.  
Wśród lasu tylko wydarte nowiny  
Świeciły, kopy żółcemi nasiane,  
Których nikt nie strzegł od zwierza i szkody.  
Głuche milczenie zaległo opodał.  
Dziwił się Witol, nigdzie budy, nawet  
Biednej strażnika nie widząc chrominy;  
Aż na zakręcie ujrzał dwór wysoki  
Na wzgórzu, które dwie rzeki odnogi  
Pomiędzy siebie, ściskając się, wzięły.  
Dokoła z dębu i sośniny bile  
i  
Wysokie płoty wejścia jego strzegły,  
Czarnemi ściany dworzec opasując.  
Nad niemi nigdzie zielonej gałęzi,  
Nigdzie nie było wierzchołka drzewiny,  
Któryby smutny wierzch góry umajał.  
Biały dwór tylko z za płotów wyglądał.  
Ściany miał z cisu, dębu i modrzewia,  
Dacii czarnem darnem wysoko ubity;  
A dymnik jeden, jak paszczęka smoka,  
Wysoko po nad górą się wynosił.  
Przez wązkie rzeki od drogi koryło  
Wąłły most wewnątrz zamczyska prowadził.





Na nim straż zbrojna w oszczepy oknie,  
Z lukiem na plecach i procą u pasa,  
Milcząca stała i wejścia broniła.

Tę niegościnną górę z podziwieniem  
Zmierzył podróżny; potem na most śmiało  
Wszedł i jednego ze straży zapytał:  
— Czyj to dwór? bracie! Czy pan wasz gościnnie  
Przyjmie na nocleg błędnego wędrowca?—

Strażnicy oba po sobie spojrzeli;  
A jeden potem na szaty przychodnia  
Zwróciwszy oczy, potrząsnąwszy głową,  
— Idź — rzekł mu — dalej. Tu przyjmą podróżnych  
Ale nie takich, jakiś ty, mój bracie!—  
— Jakicbże przccię?—zapytał go Witol.  
— Przyjmują u nas bogatych, z orszakiem.  
Wówczas Kunigas z napelnionym rogiem  
Sani na most wyjdzie, witać w Peskij imię.  
Ubogich każe na sioła odprawiać,  
Albo...— I reszty nie dokończył strażnik.  
— Czyliż (o niema — Witol odpowiedział—  
Ubogim II was położyć gdzie głowy?—  
— O, jest!— z uśmiechem rzekł strażnik szyderskim  
Ale na twardem w podziemiach postaniu.  
Kunigas Ramion niewolników łapie,  
I niemi pusto wioski i zamczyska  
Osadza swoje: lub w liumie żołnierza

## IOG

Pędzi ich potem w dalekie wyprawy.  
Kto tu raz obcy przez len most przechodzi,  
Nazad się chyba z dybami powróci,  
Płacząc nad stratą najdroższej swobody,  
Próżno w rodziną poglądając stronę.  
Chcesz gościnności?—dodał żołnierz cicho—  
W imię Nemejas daję radę tobie:  
Uciekaj prędzej i szukaj jej dalej.  
Teraz wiesz wszystko. Idź, wędrowcze, zdrowo,  
Ani się nawet na zamek oglądaj.  
Aby cię jeszcze daleko na drodze  
Nie postrzegł Raudon i gonić nie kazał.—

A Witol na miecz 11 boku zwieszony  
Spojrzał, pomyślał, i nie chciał uciekać.  
— Idź—mówił strażnik.—Wieczór się przybliża,  
Kunigas z łowów powróci niedługo;  
Riada ci będzie, gdy cię tu zastanie.—  
— Jam wolny człowiek—Witol odpowiedział.  
— Cudzyś, czy wolny, nie będzie się pytał.  
Wolny być możesz, tak jak kot Lielhuwy,  
A on cię w dyby zabije dla lego:  
Iio llllll potrzeba wiele jeszcze ludzi,  
Ro się nikogo na świecie nic boi,  
W Litewskich Rogów potęgę nie wierzy.—

Witol się oparł na mosła poręczy  
I słuchał straży. Wtem z lasu świstanie

Dało znać, że już Kunigas przybywał,  
I na sokoły wzlatujące wolał,  
Aby na pięści sokolnika siadły.

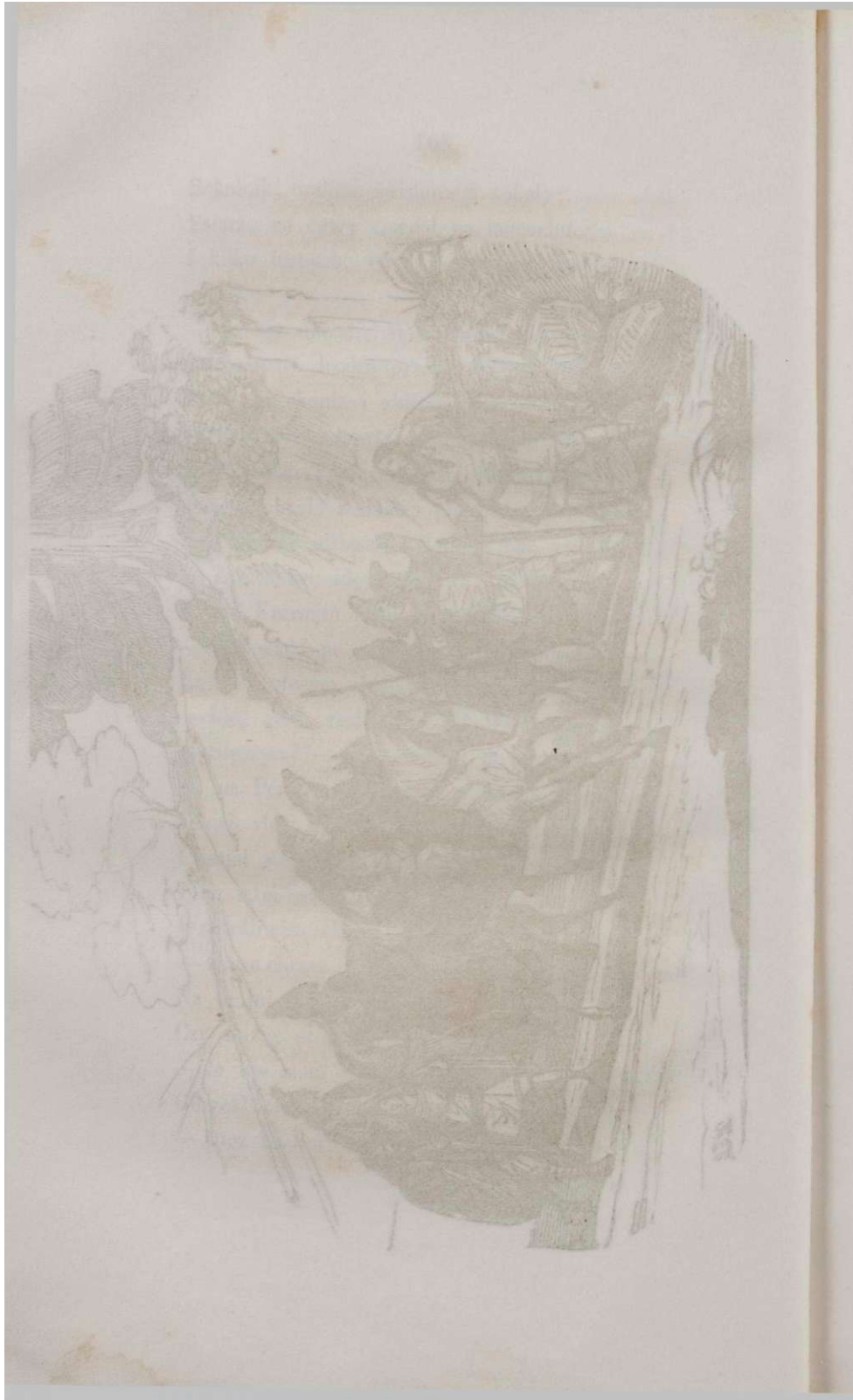
Witol stał jeszcze. Napróżno go strażę  
Pchały od mostu. Zszedł tylko na drogę  
I siadł na świętym podróżnych kamieniu.  
Wiem z lasu kilka puściło się koni.  
Jeden na przedzie. Na nim jechał krępy,  
Barczysty, włosem, jak niedźwiedź, porosły,  
Kunigas zamku i siół okolicznych.  
Pod brwią rzęsistą małe jasne oko,  
Jak ślepie wilcze wśród nocy, błyskało.  
Brodę miał rudą, i rude kędziory  
Po barkach jego na suknię spływały.  
Na głowie kołpak szkarłatny ze złotem,""  
Na piersi łańcuch misterną robotą,  
Miecz miał u boku wielki obosieczny.  
Siedział na koniu pod niedźwiedzią skórą,  
Która po ziemi srebrnymi pazury  
Wlokła się, pyły podnosząc po drodze.  
Z prawego boku, na złocistym sznurze,  
Łuk w sahadaku ze strzałami wisiał,  
Siekierka z stali i noż w srebrnej pochwie.  
Za nim jechali Bajoras i Smerdy,  
Na małych koniach, w bogatej odzieży,  
W szłykach wysokich, z łukami, drzewcami;  
Za nimi dworscy z oszczepami w ręku:

Sokolnik, wabiąc świslaniem sokoły;  
Psiarz, co ogary ciągnął na łańcuclm,  
I kilku lózných, włokących się z lviii.

Już się zbliżali. Wtem Raudon, ujrawszy,  
Że ktoś na drodze przeciw zaniku siedział,  
Przypuścił konia i zbliżył się nagle.  
— Kłóś ty?—zapytał zagniewanym głosem.  
— O wielki Panie!—Witol odpowiedział—  
Jestem ubogi, z daleka podróżny.—  
— I zkądże idziesz?—Raudon nań zawoła.  
— Z świętego idę Romnowe, gdzie właśnie  
Krewe Krewejto za nasz lud się spalił.—  
— A dokąd? po co? czy cię kto posyła?—  
Kunigas głosem zbadywał go groźnym.  
— Idę, gdzie zechcę — rzekł Witol spokojnie.  
— Słyszysz?!—znów Raudon do swefo orszaku.  
A! na Perkuna! jeszcze w mojem życiu  
Takich słów do mnie rzeczonych nie spotkał!—  
I śmiał się dziko. Pochlebcy patrzyli,  
I na wzór pański śmieli się półgłosem,  
Wzgardliwem okiem patrząc na młodzieńca.  
— Gdzie chcesz, lam idziesz; lecz dokąd i po  
Na to mi musisz odpowiedzieć przecię.  
Czy służby szukasz? czyś uciekł od pana?—  
— Ja nie mani pana, nikomu nie służę—  
Odrzekł mu na to Witol z oburzeniem.  
— Otoż Liethuwi kot siedzi przed nami!—







Zakrzyknął Raudon, zbliżając się jeszcze.  
 — Wolny! bez pana! nie służy nikomu!—  
 A wzrok wlepiając w młodzieńca, pomruknął:  
 — Szpieg może jaki od moich sąsiadów?!—

Witol, nie wstając z kamienia, go słuchał,  
 I, jakby nie chcąc, zwolna odpowiadał.  
 — Kędyż na nocleg idziesz? mój podróżny!—  
 — Gdzie zechcę. Może lulaj przenocuję.—  
 — A mnie nie prosisz nawet o gospodę?  
 Moja to ziemia, mój to zamek przecie;  
 Gdzie złożysz głowę, kraj to mój jest cały.  
 Uderz mi czołem i proś mojej łaski.—  
 — Zamku nie proszę, a droga każdemu  
 Wolna jest wszędzie. Wszakże Kielo-Dewas,  
 Nie wy, tej ziemi kawałka jest panem.  
 Jeśli wśród drogi spoczną utrudzony,  
 To jego, nie was, będę o lo prosił,  
 I jemu, nie wam, za lo podziękuję.—

Kunigas słuchał; małe jego oko  
 Coraz jaskrawiej z gęstych brwi błyskało;  
 I do swych ludzi nieraz się obrócił,  
 Usta otwierał i znowu zamykał.  
 —Lecz—rzekł, miarkując rosnący gniew wsobie—  
 Kiedy Kunigas do zamku poprosi,  
 Kiedy wyniesie gościnności czarę,  
 Czyliż podróżny obojga odmówi.

Silny, jak niedźwiedź, Kunigas go chwycił,  
 Rękami nawpół przejął i ucisnął;  
 Ale w lej chwili uczuł miecz na gardle,  
 I chrapiąc—Przebacz!—ze strachem zawołał.  
 —Precz! słudzy! zdała odstępście ode mnie!—  
 Rzekł Witol.—Jeśli dotknie z was mnie który,  
 Ja go zabiję! Precz!—powtórzył jeszcze.  
 I—Precz!—wybąknął drżącym gniewu głosem,  
 Szarpiąc się Raudon pod mieczem cudownym,  
 Który już zimnem ostrzem go dotykał.  
 Pierzchnęli słudzy, a Witol kolaniem  
 Ścisnął mu piersi, nie zdejmując miecza.



—Przysiąż mi—rzecze— na ojca i matkę,  
 I na Perkuna, i na głowę twoją,  
 Że więcej słabych nie skrzywdzisz podróżnych,  
 Ze tych, coś okuł, rozpuścisz dziś jeszcze; "  
 Przysiąż; lub chwila, a duch twój Pokole  
 Poniesie szarpać w podziemnym Pragarze.—

Z przestraczem słudzy, stojąc w oddaleniu,  
 Przysięgi pana swojego słuchali;  
 A Raudon, drżący z wstydu, niewyraźnie,  
 — Kad man Perkunas sumuszlu <sup>1</sup>—wyjąknął.

Naówczas Witol zdjął z piersi kolano  
 I miecz od gardła cudowny odsunął.  
 Kunigas, złością i wstydem miotany,  
 Slrząsnął pył z sukni: a potem, spojrzawszy,  
 Jak Witol w inną odwraca się stronę,  
 Znów się nań rzucił i znów go pochwycił.

— Słyszeli Kogi, przysięgałeś krzywo!—  
 Zawołał Wilol, znów za miecz cudowny  
 Chwycił się. Słudzy do pana przybiegli.  
 — Precz!—rzeki im Raudon—ja go sam zabiję.  
 Śmiałeś mnie krzywojuzysiężcą nazywać!  
 Albożcm przysiągł, że się mścić nie będę?—

1. Il.Ml.ij mnie Ptrliiuu zubil.

I oba znowu darli się, rzucali,  
Razem po ziemi, szarpiąc się, tarzali;  
A Witol miecza nie upuszczał z dłoni,  
I drugą ręką za barki chwyciwszy,  
Suknię mu przedarł i ciało wydzierał.  
Zębami twarz mu rozognioną krwawił,  
Nogami trzymał i deptał pod sobą.

Naówczas łucznik najlepszy Raudona,  
Co nieraz strzelał jaskółki w polocie,  
Zmierzył się zdała do piersi Witola;  
A wtem się Raudon wysunął z pod niego—  
Strzała mu w oku uwięzła żelazem.

Wrzasnął straszliwie, łucznik w las uciekał,  
Słudzy gonili, popłoch między dworem".  
Witol, chwytając za gardło raz drugi,  
Miecz mu na sercu oparł, przebił suknie,  
I już się zmierzał ostatni cios zadać.  
Usłyszał zdrajca chłodny pocałunek,  
I krew, jak ciepła, po piersiach sphywała.  
— Puszczaj mnie!—wrzasnął—puszczaj mnie! na Rogi!  
Jeśli masz ojca, na ojca zaklinam ;  
Jeśli masz matkę, na wnętrności matki;  
Jeśli masz żonę, na pamięć twej żony;  
Na imię Pramżu, na imię Perkuna,  
W imię litości! Ratujcie mnie Rogi!  
O Markopole! wyrwij mnie od śmierci!

Puszczaj! a powiedz, czego chcesz ode mnie?  
 Przysięgi??—ja ci na wszystko przysięgnę.—  
 A "Witol, mieczem cisnąc, rzeki powoli:  
 — Przysiężesz, żebyś połamał przysięgi!  
 Nie chcę ja przysięg; znam, co ci kosztują;  
 Chcę śmierci twojej i kary za zbrodnię.—  
 — Któż jesteś? człeku!—jękł Raudon boleśnie—  
 Czy duch Perkuna na zemstę przysłany?  
 Czy brat mój, czyli niewolnik, co wczora?...  
 Któs ty? Ach! puść mnie! Chceszli skarbów moich?—  
 —Nic, tylko śmierci twej, krzywoprzysięzco!—  
 A Raudon jęczał i rwał się z pod niego,  
 Lecz słabiej coraz. Krew płynęła z oka,  
 Miecz mu tkwił w piersi, kolano cisnęło,  
 I ręka wroga barki mu szarpała.

Opodal, w strachu zmięszani dworzanie,  
 Jedni do zamku biegli, drudzy w lasy,  
 Tamci krzyczeli, insi straż wołali.  
 Na most się ludu wielki tłum wytoczył;  
 Co kto miał, porwał, i na pomoc biegli;  
 Ale nieśpieszuie: bo wszyscy zarówno  
 Nienawidzili okrutnego xięcia.  
 Wrzask jego, jakby ryk dzikiego zwierza,  
 Daleko się aż po lasach rozlegał.  
 Nareście Witol chęć zemsty odmienił.  
 — Puszczam cię—rzecze—lecz na noc dzisiejszą

Przysiąż mi jeszcze bezpieczną gościno.—  
—O, na me gardło przysięgam! lecz puszczaj

Skrwawiony powstał, wyrwał z oka strzałę,  
Wlókł się do zamku; a za nim zwycięzca  
Szedł zwolna, milcząc; zwalane odzienie  
Otrząsał z pyłu i ze krwi ocierał.  
Wszystek dwór pierzchnął na widok Raudona,  
Przed gniewem jego; dwóch tylko strażników  
Na moście ślalo w ponurem milczeniu.  
Przeszli most razem, weszli na podwórzec.  
Tu niewolników wynędziały tłumy  
Z pod wrót blademi patrzyły twarzami  
I kląć się zdały milczącemi usty.

Szedł Raudon na przód, ściąwszy usta sine;  
Jęku nic wydał, nie przemówił słowa;  
W milczeniu tylko krew z oka wysączał,  
A drugiera czasem patrzył na Wilolę,  
Jakby go szukał i spotkać się. lękał.

W przysionku słudzy naprzeciw wybiegli.  
Jednych odepchnął, a drugich skinieniem  
Wgłąb' domu Raudon przed siebie odprawił.  
Witól, przeszedłszy próg pierwszej komnaty  
I powitawszy Kobołe zamkowe,  
Usiadł przy ogniu, który się wpośródkt  
Szerokim, smolnym płomieniem podnosił.



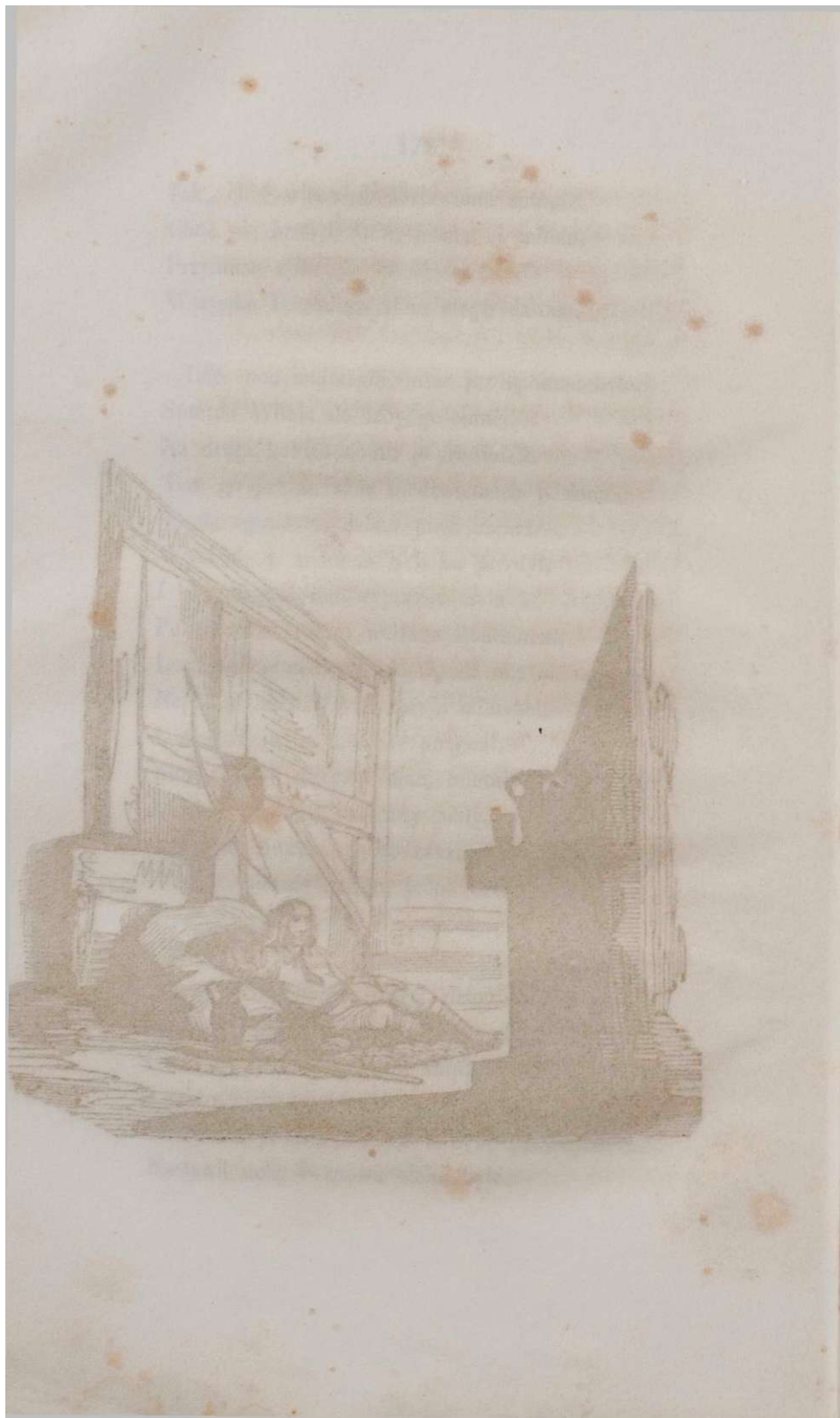
Wkoło ogniska lawy i kamienie,  
I stoły były z cisowego drzewa;  
Po nad nim otwór, przez który dym czarny  
Wijąc się, w kłęby ku górze unosił.

Raudon, chcąc ukryć wstyd i boleść swoje,  
Uciekł daleko do izby nałożnic.  
Słudzy przynieśli miód w złożonym rogu,  
I ciepłą wodę na znużone nogi;  
Przyszły kobiety pył otrząść z odzienia,  
Obmyć Witola i do stołu służyć.  
Kunigas, hańbę swą kryjąc w komnacie,  
Już przed zwycięzcą więcej się nie stawiał;  
Lecz słyhać było krzyk jego z podwórca,  
I widać było biednych niewolników,  
Skrwawionych ręką okrutnego pana,  
Pod gołym niebem w podwórzu leżących,  
Nagich i sinych od smagań i chłodu.  
Najstarszy Smerda z Witolem wieczerał,  
Ale milczący, nie bawił rozmową,  
Ani do uczty wesoło zapraszał;  
Ledwie, podając, w róg usta umoczył,  
Ledwie mięsiwo podnosząc pieczone  
I placki białe, dotknął ich wargami.  
Kobiety także służebne milczały.  
I nic nie było słyhać, oprócz jęków,  
Które z podwórca przez okna wpadały,  
Szelestu kroków i trzaskania ognia.

Tak, choć wieczerza zastawiona suto,  
Choć nie brak było ni piwa, ni miodu,  
Przymusu tylko jej nic dostawało.  
Wszystko bez niego ziem się wydawało.

Lecz noc nadbiegła, czas już spocząć było.  
Smerda AYilola do izby gościnnej,  
Na drugi koniec domu poprowadził.  
Tam go już ze skór niedźwiedzich posłanie,  
Ciepłe ognisko i dzban piwa czekał.  
Witł się z mieczem u boku położył,  
I sen udając, dał wypocząć ciału  
Po trudach drogi i walki z Itaudonem;  
Lecz sen prawdziwy nie zszedł mu na oczy.  
Napróżno mrużył; znowu je odmykał,  
I niespokojny z łoża się porywał.  
Słuchał, jak sowy, latając, huczały,  
I ogień trzaskał, i koguty piałły.  
Cicho na dworze; tylko czasem strażę  
Wolały, budząc hasłem jedna drugą.  
Wszystkie ich krzyki syn Mildy policzył,  
I wszystkie kurów piania, co, jak strażę,  
Wśród cichej nocy, wróżąc dzień, krzyczały.  
Pomiędzy pierwszym a drugim ich paniem  
U drzwi powolne usłyszał stąpanie  
I jakby ciche szepty kilku ludzi;  
Powstał z pościeli, miecz w rękę pochwycił,  
Nastawił ucho—znowu cicho było.





—Czyli lani słudzy drzwi strzegli, czy może  
Raudon już jaką zasadzkę gotował—  
Myślał, bo jego przysiędze nie wierzył.  
Lecz cichość znowu, i szepty ustały,  
A wkrótce drugi raz Gajdis<sup>1</sup> zaśpiewał.

Naówczas jakby kto ku drzwiom się zbliżał,  
Miękkimi Wiżos po podłodze stąpał,  
I szeptał cicho—zdało mu się znowu..  
Chwila—podwoje cicho zaskrzypiały,  
I resztki ognia oświeciły twarze  
Raudona, Smerdy i kilku siepaczy.  
Nieśli oszczepy, siekiery i miecze,  
Dyby i powróż z łyka upleciony.  
Weszli, stanęli u drzwi. Witol leżał,  
A dłonią drżącą od gniewu i złości  
Ścisnął miecz, aż mu własną rękę krwawił.  
Stali, patrzyli. Raudon krok postąpił  
I dał znak zbójcom. Już go chwytąć mieli,  
Gdy nagle Witol z łoża się pochwycił,  
I miecz podnosząc nad głowę Raudona,  
—Giń! zdrajco!—krzyknął; i za jednym cięciem  
Szkaradna głowa, z wylupioném okiem,  
Padła, tocząc się po twardej podłodze.  
Kadłub stał chwilę i chwiał się na nogach,  
Potem padł. Słudzy z krzykiem się cofnęli.

1. Kur.

A ogień, nagle wznosząc płomień jasny,  
 Drgające cielsko na ziemi oświecił,  
 I miecz skrwawiony, i krew rozbryzganą.

ISAówczas Smerda i słudzy xiążenia  
 Do stóp Witola czołem się rzucili.  
 —Przebacz!—wołali.—Tyś pewnie jest Dogiem.  
 Przebacz nam! Myśmy rozkazów słuchali,  
 Myśmy niewinni, Oll winien za wszystkich.—

—Wynieście trupa—Witol im odpowie—  
 Rzućcie w podwórzec, a moich rozkazów  
 Czekajcie do dnia. Gdy dzień wejdzie biały.  
 Wstanę z posiania i wynijdę do was.—

Wyszli, unosząc z sobą trup Raudona.  
 Witol gasnące podsycił ognisko  
 I na zbroczonej skórze się położył.

Ale zaledwie śmierci Kunigasa  
 Wieść się rozeszła, wszyscy się zbudzili,  
 Krzykiem radosnym zamek się rozlega,  
 Zażegli ognie, biegną niewolnicy,  
 Ze łzami w oczach, płacząc, się ściskają,  
 Kobiety także i dzieci porwane  
 Z siół okolicznych w tłumy się gromadzą,  
 I jedni drugim nowinę tę niosą,  
 I jedni drugim swobody winszują.

— On krzywo przysiągł! Bogi go skarały!—  
Wołają wszyscy.— Będziemy znów wolni,  
Pójdzicie do swoich, pójdziem do rodziny.—

A Kunigasa podli ulubieńce,  
Co wolę jego nad ludem spełniali,  
Okuci przez nich, związani, wybledli,  
Wyroku śmierci zwycięzcy czekali.  
Lecz i dzień nadszedł, Witol wsiął z posłania,  
Wyszedł w podwórzec i rzecze do ludu:



— Wy, niewolnicy, wracajcie do swoich;  
Tamci niech życie unoszą daleko.

Nie chcę ich karać. Ukarzą ich Bogi.  
Łzy wezmą za łzy, krew za krew przelaną.  
Nim ztąd ujdziecie, w cztery zamku rogi  
Podłóżcie ogień, dzielcie się skarbami.  
Mnie tylko topór, łuk, i róg, i konia,  
Białe sokoły, psy jego zostawić.  
Besztę wam daję. Niech z tej wilczej nory  
Nic nie zostanie, prócz garści popiołu.—  
Rzekł, a radosnym krzykiem tłum powtórzył  
Bozkaz i dzięki. Rozbiegli się razem.  
Co kto mógł, chwycił, zabierał, unosił:  
Ci drogie skóry, bursztynowe czary,  
I szaty jasne, i konie, i miecze;  
Inni sztabami kruszec drogi nieśli,  
Drogie kamienie przygarściami brali,  
Sobolem futrem grzbiety uawieszały,  
Swietnemi szłyki ubierali głowy.  
Zgiełk, zamieszanie w podwórku zamkowym.  
A Witolowi topór złotem kuty,  
I łuk przynieśli ogromny Raudona,  
I róg, z którego białe piwo spijał,  
I dwa sokoły do łowów uczone,  
I dwa ogary, za które przed rokiem  
Raudon stu ludzi zaprzedał w niewolę.  
Potem mu konia przywiedli z za morza,  
Którego Raudon, jak drogiego skarbu,  
Pilnował okiem matki i złodzieja,  
W ozdobnej stajni trzymał, z rąk go karmił,



I rzadko, chyba na wojnę, dosiadał.  
Żrebiec był wielki, czarny, biało-grzywy;  
Łeb na wyniosłym karku dumnie nosił;  
A z niego dwojgiem zapalonych oczu,  
Jak król, wzgardliwie po świecie spoglądał;  
U kopyt złote brzęczały podkowy;  
Na grzbiecie skóra nieznanego zwierza,  
Połyskująca włosem najeżonym,  
Aż po nad ziemię zwieszona spływała;  
Uzdę ze złota czystego miał laną,  
Drogim kamieniem na głowie sadzoną.

Tego mu konia niewolnicy wiedli,  
I, bijąc czołem, całując po nogach,  
Uzdę do ręki Wilola podali.  
—Dla ciebie, Panie', koń ten—powiedzieli—  
Pewnie się zrodził, chodował i czekał.  
Tobie, Kunigas, dosiąść go przystoi.  
On cię, gdzie skiniesz, poniesie na wojnę,  
Albo do twoich, do twojej rodziny.  
Raudon go niegdyś nad wszystkie przekładał.  
Nie było w stadach, i w skarbie nie było,  
Coby on więcej, coby równie ceniał.  
Dawno już jakiś czarownik go xięciu  
Przywiódł z za morza; i wziął tyle złota,  
Ile go cztery pociągnęło byki.  
Pieścił go Raudon, a rzadko nań wsiadał:  
Bo Jodź, gdy uczuł pana na swym grzbiecie,

Zżymał sic, spinał i o ziemię zrzucał.  
 Mówili ludzie, że w nim duch zaklęty  
 Mieszka, i przezeń nawet się odzywa.  
 Często Kunigas w nocy szedł do stajni;  
 Ludzie słyszeli, jak z koniem rozmawiał.—

Wziął Witol uzdę, za grzywę pochwycił.  
 Jodź go powąchał i potrząsnął sobą,  
 Potem uklęknął i rękę polizał.  
 Naówczas słudzy, co na to patrzali,  
 Znów przed Witolem upadli na twarze.  
 — To Bóg jest pewnie! Bóg to jest—wołali!

On na posłuszny grzbiet rumaka skoczył;  
 A widząc, że już uniesiono skarby,  
 Ze lud się w pola radosny rozbiegał,  
 Ilozkazał ogień podłożyć w zamczysko,  
 Ażeby pamięć tylko po Raudonie  
 Została w zgliszczu, zwaliskach i rumie ;  
 Skinął—i zewsząd ognie wybuchnęły;  
 Zerwał się, wicher, co je gnał ku sobie  
 I kręcił niemi, po dachach i ścianach  
 Bozdymał płomień, a zemstę przyśpieszał.  
 Ludzie już z zamku tłumem uciekali,  
 Wiodąc i niosąc, co komu przypadło:  
 Ten konie, tamten bydło, tamten szaty,  
 Ów oręż, inny kruszec, inny zboże.  
 Witol, usiadłszy na Jodzia, powoli

Wyjeżdżał z niemi, wśród tłumu krzyków  
I błogosławieństw, które mu drogę  
Usłali ludzie, wiodąc go oczami,  
Jak bóstwo jakie. Kiedy już ostatni  
Przez most przebiegli, runęły mośnice,  
I ściany zamku, dachy i dymniki;  
Gęsty dym w górę puścił się kłębami,  
Potem buchnęły płomienie, objęły  
I całkiem w sobie ukryły zamczysko,  
Nad którym tylko sowy i puhacze,  
I głodni krucy, krakając, wzlatali.

Gdy się znów Witol obejrzał za siebie,  
Kupę już gruzów dymiącą się tylko  
I lud w dolinie ujrzał rozpierzchniony.  
Naówczas konia na drogę skierował.  
Jodz potrząsł głową, podniósł ją, poleciał.



LECIAŁ koń, leciał z noz-  
drzy rozdartemi,

Spienionym pyskiem, rozpuszczoną grzywą;  
Pod kopytami jego tuman pyłu  
Wznosił się, kręcił i jeźdźca okrywał,  
Potem za koniem zostawał daleko,  
Gonił go chwilę i padał bezsilny.  
Wiatry, po bokach chyląc się, świszcząły,  
I, dziwiąc biegu, w tyle zostawały.  
A z oczu jeźdźca prędko znikły zgliszcza,  
I okolica, i włości Raudona.  
Jakby na skrzydłach ptaka uniesiony,  
Dziwił się Witol szybkiemu lotowi:  
Ro koń i ziemi, zda się, nie dotykał,  
Nie czuł wędzidła, jeździec mu nie ciążył,

181)

Przez drogi, bez dróg, doliny i gaje  
Silną się piersią przedzierał, jak strzała.

Zaledwie Witol ujrzał wieś przed sobą,  
Już jej nie było, już za nim znikąca.  
Rzeki jak wstęgi migwały srebrzyste;  
Gaje, jak wieńce z zieloności wite;  
Pola, jak żółte i czerwone plamy.  
Po nad nim chmury pędzone wiatrami  
Stać się zdawały, i milcząc oglądać;  
A ziemia, jakby z pod stóp uciekała,  
Kręcić się, zwijąć, w tył cofać zdawała.  
Ogary jego daleko zostały,  
Sokół gdzieś w lesie uwiązał na gałęzi.  
Sam jeden Witol leciał bez oddechu,  
Nie wiedząc, gdzie go dziki koń poniesie.  
Coraz przez nowy pędząc kraj nieznany,  
Czuł, jak mil wiele za nim już zostało.  
Słońce się nawet na zachód skłaniało,  
I w chmur drużynie różowych, złocistych,  
Jak młoda xiężna wśród swych dziewczek dwoi  
Kiedy ją wiodą do chłodnej kąpieli.  
Coraz łagodniej na ziemię patrzyło,  
Coraz się milej ziemi uśmiechało.  
Widać, już wozu jego gasły ognie,  
Już odpoczynku zbliżała się chwila;  
Nad lasów wierzchy czerwone od znoju  
Chylić się zacznie, i patrzy, i słoi.

Jak gdyby jeszcze żałowało ziemi  
 Opuścić drogiej, jakby ją żegnało;  
 I jeszcze długo patrzyło pół-okiem,  
 Tęskno, łagodnie; aż nareście tylko  
 Koronę swoje zostawia na niebie,  
 A samo wpadło do chłodnej kąpieli.  
 Potem się odblask ognistego wozu  
 Świecił czerwono na srebrnych obłokach.  
 Po drugiej stronie ukradkiem twarz bladą  
 Niewierny słońca mąż, xiężyc, pokazał,  
 I smutny wyszedł z skrwawionein obliczeni  
 Błądzić po niebie do wschodu jutrzeńki.  
 A Wakarinnc wyszła go szpiegować,  
 I Żwajgzdunokiej zapalone ręką  
 Tysiąc gwiazd innych błysło z chmur osłony.  
 Drużyna słońca, -obłoki złożone,  
 Z iiiiem razem zeszyły do mokrej kąpieli.  
 Czysty już błękit; czasem tylko czyja  
 Gwiazda upadnie; drogę złotofitą  
 Za sobą pisząc, leci do mogiły,  
 I gaśnie blada z ostatnim oddechem  
 Tego, którego przyświecała głowie.

Noc była cicha i niebo pogodne,  
 Szumiały lasy. Nie wiatr rzucał niemi,  
 Same tak sobie pocichu szeplały,  
 Kołyszac do snu gałęźmi stareini  
 Bagany pod icli czarną korą skryte.

A koń, parskając, biegł ilalój i dalej.  
Nic go zatrzymać nie mogło śród biegu.  
Zdawał się coraz nowych sił nabierać,  
Zdawał się coraz prędzej lecieć jeszcze.  
Nareście zwolnił błyskawicy' biegu,  
I coraz stąpał powolniej, ostrożniej.  
Przebywał puszcę; wybiegł na dolinę,  
Na której wielka ciemniała mogiła;  
Parsknął i stanął; a Witol odgadnął  
Po biciu serca, po duszy przeczuciu,  
Ze to był ojca jego grób, Romojsa.  
Koń pysk spieniony ku panu zawrócił,  
Stanął; a Witol, zeskoczywszy z niego,  
Zjął uzdę, i rzekł, wolno go puszczając:  
— Czuję, że to jest ojcowska mogiła.  
Ty, coś mnie tutaj przyniósł na swym grzbiecie,  
Rądz za to wolny; leć, gdzie stada dzikie;  
Leć, o mój Jodziu, kędys się urodził.—

A koń, jak gdyby tę mowę rozumiał,  
Podniosłszy głowę, oczy nań obrócił,  
Potrząsnął grzywą i zakopał nogą,  
I znów szedł za nim do ojca mogiły.  
Kiedy się Witol ku niemu obrócił,  
On głowę oparł na ramieniu pana,  
I stanął smutny, jakby myśli jego  
Pojmować umiał, potrafił dzielić;  
A okiem w oczy Witola wlepioneni

Mówił mu:—Panie! nie chcę cię porzucić,  
Pójdę za tobą, nie odstąpię ciebie.

Niepewny, drżący szedł "Witol do grobu,  
Szukał drzwi jego z południowej strony,  
I znalazł kamień, który je przypierał,  
Dzikimi chwasty pokryty i zieleń.  
Xiężyc się właśnie podnosił z za chmury  
I dał mu runy wyczytać grobowe.  
Ze drzeniem serca ujrzał ojca imię  
Jeszcze starości nieporosłe mchami,  
W górze dwa węże, godło jego rodu.  
Padł syn naówczas, i gorzkimi łzami  
Polał mogiłę, jęknąwszy boleśnie;  
Modlił się Bogom, cieni ojca wzywał.

— Ojczy!—zawołał—zlituj się nad synem  
Zejdź z tamtych światów na twoją mogiłę  
I ukaż mi się w dawniejszej postaci!  
O to cię błagani! oto cię przyzywam  
Usty i sercem, modlitwą i łzami!  
Ojczy mój! pokaż twarz swoją z mogiły!  
Niech ją raz ujrzę, raz na życie całe.  
Potem polecę, w sercu ją poniosę,  
Jak złoty pieniądz, co do grobu kładą  
Na długą drogę wieczności umarłym.  
Jeśli żal łobie dziadów twoich cienie,  
Albo wesołą biesiadę z Murgami,





Faint, illegible text in the upper section of the page, possibly bleed-through from the reverse side.



Faint, illegible text in the lower section of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

I [owy mile na chwilę porzucić,  
Powrócisz, ojcze! na wieczność powrócisz!  
Niechaj ja ujrzę twoją twarz promienny,  
Choćby łuk krótko, jak blask błyskawicy,  
Jak strzałę gromu, co pada i znika.  
Malka raz ile mnie z nieba się spuściła,  
A tyż ni razu mnie się nie ukazesz?  
Ja zemstę Bogów tu za ciebie noszę,  
Ja za twą winę błąkam się po ziemi  
I walczę z duchem wysłańcem Perkuna.  
Ojcze! I wszystko nagrodzisz synowi,  
Życie zasłodzisz, do walki zagrzejesz,  
Jeśli mu tylko ukazesz twarz swoją!—  
Westchnął i spojrzął, płakał i narzekał.  
Wtem na niebiosach coś błyskać zaczęło,  
I białe cienie na białych rumakach,  
Krając powietrze skrzydłami białymi,  
Po nad mogiłę wleciały. Syn spojrzął,  
Wyciągnął ręce, srebrne łzy wylewał.  
A drogą mleczną lecieli ku niemu:  
Ojciec na przedzie, w złotem litej szacie,  
Promienny cały; po trzy gwiazd miał w ręku,  
Jedną na czole, a na piersi jedną;  
U boku jego złoty miecz zwieszony,  
I łuk z strzałami chwiał mu się na barkach;  
Zniżał się, zniżał, stanął na mogile;  
A za nim orszak jego towarzyszy,  
Jak on, na koniach białych i skrzydlatych.

Stanęli. Witol padł na twarz przed ojcem.  
— Ojczy!—rzekł, wznosząc splakane oblicze —  
Dozwól się dosyć napatrzeć twej twarzy.  
Niech się jej obraz na duszy wryje,  
Abym go nosił życie moje całe;  
Ażebym, jeśli na Dungus przylecę,  
Jeśli do wschodniej powrócę krainy,  
Pierwszego poznał, pierwszego powitał!  
O, lżej mi będzie walczyć teraz z duchem,  
Lżej będzie cierpieć i zginąć na ziemi,  
Kiedym cię w życiu mojem raz zobaczył,—  
Mówił i ręce do ducha wyciągał;  
A duch, jak gdyby chciał, nie mógł się zbliżyć;  
Chwiał się na białym, skrzydlatym rumaku;  
I gdyby w kraju, z którego przeleciał,  
Mógł się żal rodzić, lzy mogły popłynąć,  
Rzekłbyś, że mu się lzy w oczach świeciły.  
Otworzył usta i tak rzekł do syna:

— Śmiało idź, synu, śmiało idź po ziemi!  
Choć zemsta Bogów niewinnego ściga,  
Jeśli się zbrodnią nie skalasz ni razu,  
Wrócisz do ojców, do wschodniej krainy,  
Przejdiesz Anafiel; a pamięć o tobie,  
Jak złote ziarno posiane na ziemi,  
Zostanie tutaj; i z niej się urodzi  
Potomstwo wielkie, bohalery sławne.  
Śmiało idź! synu! Ja ojcowską ręką

i y:s

Do boju życia błogosławię łobie.—  
Rzekł ojciec. Potem znowu orszak dachów  
Z mogiły ruszył, popłynął ku niebu;  
Biełał przez chwilę; na tle nocy czarnej  
Świecił, jak gwiazda, i małał, i zniknął.  
Pozostał Wifol, uderzył się w rękę,  
I krew swą lejąc na ojca mogile,  
Modląc się, krwawą świecił mu ofiarę.

Tak noc ubiegła. Pierwszy raz oddawna  
Usnął podróżny; a wierny koń jego  
Z rozdarłem nozdrzem wartował na straży  
I rzeniem równo z jutrzeńką obudził.  
Wilol przypomniał na ducha zasadzki;  
Dłużej na grobie nie mogąc pozostać,  
Oblul go jeszcze łzami, i żegnając,  
Znów w swoją drogę puścił się przez lasy.

Smutny szedł krętą w zarośla drożyną;  
Jodź za nim, jakby sługa szedł za panem  
Powoli; kroki mierzył z jego chodem;  
Czasem się srożył i najeżał grzywę,  
To znów spokojny trawę gryzł i liście;  
Jak pies, co rękę zna, co go karmiła,  
I szuka śladu, i tęskni za panem,  
Tak on drożyną za nim postępował;  
I próżno laki wabiły zielone,

#### iy-4

Próżno do niego dzikie stada rżały—  
On nawet ku nim oczu nie obrócił,  
Na chwilę nawet pana nie porzucił.

Tak długo w głębią puszczy się ciągnęli.  
A Witol kraj ten jakby przez sen widział,  
Zdał się poznawać, zdał się przypominać.  
I zdało mu się, jak gdyby zamłodu  
Ścieżki podobne i podobne gaje,  
Też same rzeczki, doliny (eż same  
Kiedys już widział i dawniej przebiegał.  
Witał je z jakimś uczuciem radości,  
A sam uczucia nie pojmował swego.  
Coraz biegi prędeej. Na ścieżki zawrocie  
Wyszedł w dolinę, i ujrzał przed sobą  
Chatę — tę samą, w której się wychował.  
Też sanie wiśnie dacji jej ocieniały,  
Też same ploty dokoła ogródka,  
Taż sama wkoło zielona dolina,  
Taż sama sosna z barcią niedaleko,  
Kamień, na którym z pastuszki ofiarę  
Palił on niegdyś Gonigłowi Rogu;  
A w dali tenże las, na który chciwie,  
Rwąc się do łowów, patrzył tyle razy,  
Też same dęby z gałęzmi krzywemi,  
I sosny smukłe, i brzozy schylone,  
I lada osina, splątane leszczyny,  
Taż sama niwka pod lasein zasiana.

I, jakby wczora odszedł zład dopiero,  
Nie się lu jeszcze nie zmieniło wkoło—  
Cicho, jak było, i pusto, jak było.

Ranek, więc matka musi być w oborze,  
Ojciec na łowach, z bydłem poszły dzieci.  
Parobcy w lesie, w polu, na nowinach.  
Psia buda sło i otworem i pusta.  
Też same nawet sroki i śmieciuchy  
Skaczą przed progiem i ziarna szukają.  
Witol, jak gdyby tylko z łowów wracał,  
Śpieszył, i stając na chrominy progu,  
Modlił się naprzód Robolom i duchom,  
Co go dziecięciem pod tym dachem strzegły;  
Zapukał potem. Wyszła stara Malda;  
Ale pod pięknej postaci młodzieńcem  
Owego dziecka, co się gdzieś zbłąkało,  
Już nie poznała. On poznać się nie dał,  
I prosił tylko, jak łowiec zbłąkany.  
Aby się chwilę ogrzać przy ognisku  
I do podróży dalszej mógł wypocząć.  
Poszła mu stara wodę grzać na nogi  
I placków upiec świętecznych pod żarem,  
Plaster mu miodu na stół postawiła,  
I ser, i nilćko na misie drewnianej;  
Lecz choć na niego sto razy spojrziała,  
Choć głos słyszała, nie poznała przecie,  
Że się len niegtly jej synem nazywał,

I na jej ręku piosenką dziecinną,  
Straszony cieniem Pokola, usypiał.

Wtem na podwórku psy się odezwały  
I ktoś zagadał. Rozpoznał po głosie  
Wiloł starego i lowcze ogary.  
Wybiegła Małda gościa mu zwiastować;  
Ale po Jodziu wiedział już gospodarz,  
Ze jakiś obcy w chacie odpoczywa.  
— Któż to?—zapytał żony w progu chaty.  
—Kto?—Bogi wiedzą! Zaszedł, jak zbłąkany.  
Piękny młodzieniec. Miecz wielki u boku,  
Luk ma na plecach i topor 11 pasa,  
I Wizos drogim sznurem oplatanę,  
I twarz wesołą, a piękną jak Saule —  
— Nie bluźńże, stara! A toć byłby Bogiem.—  
—Kto wie! Prawdziwie na niego wygląda.  
Widziałam dawniej Kunigasów wielu.  
Ludzie to, jak my; to, nie jak my człowiek.  
I mało darów gościny skosztował,  
Milczy i patrzy, jakby na co czekał.—  
Stary porzucił oręż swój u proga,  
Proch z nóg otrząsnął, zdjął szłyk z siwej głowy,  
I, uchylając drzwi, gościa powitał:  
— Niechaj wam będzie błogo w naszym domu.—  
— I tobie, starcze, niech Bogi przyczynią—  
Odrzekł mu Witol— niechaj wam Puschajtis

I. Słońce.



U Mnrkopola dostatki wyprosi.  
 Z łowów wracacie?—zapytał po chwili.  
 — Z łowów — rzekł starzec — idę, miły gościu!—  
 A mówiąc, pilnie w twarz mu się wpatrywał;  
 i, jakby sobie głos len przypominał,  
 Jakby pod męzką chciał odgadnąć twarzą  
 Rysy dziecięcia, patrzył z podziwieniem.  
 —Jakże wam łowy dziś się poszczęściły?—  
 Znowu go Wilol zapytał z uśmiechem.  
 —Niebardzo, Panie! Od lat to już kilku,  
 Jak wychowaniec mój, biedny sierota,  
 Gdzieś mi na łowach, przez duchy zbłąkany,  
 Zginął, że nawet i śladu żadnego  
 Znaleźć nie mogłem, od lego mi czasu  
 Ani na łowach, ni się szczęści w domu.  
 A Bogi wiedzą, jakem go przestrzegał.  
 Lecz w las młodemu, jak rybie do wody.  
 Ani pamiętał na moje przestrogi.  
 —Liszka nam drogę przebiegła — mówiłem—  
 Wróćmy się nazad — on nie chciał powracać;  
 Stać mu kazałem, puściwszy ogary—  
 On w las poleciał i zginął gdzieś w lesie.—

—Dawuż to temu?—znów Wilol się pyta.  
 — Lat nie liczyłem, lecz kilka ich mija.  
 Oszczep strzaskany znalazłem wśród kniei,  
 Lecz ani słychu, co się z młodym stało.  
 Gdyby go zwierzę pożarło, to szaty

Znalazłbym może, lub kości pogrzebał;  
 A wszystkim lasy przetrząsnął dokoła,  
 I niema miejsca, gdziebym go nie szukał.—

— Któż lo był? z kądże wzięty był sierota?—  
 Znów Witol starca zapytał ciekawy.  
 — Jeszcze go dzieckiem przynieśli z daleka,  
 Z dworu Krumiuy; kobieta służebna,  
 Tajemnie, w białe spowitego płótno,  
 Zonie oddała, i mieli nagrodzić.  
 Ale gdy chłopiec z mojej zginął winy,  
 Nikt się o niego nic dopomniął więcej.  
 Myśmy nagrody i prosić nic śmieli.  
 Nie było za co. Baliśmy się kary.  
 Wielka Krumine straszna, gdy jest w gniewie.—  
 — I nikt o niego u was nie zapytał?—  
 Powtórzył Witol z westchnieniem bolesnem.  
 — Nikt; tylko lala przeszłego kobieta  
 Taż sama w polu spotkała mnie znowu.  
 — Dziecka już niema?—powiedziała do mnie.  
 — Niema!—odrzekłem, i chciałem uciekać.  
 — Wiem!—zawołała, idąc dalej drogą,  
 Lecz nic groziła zemstą, ani karą,  
 Ani się więcej u mnie rozpyłała.  
 Jam dumał: ona z kąd wiedziała o lem?  
 Dla czego nic mi nie mówiła za lo?  
 Chociaż go swoi nic płakali może,  
 Ja nieraz po nim szczere łzy wylałem.

Ach! byłby teraz w domu mi pomocą.  
 Siłę niedźwiedzia, a rozum miał węża,  
 Odwagę wilków szalonych i rysia.  
 Miody, a już mu w piersi boje wrzały,  
 I nie mógł z braćmi trzody gnać na pole,  
 Rwał się do łuku, oszczepem się bawił,  
 O łowach marzył i tęsknił za niemi.  
 Ja teraz stary! Czemuż go tu niema?!—

A Wilol słuchał starca i żałował.  
 Stara ze, swoim przyszła znowu żalem;  
 Z założonemi rękami, podparta,  
 Przypominała biednego sierotę,  
 Który z jej piersi ssał przed laty życie.  
 — Jain go, jak własne dziecię, ukochała—  
 Płacząc, mówiła, potrząsając głową—  
 Jak swoje dziecko piersiami karmiłam.  
 Ale znać było, że nie nasze dziecię.  
 Insza twarz, serce, i inna w nim dusza.  
 Jemu niesmaczne dziecinne zabawki,  
 Jemu niemile dziecinne swawole;  
 O łowach tylko i bitwach od młodu  
 Marzył i gadał, przez sen nawet, biedny.—

— I jemu przyszło — rzekł starzec — lak zginąć!  
 Niedawno liszka przebiegła nam drogę.  
 Prosiłem: wróćmy! On nie chciał powracać:

Zaledwie w inną dał się zwrócić stronę.  
Poszedł i zginął! O! żal mi sieroty.—

—Nie żałuj, ojcze!—rzekł Witol do niego,  
I wstał z za stołu, szedł, uściskał starca.—



Jam to jest Witol, ja to ów sierota.—  
—Ty!!—zawołali z wykrzykiem oboje.—  
Ty? Panie!—Zaraz wszystko zapomnieli,  
Ściskać go, płacząc, i pytać zaczęli.  
Witol się cieszył, jak gdyby rodzinę  
Własną odzyskał—tak czule witali,

Ze Izami w oczach, z uśmiechem radości.  
 A siary patrzył, Witola oglądał,  
 Dziwił wzrostowi, mieczowi, ubraniu,  
 O wszystko pytał, wszystkiego ciekawy,  
 I stokroć jedno powtarzać mu kazał.

Zaraz się dzieci starca dowiedziały.  
 —Witol powrócił!—Biegają pastuszki,  
 Wołają, trzody puścili samopas,  
 I wszyscy biegną zobaczyć do chaty,  
 Jak ich rówieśnik na wielkiego męża  
 I na wojaka wyrósł potężnego,  
 Jakiego konia, jaki miecz u boku,  
 Jakie miał piękne, bogate ubranie.

Tak gdy ptak z gniazda daleko uleci  
 I w obcych gajach pierzem się okryje  
 A potem znowu na gniazdo powróci,  
 Pozna go matka, dziwią mu się bracia,  
 I w obcym dawną witają znajomość.

Napróżno Małda troskliwa Jodziowi  
 Najczystszy owies sypała na trawie;  
 Próżno mu dzieci, głaszcząc go, nosiły  
 Wody najświeższej z krynicy od boru—  
 On nic jeść nie chciał, niczego się napić,  
 Hasał w dolinie, znów do chaty wracał,  
 I, u drzwi stojąc, kopał ziemię nogą,  
 Rżał i Witola ku sobie wyzywał.

Na niebie, jakby podartemi szmaty,  
Brudne obłoki, rozpierzchłe, wisały;  
Wiatr w górze szumiał; wielkimi kroplami  
Deszcz się niekiedy oznajmował ziemi;  
A piorun, tocząc się ze chmury w chmurę.  
Warczał, nim upadł na przelękłych głowy.

Jodź, jakby burzę czy wroga przeczuwał,  
Coraz biegł prędzej, coraz chyżej ścigał.  
Ledwie się za nim migały w oddali  
Puszcze, Witola młodości schronienie;  
I Niemen, w którym niebo się odbiło,  
Jako pas czarny pozostał za niemi.  
Oni lecieli. Nad Witola głową  
Już Grajtas czyhał pod ptaka postacią,  
Skrzydła rozpuścił, szyję na dół zwiesił,  
Bozwarł dziob oslry i zakrzywił szpony;  
A Jodź najeżał rozczochraną grzywę,  
Rzucał się, parskał i pędził szalony;  
Lecz duch Perkuna prześcignąć się nic dal.  
Ciągle nad niemi przez chmury szybował,  
Ciągle ich okiem ognisteui pilnował.  
Tymczasem burze warczały po chmurach ;  
Huk wprzód daleki, teraz bliższy coraz,  
Gęstszą co chwila błyskawicą groził;  
I wicher ku nim wiał ciepły, siarczysty,  
Z powietrzem ciężkiem, gęsłemi wyziewy.

Oni lecieli coraz chyżej, chyżej.  
 Jodź głową w górę potrząsnął i slanął.  
 — Panie mój!—rzecze— duch nad tobą krąży.  
 Duch to Perkuna. Przed nim nie ucieczcm.  
 Wejdz w moją głowę i schowaj się przed nim.  
 Ja z tobą wówczas lżej jeszcze polecę;  
 A on, gdy ciebie nie ujrzy pod sobą,  
 Może się nazad na Dungus zawróci.—  
 —Wejść w głowę twoją?—Witol go zapytał—  
 Jakże ja w głowie pomieszczę się twojej?—  
 — Pauic!—koń rzecze—jest w niej pałac wielki.  
 Każdy naszego rodu koń go z sobą nosi.  
 A gdy pan jego siądzie na spoczynek,  
 On leci dalej, kędy mu rozkaże.—  
 •—Zkądżeś ty rodem? cudowny mój koniu!—  
 - - Z daleka, Panie! z północnej krainy.  
 Naszego rodu jest już tylko dwoje.  
 Jeden król tylko ma klacz mnie podobną.  
 Lecz nie trać czasu. Stanę, pysk otworzę,  
 Wnijdz do pałacu i uśnij spokojnie.—  
 Slanął, a Witol spuścił się na ziemię.  
 Jodź, białą pianą zlany, pysk otworzył.  
 Skoczył syn Mildy, i znalazł się cudem  
 W gmachu przepysznym, który okien dwoje  
 Dwa oczy Jodzia) jasno oświecało.  
 Wszystko tam było do jego wygody:  
 Z skór miękkich łożo, stół i miodu czasie,  
 Na stole pieczeń, żubrzy róg złożony,

I ogień nawet palił się w ognisku,  
 A dym przez nozdrza konia się wywijał  
 Kiedy Jodź stawał, Grajtas już się spuszczał,  
 Wymierzył w środek na Witola głowę  
 I ostrym dziobem już ku niej kierował,  
 Spojrzał raz jeszcze—nie ltyło Witola,  
 Koń tylko pędził. Ptak za nim poleciał,  
 Naprózno pastwy upatrując swojej.  
 To się raz spuszczał nad głowę rumaka,  
 To wkoło niego kręcił i szybował.  
 Nigdzie Witola. Myślał:—Koń go zrzucił,  
 Pozostał w tyle, a jam go ominął.—  
 Spuścił się nisko i leciał nad drogą.

Jodź spojrział w górę—jeszcze burze grzmiały,  
 Potopy deszczu lały się na ziemię,  
 Ale już ptaka nad nimi nie było.  
 Jeszcze dwie mile, a dalej pogoda  
 I odpoczynek w zielonej dolinie.  
 Skoczył dwie mile i stanął zdyszany.  
 —Panie!—rzekł—wynijdź, bo już niema ducha.—  
 AVitol ze swego wyskoczył pałacu,  
 I, głaszcząc konia, usiadł na murawie.  
 — Cóż ty chcesz, koniu, za twoje usługi?—  
 — Nic, o mój Panie! Chciałbym ja raz tylko  
 Swojego rodu klacz odwiedzić cudną,  
 Która na dworze północnego króla,

1. Poilaue o Koniu Witola lali mówi.



Ztąd jest daleko. Potémbym ci za lo  
Służył lak wiernie, jak dotąd służyłem,  
Póki twojego życia tylko stanie,  
I póki życia we wschodniej krainie.  
Uciekać nie chcę, rzucić cię nie mogę.  
Czarownik jeden zaklął mnie w niewolę,  
Iż komu cugło raz w ręce oddane,  
Tego na wieki sługą pozostanę.—  
•—Gdzież la klacz cudna? i długiż to droga?—  
— Trzy razy trzy dni będziemy lecieli,  
Siedemkroć siedem będziemy powracać.—  
— Odpocznij, Jodziu. Polecimy za nią.—  
Jodź wslrzął się cały.— Nie trzeba spoczynku.  
Siadaj! mój Panie! siadaj! Jam gotowy.—



JECHALI ciągle ku chmurnemu niebu,  
Na północ, przeciw Grizulas świecących;  
I chociaż prędko jak piorun lecieli,  
Już się im droga długą zdała obu.

Kraj się odmienił. Znikły Lilwy gaje ;  
Śnieg ziemię przysuł; białych brzóz i jodeł  
Chwiały się bory pod płatami śniegu,  
Pod białą zimy śmiertelną koszulą;  
A niebo mgliste wisiało nad nimi,  
I rzeki martwe u stóp ich głazami  
Leżały, jakby trupy na smętarzu.  
Nigdzie człowieka. Czasami zwierz biały  
Gdzieś się zdaleka po śniegach im migał  
I bojaźliwy po zaspach przesuwiał,  
A w borze czarnym kryjąc się głęboko,  
Znikał w gęstwinach, z splątanych gałęzi  
Śniegiem strzęsionym zasypując ślady.  
W nocy miliony gwiazd świeciły z nieba,  
Ale nieznanne Witolowym oczóm.  
Innych to ludzi i innego świata  
Strażnice były, inaczej świeciły.  
W północnej stronie co nocy olbrzymy  
W czerwonej zorzy wbiegali na niebo  
I krwawe walki wiedli, i krwią swoją  
Na długo jeszcze pole walk broczyli;  
Czasem przez wielkie pędzili jeziora,  
Martwe i lśniące, które pod kopytem  
Głucho i straszno w głębinach tętniały;  
To znów przez zasy śniegu się kopali,  
Które, jak góry wznosząc się olbrzymie,  
Tysiącem pyłów gwiazdzistych błyskały,  
Pochmurne niebo czasem się iskrzyło,,

Jak drugie szkliste nad głową jezioro;  
Czasem się w siwe ubierało szaty;  
Lub białym śniegiem wiatr kręcąc nad ziemią,  
Chmurą ich zewsząd śnieżną opasywał.  
W niej jak gdyby się ziemi nie łykali,  
Jakby w obłoku jasnym się pędzili.  
Lecz Jodź z rozdarłem nozdrzem nigdy drogi  
Nie szukał nawet; ciągle wprost przed siebie,  
Przez góry, doły, i zaspę śnieżystą,  
I przez zamarzło pędził się jeziora.  
Ni jemu w nocy spoczynku gdzie w lesie,  
Owsa ni wody nie trzeba mu było.  
Jakby cudowną ożywiany siłą,  
Im dłużej leciał, tein raźniej i chyżej,  
Czując, że coraz był od celu bliżej.  
Wiele, dni w drodze podróznym ubiegło.  
Dni tylko mrokiem i światłem liczyli:  
Bo rzadko sionce widzieli nad sobą,  
I rzadko xiężvc z za chmury twarz bładą  
Pokazał, i znów wśród zamieci śniegu  
Okrył się płaszczem tumanów i zniknął.

A Witol pytał konia:—Czy lak długo  
Biedz jeszcze mieli, czy jeszcze daleko?—  
—Jeszcześmy, Panie, ubiegli pół drogi.<sup>1</sup>—  
I znowu leciał tak prędko, jak wprzódy.  
A kraj się coraz dzikszy ukazywał.  
Czasem w ustroni chata między drzewy,

I człek brodaty, śniegiem opruszony  
Wieku i zimy, wychylał twarz czarną,  
Na widok jeźdźca schylonem bił czołem,  
I, ozierając, z przestraczem uciekał.  
Czasami stada głodnych wilków, wyjąc,  
Stały na wzgórzach, oczami świeciły,  
Z otwartym pyskiem na jeźdźca patrzyły;  
Lecz Jodź poskoczył, i w tyle zostały;  
Wiatr tylko wycie przynosił z daleka.  
Potem znów było cicho, jak przed chwilą.  
Znowu wędrują przez morza śnieżyste.  
A Witol pyta: — Daleko? mój koniu! —  
— Panie mój! jeszcze do króla daleko. —  
I znowu jadą i pędzą śniegami,  
A mroźny wicher wkoło nich się zwija.  
Już twarz i suknie Witola przemarzły,  
I oręż jego posiwił u boku,  
I koń, jak gdyby kanięmi drogiemi  
Okryty, w pyłach zamarzłych połyskał.  
— Zimno nam, koniu! — mówił Witol znowu.  
— Nie mnie: bo pędzę do swojej kochanki.  
Ani mnie nogi od biegu martwieją,  
Ani mi siły od znoju ustają:  
Do czuję Aszwę ' kochankę przed sobą.  
Ty tylko, Panie, musisz być znużony.  
Tobie i mroźny wiatr musi dokuczać,  
Tobie i nudno i ciężko być musi:

1. Minc?

Bo do nikogo i po nic nie jedziesz.—  
 — 0, mnie nie nudno, mnie droga nie długa;  
 Lecz przyśpiesz biegu, bo odpocząć trzeba.—  
 — Czemuż wejść nie chcesz do swego pałacu?—  
 Bo lubię patrzeć na ten świat północny,  
 I clicę na jego napatrzeć się dziwy,  
 Ażeby o nim w starości pamiętać  
 I przy ognisku kiedyś opowiadać.—

Znowu więc biegli. Jodź począł ustawać.  
 — Blizko już? koniu!—Wilol go zapytał.  
 — Blizko już, Panie!—koń mu odpowiedział.

Za mgłą, na górze wysokiej, nad rzeką,  
 Wysoki, biały gmaci się ukazywał;  
 U spodu góry wielki las sosnowy  
 Zielonym wieńcem miasto opasywał;  
 Świeciły dachy i wieże wysokie;  
 Dymy na bokach góry się zwijały,  
 I w czarnych kłębach, nad wierzchołkiem lasu,  
 Jak szata ciemna, z wiatrem kołysały.  
 Jodź zarżał, patrząc na górę wysoką,  
 I jeszcze chyżej biegł po krętej drodze,  
 Pomiędzy lasem szeroko ubitej;  
 Wspinał się silny i na skały drapał;  
 Z nozdrza mu ogień, zda się, wyparskiwał;  
 Uszy nastawił i nasrożył grzywę;  
 Tak aż do bramy zamkowej doleciał.  
 Tu Witol porwał zwieszony u pasa

Kog i zatrąbił. Zaraz służba mnoga  
Biegła, ciekawie patrząc na wędrowca.  
— Swemu królowi powiedzcie ode nrnie—  
Rzekł Witol, stojąc u zapartej bramy—  
Że z południowych oddalonych krajów  
Przybywam prosić gościny u niego.—  
Od wrót pobiegli na zamek dworzanie.  
Król oknem wyrzał; poznał po postawie,  
Że gość to musiał być wielkiego rodu;  
Rozkazał puścić na zamek, do siebie;  
Sam nawet wyszedł naprzeciw spotykać.

Stary i siwy, na łokieć miał brodę,  
Złocistą suknię, na głowie koronę,  
Długi miecz w pochwach u boku zwieszony;  
Krzepki, barczysty. Znać, że długie lata  
Siły w nim wielkiej jeszcze nie przybiły:  
Bo kiedy dłoń swą Witolowi podał,  
W uścisku jego znać było nie starca,  
Lecz w kwiecie wieku silnego wojaka,  
Co był zwykleszy miecz pięścić w swej dłoni  
iż przyjacielską podawać u proga.

Potem obadwa do komnat bogatych  
Poszli i siedli. Liczni słudzy króla  
Jadło, napoje, biały miód i mleko,  
J piwo nieśli srebrnemi konwiami.  
Na drogich skórach siedzieli za stołem,  
A niewolnicy, klęcząc, im służyli.

Wpośrodku ucztę zwołani śpiewacy  
Z gęślą i pieśnią wesołą nadeszli;  
Inni na rogach i trąbach im grali,  
W Lielauros<sup>1</sup> bili, jak gdyby do wojny  
Wojenną pieśnią rozgrzewając serca,  
Wspomnieniem zwycięstw rozjaśniając czoła.  
I tak weseli, do wieczora oba  
O swoich krajach, o Bogach, o wojnach,  
I król i Wilol pospołu gwarzyli.

Gdy noc nadeszła, najstarszy dworzanin  
Powiódł Witola w komnatę osobną,  
Bogatą bardzo i bardzo ozdobną.  
Dziwięciu sług lllll dał król na rozkazy,  
Którzy noc całą pod drzwiami czuwali.  
Nazajutrz szaty przynieśli bogate  
I miecz złocisty w podarku od króla.  
Przywdział je Witol, lecz Krewe-Krewejtę  
Miecza nie rzucił, choć oka nie wabił,  
Ani się świecił bogatą pozłotą.  
Znowu, jak wczoraj, dzień minął wesoło,  
W ucztę i śpiewach, nad dzbanami miodu.  
W samo południe na podwórzec wyszli  
Przygotowanem bawić się igrzyskiem.

W środku ścian czterech z białego kamienia,  
Które podwórzec wielki otaczały,  
Spuszczono naprzód niedźwiedzia z ogary.

1. Ili;lmy, liotlr.



Niedźwiedź był głodny; a psy rozjuszone  
Wpadły nań, wyjąc; lecz lasów mieszkaniec,  
Z starości siwy, podniósł się na łapach,  
Przypuścił zjadle ku sobie ogary,  
Polem, jak muchy, w uścisku rozszarpał.  
Naówczas większe drugie psy puszczono.  
Tę, kiedy wroga przed sobą postrzegły  
I ciała braci w posoce drgające,  
Wyjąc, pobiegły ukryć się pod murem,  
I bojaźliwym pogładając okiem,  
Zdały się, patrząc do góry, litości  
Żalonym jękiem od ludzi wyzywać.

Naówczas Witol zaczął króla prosić:  
— Pozwól sam-na-sam z niedźwiedziem się zmierzyć.—  
— Gościu mój!—rzekł król—gdybyś był mi wrogiem,  
Chętniebym na śmierć pewną cię wyprawił.  
Chyba jej żądasz. Lecz szukaj gdzieindziej.  
Nie ściągaj na mnie zemsty swoich Bogów  
Za połamane gościnności prawa.—  
— Nie żądam śmierci — Witol odpowiedział.—  
Chcę ci pokazać naszych krajów łowy,  
I siłę naszą pokazać, o Królu!—  
A król ogromne od bramy wrzeczadze  
Rozkazał przynieść, i w ręce ująwszy,  
Milcząc, z łatwością, jak słomę, rozkruszył.  
— I ja mam siłę—rzekł—ale nie człeku  
Z dzikiem zwierzęciem mierzyć się i walczyć.—

— Królu!—znów Witol—lat już tcnm wiele,  
 Jeszczem był ledwie u ojca chłopięciem,  
 Kiedym takiego położył niedźwiedzia,  
 Co był postrachem okolicznej puszczy,  
 Którego łoże pomijali łowce,  
 Bo się od kości zdaleka bielalo.  
 Jeżeli zginę, ni żony, ni dzieci,  
 Nikogo nie mam, ojca, cohy płakał,  
 Ni krewnych, coby pogrzeb mi sprawili.  
 Dozwól mi, Królu! a wówczas zobaczysz.  
 Jakiegoś jeszcze nie widział, igrzysko.—  
 — Nieraz — król rzecze—widziałem podobne,  
 Kiedy niewolnik za zbrodnię skazany  
 Z psami lub dzikim niedźwiedziem się ścierał.  
 Nigdy nie widział, by zwyciężył człowiek.  
 Rzuć tę myśl, gościu, i nie chciej probować.—

A Witol naglił, prosił, aż król stary  
 Rzekł:—Chcesz umierać, wolno ci, idź walczyć;  
 Lecz jeśli padniesz, krew twoja nic na mnie,  
 Ani na dom len nie spadnie niewinny.  
 Sam chciałeś, wolnyś, i sam się zabijesz.—

Gdy tak mówili, wyły psy u bramy,  
 Niedźwiedź rozdartych wnętrzności wydierał,  
 Leżał, i łapy liżąc, je pożerał.  
 Z podziwem wszyscy palrzali, gdy młody  
 Wędrowiec, z lichym orężem u boku,  
 Bez zbroi, łuku, oszczepu i drzewca,

Przeszedł wśród wszystkich, podwórzec otworzył,  
I stanął śmiało przed siwym niedźwiedziem.  
Tamten zaledwie mordę zakrwawioną  
Podniósł i oczy wytrzeszczył czerwone,  
Polem spokojny wrócił do swej pastwy.  
Witol z dobytym mieczem się przybliżał:  
I niedźwiedź, mrucząc, psie cielsko porzucił,  
Zaryczał, stanął, na niego się zwrócił.  
Spojrzeli stojąc nieruchomi oba.  
Wtem cudownego oręża zamachem  
Syn Mildy łeb mu na dwoje rozplatał;  
Potem, porwawszy za kark, po za mury  
Ogromne cielsko, złane krwią, przerzucił.



Milczeli wszyscy, i sam król osłupiał.  
 W chwilę, jak gdyby oczóm nic wierzyli,  
 Jedni na drugich patrzali, nie śmiejąc  
 Ni ust otworzyć, ni nawet się dziwić.  
 A Witol zwolna na miejsce powrócił,  
 I reszlę gonitw w milczeniu przesiedział,  
 Ani się słowem odezwał do króla,  
 Ani z łatwego chlubił się zwycięztwa.  
 Lecz król północny, dziwiąc się lej sile.  
 Igrzysko zamknął, do zamku powrócił.  
 —Tyś czarnoksiężnik — rzecze do Wilola. —  
 Dobrze! W tej sztuce i jam nie pośledni.  
 Jednak, choć miody, tyś mnie w niej przesadził. —  
 —Nic umiem czarów, i nie znam, co czary—•  
 Rzekł Witol. — Siłą, moja tajemnica;  
 Taką mam, jaką Bogowie mi dali;  
 Anim jój sztuką powiększył, ni zmienił. —

Król słuchał, głową trzęsąc, i nie wierzył.  
 —Nie chcesz mi, gościu, wydać swych tajemnic,  
 Dla tego czarów sztuki się zapierasz.  
 Jednak tej siły nikt nie ma pod słońcem,  
 Z taką się jednak nikt z ludzi nie rodzi.  
 Kto ją posiada, czarami pozyskał,  
 Modły, ofiarą, zaklęciem uprosił.

Próżno się Witol przed królem zapierał.  
 On, złość swą kryjąc i gniew w serca głębi,

Clioć przyjazumi przemawia! słowami,  
 Zazdrośnem sercem źle gościowi zyczył,  
 I na miecz patrzył u boku zwieszony,  
 Jeszcze niedźwiedzia posoką zbuczony.  
 — Gościu mój!—rzecze—sto za jeden mieczów,  
 Stu niewolników, jeśli chcesz, w zamianę.—  
 — Ten miecz—rzekł Witol—pamiątka jedyna.  
 Braci, rodziny nie mam w swoim kraju.  
 On bratem moim, przyjacielem, sługą,  
 On mi po ojcu przybranym puścizną.  
 Za twą koronę, i kraj twój, o Królu,  
 Miecza mojego nie oddam w zamianę.—  
 Umilkł; a stary spójrzył nań ponuro  
 I wzrok pochmurny przed siebie utopił.

Kiedy za stołem usiedli i piją,  
 Słudzy gorące roznoszą mięsiwa,  
 Dworscy im w rogi białe miody leją,  
 Gęślarze pieśni wojennemi bawią,  
 A stary, ślepy, odwieczne im dzieje  
 Przeciągłym głosem wśród pieśni powtarza.  
 Nagle, jak gdyby góra się zatrzęśła,  
 Stu koni biegiem i stu koni rżeniem  
 W okna zamczyska bije tentent wielki  
 I po powietrzu rżenie się rozlega.  
 Król klaczy swojej poznał głos miłosny,  
 A Witol Jodzia zapalczywe rżenie.  
 Król, gniewem płonąc, porwał się od stoła.

—Kto klacz cudowną puścił na dolinę?!  
 Śmierć mu! Już za nią źrebiec się upędza!—  
 I biegi do okna, i oczyma szukał.  
 Pod górą zamku oba konie siały;  
 Już miłośnemi złączone pyskami  
 Wzajem poznawać i cieszyć się zdały.  
 Klacz króla rżała do swego kochanka,  
 Grzywa jej wiatrem wzniesiona latała,  
 Oczy płonęły, a nozdrze rozdarte  
 Zdało się ogniem buchać, wiać płomieniem.  
 Pobladł król stary i przeklinał sługi,  
 Którzy na twarze padali w milczeniu.  
 Potem, nim Witol miał czas go zrozumieć,  
 On czarodziejskie jął czynić zaklęcia,  
 I, zabiegając, by olbrzymich koni  
 Ród się na ziemi z tej pary nie mnożył,  
 Skinął—z pod zamku runął kawał góry  
 I urwiskami zarzucił ich dwoje.

— A!—wrzasnął—teraz śmierć na lego sługę,  
 Który cudowną klacz z stajni wypuścił!  
 Ja po niej będę do mej śmierci płakał,  
 Ilo jej podobnej nie było na świecie.  
 Lecz zkądże sobie równego kochanka  
 Aszwa znalazła? Powiązać stajennych  
 I rzucić dzikim zwierzóm na pożarcie.—

Mówił; a Wilol ku niemu poskoczył  
 Ziejący gniewem, zrospaczony zalem.

— Królu!— zawołał — najdroższego skarbu,  
 Koniaś mnie mego pozbawił zdradliwie.  
 Gdybyś za niego królestwo oddawał,  
 INiczem mi takiej nie nagrodzisz straty!—

Król zadumiony próżno się wymawiał.  
 — Patrz—rzecze—na mnie; i ja równą tobie  
 Stratę poniosłem: klacz mi ukochaną  
 Razem z twym koniem własnymi rękami,  
 Zbójca, zagrzebiem pod górą zamkową!  
 Biada mi! biada!—I rwał siwe włosy,  
 I sługi swoje odpychał od siebie,  
 Po ziemi tarzał z jęki bolesnemi.  
 A Witol także, po srogiej utracie,  
 Po Jodziu swoim, płakał Izy rzewnemi;  
 Ale, na boleść królewską patrząc,  
 Zabył on swojej, uśmierzył ją w duszy,  
 Podał mu rękę.— Królu!—z żalem rzecze—  
 Stało się! Nie czas napróżno się trapić.  
 Obaśmy winni, obadwa skarani.  
 Podaj mi rękę, i przebaczymy sobie.—  
 Nic nie rzekł stary, lecz jęczał strapiony  
 I sługi swoje od siebie odpychał  
 A koniuszego do wilczej zagrody  
 Wrzucić rozkazał.

Noc była nadeszła.

Kobiety króla pocieszać przybiegły.  
 Wrzawą i płaczem szumiał zamek cały.

Witol do swojej precz uszedł świetlicy,  
Po drogim koniu tęskniąc, przyjacielu;  
I długo, długo siedząc u ogniska,  
Wspominał o nim, próżny żal podsycił.

Tymczasem starca nie pocieszą słudzy.  
Próżno piosenki młoda córka nóci,  
Bojary jego łudzą go nadzieją,  
Ze w świat pobiegną i klacz taką drugą  
Od czarodzieja z za morza dostaną.  
Król wie, że drugiej takiej niema w świecie,  
I ciężko wzdycha, i targa włos biały,  
Do snu się nawet, choć północ, nie kładzie.  
A córka słowy przemawia czulemi,  
I pyta ojca : co począć rozkaże,  
Czem gniew ukoić, uspokoić żale?  
On rzekł do córki:—A po Aszwie mojej  
Żal nie ustanie póki mego życia.  
Lecz byłby mniejszy, gdybym cudownego  
Dostać mógł miecza od gościa mojego.  
Miecz ten u boku bezustannie nosi,  
I za nic oddać nic chciał go w zamianę.—  
— Miecz ten od niego ja, ojczy, dostanę—  
Rzekła mu córka. Z siedzenia się zrywa,  
Do starej mamki czarownicy śpieszy,  
Szeptem z nią długo, długo się naradza,  
Wraca do ojca i powtarza znowu :  
— Miecz ten od niego ja, ojczy, dostanę.



Jutro go rano 11 łoża twojego  
Ujrzysz, mój ojcze! Usypiaj spokojny.—  
I poszła córka; w podwórzu zamkowym  
Zebrała sługi; śle ich do świetlicy,  
Kędy sani jeden Witol odpoczywał.  
— Kio miecz cudowny od gościa dostanie,  
Swoboda jemu i dzieciom na wieki,  
Stu niewolników na sto gonów ziemi!—  
Rzekła, i słudzy upadli na twarze.  
Biją im serca na obietnic tyle.  
Wszyscy pobiegli do gościa świetlicy.  
Witol nie usnął, jeszcze na posłaniu  
Siedział i płakał na nieszczęście swoje,  
Gdy drzwi szeroko otwarli posiani,  
Wpadną na niego i więzy narzucą,  
A starszy Smerda, ulubieniec pani,  
Miecz mu od pasa chce oderwać siłą;  
Lecz pas go trzyma u Wilola boku,  
I, jakby przyrósł, odjąć się nie daje.  
Napróżno szarpią, próżno się szamocą.  
Nie wzięść go ręką, nie oderwać mocą.  
A Witol walczy z siepaczy wszyslkiemi,  
I co dwóch rzuci, podepce na ziemi,  
To czterech znowu do niego przyskoczy,  
Targa, i wiąże, i siłą ugniata.  
Miecza do ręki Witol wzięść nie może—  
Ręce spętane; jeszcze spęlanemi  
Broni się silny, niewolników rzuca;

Aż wysiłony matkę przypomina,  
I, wzniosłszy oczy, zawoła z rozpaczą:  
— Ratuj mnie! Mildo! matko! ratuj syna!—  
I w chwili padną na stronę siepacze,  
Drzwi się rozwarły, jasna postać w bieli  
Weszła, skinęła. Witol poznał matkę,  
I ręce do niej wyciąga zebrzące.  
— Ilaluj mnie!—wola.— Zgwałcono gościńę.  
Król ze mną chlebem rozlamal się białym,  
Pil z jednej czary, a zdradę uknował,  
Konia mnie zbawił, i miecz chce cudowny  
Wyrwać mi gwałtem. Wśród nocy podeszli  
Słudzy wysłani, więzy narzucili!  
Matko!—A matka rękę mu podała.  
I wstał z posłania, otrząsnąwszy łyka.  
— Diada ci! Królu! wam — krzyknął—siepacze  
Jam wolny. Idę. Lecz gdy tu powrócę,  
Nie z jednym mieczem, nie sam jeden tylko!  
To mówiąc, z siebie zrywał króla dary,  
Dogate suknie, jaśniejące szaty,  
Wdział swoje na się, i z matką wybiega.  
— Malko! ty syna przeniesiesz na Lilwę.  
Mam w sercu zemstę, dokonać jej muszę,  
Muszę się pomścić, kraj jego zwojować,  
Zabrać w niewolę jego, żony, dzieci,  
I niemowlętom nawet nie daruję,  
A z jego zamkiem i z krajami jego  
To, co z Ramiona uczynię sadybą.

O matko moja! jeśli w twojem ręku  
 Jest jeszcze jaka zemsla najslaszniejsza,  
 I lej dla syna nie odmawiaj twego!—

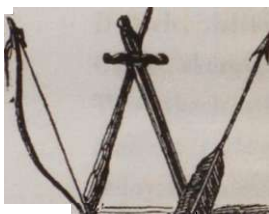
Wówczas Bogini, litując się syna,  
 Którego w gniewie i żalu tuliła,  
 Na kraj północny przeklęctwo rzuciła,  
 Żeby w nim, póki zemsta się nie spełni,  
 Iskierki nawet miłości nie było,  
 Ani roskoszy miłośnych uczucia.

—Niech, jak te lody, ostygną!—wyrzekła—  
 Niech żadne czucie serca nie rozgrzeje!  
 I, póki zemście twej dosyć nie będzie,  
 Niech w walkach, sporze i bez zgody żyją!  
 Niechaj się sami szarpią, zabijają!  
 Mąż żonę niechaj odpycha od siebie,  
 A córka ojca, starych dziadów dzieci!  
 Niechaj, dopóki ty im nie przebaczysz,  
 Przeklęctwo moje ciąży im nad głową!—

Tak mówiąc, syna uniosła od ziemi,  
 I poleciała nad Litwę rodzinną.  
 Tu Milda w puszczy, po nad Niemna brzegiem,  
 Syna ze swego wysadziła wozu  
 I skarby wielkie na wojsko mu dała.  
 Przejęty żalem, pałający gniewem,  
 Witol z puszczy dzikich zaczął lud zwoływać.

Posłańcy jego poszli w cztery strony,  
Na wszystkie dziewięć pokoleń Litewskich.  
Zewsząd, ujęty nadzieją nagrody,  
Lud się naciskał tłumnie i gromadził.  
Biegli, oszczepy niosąc, drzewce, łuki,  
I rzadkie jeszcze żelazne oręża.  
U chaty starca Witol stanowisko  
I obóz wybrał w zielonej dolinie.  
Dzień za dniem coraz rosły jego siły;  
Dzień za dniem zdała przybiegali ludzie  
Ze stron dalekich, dziwnie uzbrojeni  
W proce i groty, kamienne siekiery;  
Dzikich, dalekich, głuchych puszczy mieszkance,  
Okryci skórą pobitego zwierza,  
W szlykach z łbów dzicznych, niedźwiedzi i wilków,  
Stali na rozkaz do boju gotowi.  
Jednych nadzieja bogatego łupu,  
Drugich zapłaty wielkiej obietnica,  
Innych krew młoda i do boju wrząca,  
Do Witolowej napędzały zgrai.  
Od swych kapłanów wzięwszy wróżbę drogi,  
Biegli młodzieńcy, rodzinne ogniska  
Starych rodziców, narzeczone młode  
Ochotnem sercem wesoło żegnając,  
A prędko powrót i łupy bogate  
Z północnych krajów obiecując swoim.  
Wkrótce na puszczy pełno ludu było.  
Obóz daleko wyszedł za dolinę,

Ciągnął się w lasy głęboko, że Witol  
Wojska swojego zliczyć nie potrafił.  
Kiedy ruszali z wojenneimi liogi  
I wróżbitami na długą wyprawę,  
Każdy wziął tylko na prawą dłoń piasku,  
I rzucił, kędy był obóz w dolinie.  
Nim wszyscy przeszli, stanęła mogiła,  
Co drzew wierzchołki głową przewyższyła.



IOSNA su; z Litwy na wojnę wybrali;  
Lecz zimą ledwie, przez śniegi i lody  
Ciągłe na północ idąc, doszli góry,  
Na której zamek był króla północy.

• - Naówczas Witol kazał chwycić jeńca  
I wieszczą zrobić kapłanom ofiarę.  
Złapany wieśniak slanął w wojska kole;  
A Wejdałola piersi mu obnażył,  
Polem nóż podniósł i wpośrodek serca  
Uderzył; spojrział—krew czerwoną strugą  
Na dobrą wróżbę, jak woda, płynęła;  
Krzyknął do wojska—radosnym odgłosem  
Wojsko za wróżbę Bogom dziękowało,  
Wznosząc oszczepy i łuki do góry,  
H/ucając szłyki kosmate w powietrze.

Jeńca na stosie pod górą spalono.  
 I najpiękniejszą z kobiet tego kraju  
 Bogóm ofiarą dać Witol ślubował.  
 I'otém zanikową otoczyli górę.

A król północy z wysokiego gmachu  
 Ujrzał ogromne wojsko na dolinie,  
 I zląkł się bardzo, i wysiał swe posły,  
 Żeby pytali, czego chcą od niego?

— Zemsty za Jodzia — Witol odpowiedział.—  
 Król wasz pogwałcił gościnności prawa,  
 I najdroższego konia mnie pozbawił.  
 Idę po zemstę na jego królestwo,  
 Jego i dzieci chcę zabrać w niewolę,  
 Zamek rozburzyć, kraj jego spustoszyć.—

Odeszli posły z straszną odpowiedzią.  
 Słońce krok uszło, król nowych przysła,  
 Wszystkie swe skarby Witolowi daje,  
 Córkę w zamężcie z królestwem przyrzeka,  
 Lecz prosi, żeby nic pustoszył kraju,  
 Życiem go zbawił i nic mścił się więcej.

— Nic chcę ja jego córki, ni korony,  
 Chcę jego głowy — Witol odpowiedział.—  
 (iłowa za głowę! a i to zaniało.

Za jedną Jodzia tysiąc wziąć nie wiole.  
Ród zdrajców waszych chcę wyplenić z ziemi,  
Aby się po nim mogła została  
I kupa kości nauką sąsiadom.—

Znowu posłowie odeszli z przestraczem.  
Słońce krok uszło, znowu posły śpieszą.  
Przez nich król drogie podarki wysyła :  
Konie litemi kobiercami kryte,  
I łutra drogie, wielkie bydła stada,  
Sto jak śnieg białych na łowy sokołów,  
Sto wozów złota i drogich kamieni,  
Sto szal cudownych, gdzieś we wschodnim kraju  
Duchów nie ludzi mądrą ręką tkanych.

A Witol nazad podarki odsyła  
Z śmiechem pogardy, zelżywemi słowy.  
— Nie podarunkiem zemstę Oll przebłaga,  
Nie złotem swoim za Jodzia zapłaci.  
Głowa za głowę! i tego zamało.  
Śmierć mu za zradę, jemu i ludowi,  
Żeby się zły ród nie szerzył po ziemi! —

Widząc król, że już nic go nie ocali,  
Bez wojska, ludu, na lasce Witola,  
Posłał swą córkę na obóz zwycięzcy.  
Żeby go Izami i prośbą błagała



Albo wdziękami serce mu zmiękczyła;  
Ale gdy orszak niewieści poslrzegli  
I starsi o nim wodzowi znać dali,  
Jak gdyby lez się dziewiczych przestraszył  
Lub serca swego stałości nie wierzył,  
Zamknął się w swoim namiocie, a posłów  
Nazad do zaniku odpędzić rozkazał.

Ruszyło wojsko, okrążając górę.  
Kapłani z tyłu świętą pieśń nócili  
Do Khawy Boga wojny i zwycięztwa.  
Biją w Lietaury, a rogi i trąby  
O strasznym boju odgłosem znać dały.

Pod górą, którą król narzucił konie,  
Smok Pukis, z ciała tych zwierząt zrodzony,  
Mieszkał i skarbów niezmiernych pilnował.  
Spał, kiedy w jego jaskinię odgłosy  
Wojny znak dały. Obudził się, wyjrzał,  
I widząc ludu niezliczone tluiny,  
Na twardych szponach oparł się o skałę,  
Skórzane skrzydła strząsnął, i z jaskini,  
Świszcząc, wypełznął naprzeciw Witola.  
Był to jedyny tej góry obrońca:  
Bo nikt się nie śmiał przeciw wojsku stawić.  
A nowe posły już śpiesznie ciągnęli;

Lecz, widząc smoka, zdumieni stanęli.  
Sam jeden Witol wystąpił na niego,  
Miecz swój cudowny w prawem podniósł rękę,  
Procę u pasa, łuk miał i siekierę.  
Lecz nieprzyjaciel miał żądło zatrute,  
I wzrok, którego wejrzeniem zabijał,  
Skrzydła, któreini mógł się wznieść do góry,  
I do szarpania swej pastwy pazury,  
I ostre zęby, błyskające w paszczy.  
Witol się jednak nic uląkł przed wrogiem,  
Do Boga wojny ślub w sercu uczynił  
I szedł ku niemu. Smok i on stanęli,  
Jasnemi oczy na siebie patrzali,  
I krok siąpili, znów się mierzą wzrokiem,  
Słraszą się tylko, ten orężem groźnym,  
Tamtę osłremi zęby i pazury.  
A wojsko, patrząc w milczeniu głębokiem,  
Drżało z przestachu przed walki widokiem.

Nareścic smok się skorzanemi skrzydły  
Ku górze podniósł, paszczękę rozdziera,  
I z góry lecąc, na wodza uderzył.  
Golów do walki Witol, oszczep twardy  
W pysk mu zabiwszy, ciął mieczem po głowie;  
Ale miecz na łbie w iskry się posypał,  
A w zębacli pałka jak próchno się zgmiotła.  
Ustąpił na krok Witol, odpiął procę,

Podniósł się, ręką między oczy zmierzył,  
I z linkiem w głowę poczwary uderzył.  
Ze świstem kamień przesywał powietrze;  
Ale, dotknąwszy ledwie smoczej głowy,  
Tocząc się, upadł bezsilny na ziemię.  
I smok, jak wprzód, sunął się na niego,  
Sycząc straszliwie, przeraźliwym wzrokiem  
Szukając oczu swego przeciwnika,  
Ażeby przestрах wlać do jego duszy.



Lecz Witol wzroku smoczego unikał,  
I, luk napiąwszy, w tył się cofnął jeszcze ;  
Potem, zatrutą wypuszczając strzałę,  
W samą paszczękę roztwartą ją posłał.

sil.w.

Znikła gdzieś w "lęhi wnętrzości pożarta  
Ale znać było i z oczu i z syku,  
Że smok już boleść uczuł, poznał wroga.  
Sparły o górę Witol nie uciekał;  
A kiedy Pukis rzucił się ku niemu,  
On na kark jego, jak na konia, skoczył,  
A w rękę pancierz łuskowy ścisnąwszy,  
Język i oczy na wierzch mu wysadził.  
Wówczas potwora, szybując skrzydłami,  
Z Wilolem razem w powietrze się wzbiła,  
I coraz nikła na pochmurnem niebie.  
Aż gdzieś za szarym obłokiem się skryła.

Wojsko patrzyło w ponurem milczeniu,  
I dwór królewski z zamczyska poglądał,  
I posły, stojąc na góry wierzchołku,  
Czekali z strachem, kto na ziemię zleci?  
Świst tylko przeszył spokojne powietrze,  
A jwilem głucho nad wojskiem milczenie.  
Wszystkich się oczy do góry zwracały,  
Gdy z chmury czarna wysunęła bryła,  
Pędem ku ziemi lecąc ze krwi strugą.

Smok to był, ale z paszczką obwisłą  
Skrzydła obcięte, nogi miał skurczone;  
Z karku się czarna sączyła posoka:

A oczy zgasłe i z powiek wyparte,  
Jak dwa owoce na drzewie, wisały.  
Na szyi jego z podniesionym mieczem  
Siedział zwycięzca we krwi ubroczony,  
Ucz szłyka, łuku, w podarłem odzieniu,  
Ale sam cały, nieranny i zdrowy,  
Jak gdyby jechał na koniu z wyprawy.  
Upadł na ziemię wpośród wojska swego  
Wielkim okrzykiem radości witany;  
A król północy, który z okien zamku  
Patrzył na walkę, i smoka mściciela  
Swą czarodziejską posiłkował mocą,  
Kiedy go ujrzał zabitym i trupem,  
Stracił ostatnią, jedyną nadzieję.  
Padł na twarz, jęcząc, i ręce załamał.  
Jednym się jękiem góra odezwała;  
Kobiety, dzieci płakały z przestachu,  
I posły z góry wierzchołka z popłochem  
Spiesznie się nazad do zamku wrócili.

Tymczasem Witol do smoczej jaskini  
Szedł ze swoimi; a króla starszyzna  
Na wielką radę zbiegła się do niego.  
Jedni się poddać i błagać litości,  
Drudzy mu posłać radzili królewnę,  
Inni skarbami wojsko kupić chcieli,  
Inni go zgładzić tajemnie wnosili :

Ale gdy przyszło zabójcę wybierać,  
Najśmielsi nawet na drugich składali.

Tak dzień upływał. Wilol skarby smocze  
Pomiędzy wojsko porozdzielał swoje,  
A trupa kazał zawlec do jaskini  
I otwór wielkim kamieniem przywalić.

Kiedy powraca, ujrzy, aż znów z góry  
Sam jeden poseł, z białą laską w dłoni,  
Z rozdartą szatą i okrytą głową,  
Ku obozowi zwolna kroki zmierza.  
Ilyl to wieszcz stary, mędrzec tego kraju,  
Który ostatni szedł słowy pokoju  
Serca zwycięzcy jeszcze raz próbować.

— Wodzu!—rzekł starzec, nachylając głowę  
I bijąc czołem — czyliż serca twego  
Żadna już prośba nie zmiękczy, nie dotknie?  
Czyliżeś sroższy od dzikiego zwierza,  
Które się łzami człeka da ubłagać?  
I za cóż zemstą dotykasz nas swoją?  
Za cóż te wojska na nasze zniszczenie  
Z dalekich krajów aż tutaj przygnałeś?  
Król gdy na konia twego górę rzucił,  
Jłazcm z nim zabił najdroższą klacz swoje,

## 2H7

A że był twoim, o koniu nie wiedział.  
Słudzy bez jego napadli rozkazów;  
Iły panu swemu żalu ulżyć z serca,  
Chcieli miecz dostać; lecz winni skarani:  
Głowy icli dawno bieleją po polu,  
A członki końmi rozdarło dzikiemi,  
Ciałem się spaśli sępy i sokoły.  
Król nic nic winien. Za cóż zemsty z niego?  
Czyż za to karać kraj cały, nas wszystkich?  
Czyżeś tak żalem serce twe skamienił,  
Ze ni głos króla, ni niewieście płacze,  
Ni dary ciebie przebłagać nie mogą?  
Wodzu! pokornym daj miłość uprosić:  
Bo z kimże walczyć, z kim będziesz potykać?  
Z słarcv siwemi? z kobietv słabemi ?  
Z służbą złęknioną? drżącemi kapłany?  
Gdyby choć garstka wojska przy nas była,  
Walczyćby można i dać ci zwyciozlwo;  
Lecz kiedy niema komu spotkać z mieczem,  
Jakież to będzie zwycięztwo i walka?  
Chcesz mścić się? wyznacz, na kim pomsty żądasz?  
( padną głowy, które ty naznaczysz;  
Lecz nie burz zamku i nie niszcz nam kraju;  
Starcu królowi daj życie mizerne  
Spokojnie skończyć: bo mu już niewiele  
Łogi zapewne wyznaczyły życia.  
Ty, coś i smoki i dzikie zwierzęta  
Pokonał, Wodzu! czyż się skalasz teraz

Krwią słabych niewiast i bezsilnych starców?  
Chciej nam przebaczyć! a i tak zwyciężysz.—



Hzekeel starzec, umilkł; błagającym wzrokiem  
Zdawał się strasznej odpowiedzi czekać.  
A Witol dumał na mieczu oparty,  
I tak nareście starcu odpowiedział:  
— Powiedz królowi, że upokorzony  
Znalazł przede mną łaskę, przebaczenie.  
Ja wojsko moje nazad poprowadzę.



## 2.39

On niecli na przyszłość gościnności prawo  
Święciój dla drugich przychodniów zachowa.  
Mógłbym za konia , za skarb mój najdroższy,  
Mógłbym za zdradę i sromolę inoję  
Całe królestwo zburzyć i spustoszyć,  
I jego okuć w haniebnne kajdany,  
I córkę spalić na ofiarnym stosie,  
Lecz mu przebaczam. Nieś, starcze, odpowiedź.

Stary wieszcz upadł twarzą przed Wilolem,  
Kraj szaly jego całował ze łzami,  
I z odpowiedzią na zamek pośpieszył.  
Cały dwór płakał w podwórcu zamkowym ;  
I król, rozdarłszy szaty, jęczał, leżąc;  
Dokoła córki szlochały i żony:  
Ilo już od wroga nie było nadziei,  
A góra, zewsząd wojskiem opasana,  
Nawet ucieczki przed zemstą nie dala.

Lecz przyszedł starzec z wesołą nowiną,  
I radośnemi glosy góra cała.  
Jakby ożyła, nagle się ozwała.  
Powstał król siary i córkę uściskał;  
Hogate dary jął zaraz wyprawiać:  
Sto wozów złota i sio srebra wozów,  
Sio skór kosztownych i sto szat złocistych,  
Sto wozów mieczy i zbroi bogatych,  
Sto koni kazał na obóz prowadzić:

Siu niewolników szło przed temi dary,  
I sio niewolnic w purpurowych szalach.  
Wszystko lo siary król posiał zwycięzcy.  
A Wilol wojsku pól darów rozdzielił,  
I najpiękniejszą dziewczkę na oliarę  
Na stosie spalił Bogom nieśmiertelnym.

Potem się obóz ruszył na południc;  
A Witol próżno do zamku wzywany  
Nie chciał przestąpić więcej jego progów,  
Nie chciał ni króla starego zobaczyć,  
Ni córki jego, którą mu za żonę,  
Z calem swćm państwem, korząc się, oddawał.

Z radosną pieśnią szło wojsko do kraju.  
Ale niejeden nie doszedł znużony,  
I w śniegach zasnął, żegnając ze swemi,  
Płacząc, że leżeć będzie w obcej ziemi,  
Kędy ła żadna mogiły nie skropi,  
Ani ofiara ducha nic wywoła.  
Długo tak, długo szli nazad do Litwy;  
A kiedy Niemen niebieski ujrzeli.  
Padli na ziemię, Bogóm dziękowali,  
I wszyscy poszli rodziny powitać.

Lecz Witol nie miał, nie witał rodziny;  
Znów jeden został, bez celu dla życia,  
Bez dachu, coby przyjął go gościnnie,

## 241

I sług, kiórzyby tęsknotę pieśniami  
Rozerwać mogli, czarną myśl rozproszyć.

Nad sinym Niemnem błakał się on długo,  
I zapominał o Perkuna duchu,  
Który po nad nim, wyglądając chwili,  
Z zemstą we szponach, krakając, wlatywał.  
Śmielszy zwycięztwy, jakby go wyzywał,  
Nie krył się więcej, nad rodzinną rzeką  
Usiadł i skinął. Na zielonej górze  
Gród z cisowego drzewa stawić każe.  
Z białych kamieni mur dokoła wznosi,  
Puszczają wodę w przekopy Niemnową,  
Biją zaborol, mostem łączą brzegi;  
I, jak zażądał, stoi gród potężny,  
Z pogardą patrzy na dalekie kraje,  
A wały swemi zakrywa lud mnogi.  
Który się zbieżał na zamkowe progi.



N AÓWCZAS W Litwie liyl  
olbrzym potężny.

Alcis miał imie. Kędy się urodził,  
Kto mu był ojcem, i kto matką jego,  
Próżne domysły; nikt o lem nie wiedział;  
Ale po całej Litwie jego imie,  
Groźne i straszne, z ust do ust latało.  
Wielu on xiążąt z zamków powyrzucał,  
Wielu zwyciężył, porozwalał grody,  
Wojska zamachem jednym porozbijał,  
Statki, o skały rzuciwszy, zgruchotał.  
Gdy uciśniony szedł z płaczem do niego,  
Biegł, niosąc pomstę. Straszna zemsta była!  
Bo on sam jeden więcej niżli wojska,

243)

Niż zagon wrogów, mógł spustoszyć kraju.  
Był lo osłalui z Litewskich olbrzymów,  
Szczątek dawnego zgasłego ich rodu.  
On jeden jeszcze miał naddziadów siłę,  
I wzrost swych ojców, dziwowisko ludu.

Gdy chodził, wielką sosną się podpierał;  
A brnąc przez rzeki, ledwie się zamoczył;  
Głową nad puszcze Litewskie przenosił;  
Wielkimi skały, wroslemi do ziemi,  
Jak dzieci piaskiem, przerzuczał na dłoni.  
Biada złym było, którędy przechodził!  
Bo zbrodnie karał, i całe krainy,  
Jak straszna burza, niszczył i pustoszył.

Zawsze w podróży, szukał walk i przygód.  
Nic miał ni dworu, ni rodzinnej ziemi,  
Ani zamczyska, coby go przyjęło  
Utrudzonego daleką podróżą.  
Ciągle, jak Bogów mścicieli postaniec,  
Litewskie kraje wzdłuż i w szerz przechodził.

Baz, w długiej drodze, smok z czarnej jaskini,  
Didalis, drogę zastąpił olbrzymą;  
Ale o skalę wysoką rozbity,  
Skarby mu swoje w puściźnie zostawił,  
Skarby, na których od wieków wylęgły  
Leżąc, czuwając, dniem, nocą pilnował.  
Znalazł tam Ałcis wielkie złota bryły,

244)

I stosy srebra, i góry bursztynu,  
I kubły pełne najdroższych kamieni.  
Wielkim więc głazem jaskinię przywalił,  
I sam znów dalej szedł w Litwę wędrować.

W rok polem przybył na dwór Kunigasa,  
I trafem córkę obaczył jedyną,  
Ze wszystkich dziewic w Litwie najpiękniejszą.  
Twarzy jej samo słońce zazdrościło,  
A oczy miała jak błękitne niebo,  
A włosy jakby z bursztynu przędziona,  
A ciało jakby z najbielszego płótna  
Palcami duchów na Dungusic tkane.

Próżno ją ojciec zazdrośny ukrywał.  
Alcis przez okno pańskiego domostwa  
Ijrzał dziewicę, miłością pokochał.  
I ona miała siłę niezwykłą.  
Nieraz się bawiąc z dziewczęty w dolinie,  
Przyszła przed stado, i wołu za rogi  
Porwawszy, przez się, jak ptaszka, rzuciła.  
Ale nie siłę Alcis w niej ukochał,  
Tylko cudowną dziewiczą urodę,  
Jasny blask oczu i wdzięk słodkiej mowy.

W nocy on podszedł pod okna Zjedyny  
I widząc oczy jej w oknie jak gwiazdy,  
Takiemi słowy miłość swą objawił:

I /jedyna—kwiccifla.

—Piękna Zjedyno! ty słyszałaś o mnie.  
Na Litwie jestem największym mocarzem :  
Ho nikt przeciwko mnie się nie postawi,  
Nikogo niema, coby mnie zwyciężył.  
Lecz nie mam ziemi, domu, ni zamczyska,  
Bo wszystko moje, i gdzie chcę, wędruję.  
Ja ciebie kocham! Chceszli, żebym wielkie  
Twojemu ojcu dal skarby za ciebie?  
Pójdiesz ty ze mną? Ja ciebie na plecach  
Przenosić będę, żebyś białej nogi  
Po ciężkich drogach chodem nie znużyła;  
Na noc ci łóżko z wonnych ziół uścielę;  
Z ogromnych dębów ognisko rozłożę;  
Z białych brzoź codziennie nowy gmach wystawię.  
Ty z ramion moich będziesz świat oglądać,  
I czasem w drodze chmurne czoło moje  
Rozjaśnisz piosnką, pieszczotą, spojrzeniem.  
Chceszli pójść ze mną? Chcesz, piękna Zjedyi  
Żeby cię porwał i ojcu twojemu  
Wielkimi skarby za ciebie zapłacił?—

Zjedyna nic mu nie odpowiedziała,  
Ale od okna przed nim nie uciekła.  
Alcis zrozumiał, wziął ją na ramiona,  
Poniósł daleko; i w lipowym gaju  
Pierwszą miłości noc na wonnym łożu.  
Wpółśród słowików pieśni i róż woni,  
Pod Alexolv opieką spędzili.

SILW.

Nazajutrz ojciec stroskany rwał włosy,  
Kiedy się wozów zaszło na podwórze,  
I wielkie skarby za córkę oddali,  
A poseł ojcu małżeństwo oznajmił.  
Kunigas złotem łatwo się pocieszył.  
Alcis, swą żonę wzięwszy na ramiona,  
Dalej po Litwie, jak przedtem, wędrował;  
Tylko gdy walkę miał stoczyć, naówczas  
Córkę pod ojca opieką zostawiał.

Raz, idąc kędyś przez północne kraje,  
Słyszał od ludzi o najściu Witola,  
O jego bitwie ze srogim niedźwiedziem,  
O jego walce ze smokiem Pukisem;  
Potem na Litwie, u zgliszczów Ramiona,  
Spotkał pieśń ludu o jego zwycięzłwie,  
O jego zemście na krzywoprzysięzcy,  
Spaleniu zaniku, uwolnieniu ludzi;  
Słyszał, jak wieśniak opowiadał siary  
Cuda o wielkiej Witola prawicy;  
I znów nad Niemnem, u Witola góry,  
Ujrzał zdaleka bielejący zamek;  
Ujrzał, i w duszy powiedział, że jeszcze  
Braknie mu w Litwie zwyciężyć Witola.  
Wtem Grajtas, który bezsilny czatował,  
Jak Gulbi który nie opuszcza człeka,

1. Ducli, błąd człowieka.



I ślad w ślad za nim, pilnując go, chodzi,  
Grajtas się w starca ubogiego zmieni!  
I temi słowy jął judzić Alcisa:  
— O Dzidziawirze wielki! na tej górze  
Widzisz ten zamek?—to zamek Wilola;  
Widzisz tę ziemię dokoła podbitą?—  
To jego ziemia. Tu on skarbów wielkich,  
Kłóre w północnym zawojował kraju,  
Strzeże, i codzień lupami przymnaża.  
Niema na Litwie, prócz ciebie, o Panie,  
Jemu równego w mądrości i sile.  
Czyliż przed sobą dasz jemu przodkować?  
Czyli z nim także nie zechcesz się zmierzyć?—  
A Alcis milczał, i sosną wstrząsając,  
— Na Rogi!—krzyknął! po chwili namysłu—  
Trzeba go wyzwać, zwyciężyć i zabić,  
Żeby nikt nie śmiał mnie z nim porównywać.—  
I szedł do zamku, u wrót w róg uderzył,  
Aż się daleko wslrzęsły puszczy wnętrzości,  
I góry z strachu zadrzały w posadach,  
A wody rzeczne wstrzymały się w biegu.  
Sam Witol wyszedł przeciw Dzidziawira;  
A choć go Alcis przenosi! postawą,  
Chociaż pod dachem w zamku Wilolowym  
Nie mógł się nawet Dzidziawir położyć,  
Przecież syn Mildy nic zatrzęsł się przed nim.  
— Wielki Alcisic! — rzekł, kiedy z postaci  
Poznał olbrzymę — czego żądasz u mnie?

Czy gościnności?—wszystko, co mam, twoje.  
 Czyli pomocy?—skarby ci otwarte.  
 Mam wojsko mnogie, orężc żelazne.  
 Powiedz, co żądasz, do czego mnie wzywasz  
 A Alcis dumnym odpowiedział głosem:  
 —Chcę z tobą walczyć: bo na całej Litwie  
 Jest nas dwóch równych, a jeden być musi.  
 Jeden drugiemu swoją sławą szkodzi.  
 Niech jeden będzie. Ja chcę walczyć z tobą  
 Witol mu na to:—Pozwól mi wziąć oręż.  
 Pójdę, i oba wynijdziem na pole;  
 A tam nas Bogi i siły rozsądzą,  
 Komu pójść na śmierć, a komu pozostać.—

Olbrzym Witola okiem tylko zmierzył,  
 I śmiał się\*, wczesnie gotując zwyciężyć;  
 Odrzucił sosnę, którą trzymał w ręku,  
 I bez oręża stawił się do boju.  
 Witol wziął procę, oszczep, miecz cudowny,  
 I chociaż ufał na zręczność i siłę,  
 Straszna Alcisa postawa, wejrzenie,  
 Trudną i ciężką walkę zwiastowały;  
 Więc Bogu wojny i matce swej Mildzie  
 Wylał ofiarę, nim do boju stanął.

Wyszli obadwa. Wielkie ludu tłumy  
 Ze stron się wszystkich zebrały przyglądać;  
 I okoliczne wzgórza mnogą zgrają,

Jak pola kłosów niezliczonym mnóstwem,  
Okryte były; a jak lasy szumią,  
Tak uciszony lud, czekając walki,  
Pocichu szemrał i z przestachem gwarzył.  
Nigdy takiego jeszcze przeciwnika  
Witol przed sobą i mieczem nie widział:  
Bo łatwiej było dzikie puszczy niedźwiedzie,  
Smoka, mieszkańca jaskini głębokiej,  
Nizli olbrzyma Alcisa zwyciężyć.

Z spuszczonego mieczem, łukiem tylko w dłoni,  
Witol olbrzyma spotkać się gotował.  
Alcis, szeroko rozwarłszy ramiona,  
Alcis, co grody wywracał pod nogą,  
Szedł przeciwnika w objęciach zgruchotać.  
Lecz Witol w prawe oko z łuku zmierzył,  
I trafna strzała utkwiała w źrenicy.  
Oburącz Alcis za twarz się pochwycił;  
A Witol, z chwili korzystając błogiej,  
Nogę mu porwał, pociągnął, powalił,  
I z nim się razem na ziemię wywrócił.  
Oślepy Alcis szukał wroga wkoło.  
On się przypelznął aż do jego głowy,  
I, obie ręce ktadnąc w oczu dwoje,  
Jął je wydzierać, a gardło nogami  
Deptać obiema. Jeszcze Alcis z dziwu  
Nie mógł powrócić do sił i pamięci,  
Kiedy syn Mildy, już jego zwycięzca,

250)

Na twarzy, oczach i na gardle siedział,  
Cudownym mieczem dotykając szyi.

—Chciałeś— rzeki— walki, więc masz ją, Alcisie!  
Bogi widziały, że raczej gościny  
I dobrej z tobą żądałem przyjaźni.—  
Czując miecz chłodny, olbrzym się potrzęsnał;  
Ale, upadkiem zgruchotawszy ciało,  
Oko przebite mając ostrą strzałą,  
Która daleko zawisła mu w głowie,  
Z holu bezwładny, za gardło eiśniony,  
Nie mógł się podnieść. Próżno silną dłońią  
Witola chwycił i precz chciał odrzucić.  
Witoli się węzem do gardła uczepił  
I rękę wpoił pod krwawe powieki.

—Dosyć już walki! Przebacz! Dzidziawirze!  
Daruj mi życie! Przyjaciółmi bądźmy.—  
Te słowa jęcząc gdy Alcis wymówił,  
Witoli go puścił, i pierwszy, klękawszy,  
Jął mu krew z oka i ranę obmywać.

Podniósł się Alcis; lecz wstyd od krwi gorzej  
Oblał nm dotąd nieskalane czoło;  
Smutny przed Mildy synem się pochylił  
I rzekł:—Tyś większy, boś ty mnie zwyciężył.  
Ty jesteś Bogiem, ja tylko olbrzymem.—

Tymczasem jednćm Witola skinieniem  
 Zbiegły się tłumy, i nad Niemna brzegiem  
 Z ogromnych dębów szałas wystawili,  
 Wielkie ognisko smolne rozłożyli;  
 A z zamku rogi przynieśli złożone,  
 Miody, mięsiwo i kosztowne dary.  
 Z ziół wyciśniętym sokiem Sigronotta  
 Olbrzyma oko na klęczkach polewał,  
 I sto niewolnic nogi jego myło.  
 Alcis przyjazną dłoń do Mddy syna  
 Wyciągnął, ścisnął, i przyrzekł na wieki  
 Być z nim i za nim, nigdy przeciw niemu.  
 •—Teraz — rzekł—tyś jest pierwszy, a jam drugi.  
 Jam wielki ciałem i siłą, ty duszą,  
 Którą Bogowie odwieczni ci dali.  
 Nie chcę twych darów, żądani druzby twojej.—

Grajtas z obłoku poglądał na bitwę,  
 Z rospaczy świstał wichrami i burzą;  
 A kiedy ujrzał, jak olbrzym upadał,  
 Jak gdyby upadł zwyciężony razem,  
 Jęknął i przed Iron Perkuna powrócił.  
 Tam, milcząc, w myślach utonął głęboko.  
 — Czemuż 011 — dumał—silniejszy ode mnie?  
 Silniejszy niż smok, silniejszy niż olbrzym?  
 Czyli mu Milda swoje siłę dała?  
 Czy tajemnice dał Krewe-Krewejto?  
 Lecz jam duch wieczny, a on tylko człowiek—

252)

Czemuż i ja go nie mogę zwyciężyć?  
Próżno się smoczą skórą obszywaleni.  
Próżno niedźwiedzią szerścią okrywałem.  
Zawsze ze wstydem uciekłem pobity.  
Czyli go Culbi niewidzialny strzeże?  
Czyli płaszcz Mildy od ciosów zasłania?  
Czy, choć syn człeka, a przecię jest Bogiem  
Tak myślał Grajlas, do walki nie śpieszył,  
Nie czuł sił w sobie, bo odwagę stracił.

A Alcis poszedł za morze wędrować,  
I gdzieś w dalekiej ukrył się północy,  
Kędy nikt jego nie wyrównał sławie  
I z jego siłą nie ważył się mierzyć.



**POKOINY**" Witoł, po nad Niemna  
brzegiem,

W krainie matki, pędził życie błogie.  
Chociaż mu tysiąc zasadzek zdradliwych  
Duch niewidzialny rozścielał na drodze,  
Wszystkie orężem i mądrością swoją  
Zwycięzał lekko; z wszystkich wyszedł cały.  
Jednak choć sławę jego Lajbegelda  
Szeroko wszędzie rozniosła po Litwie,  
Choć z jego mieczem nikt nie śmiał się mierzyć,  
On nieraz tęskny, w przyjaciół swycli tłumie,  
Niepojętego czegoś szukał wkoło;  
A sam nie wiedząc, czego mu brak było,  
Czuł jednak, iż mu czegoś brakowało,  
I myślał wówczas:—Nie skarbów ja żądam.  
Mam, ile zechcę. One mnie nie cieszą.  
Zgłodniałej duszy nie nasycę zlotem,

Ani zwycięzctwy, ani sławą wielką,  
Ni niewolników i licznych sług Ilnicem.  
Ci mi się na nic do szczęścia nie zdali.  
Bytem sam jeden, i sam jeden sobie  
Umiałem przecię służyć i wystarczyć.  
Nie żądza sławy serce moje wzburza.  
Miałem ja dosyć zwyciężlwa i sławy.  
Nie znajdziesz w Litwie na puszczech chronimy,  
Gdzieby me imie już nie doleciało,  
Gdzieby nie znano pieśni o Witolu.  
I czegoż żądam? czego mi brakuje?—  
Sam nie pojmował, i myślał, że zrosły  
W wojnie i walkach, znów tęsknił za niemi.

Kiedy lak tęskni i noce bezsenne  
W grodu swojego wrotach przesiaduje,  
Znów matki wezwał sercem nie ustami,  
I po raz trzeci ujrzał ją przed sobą.  
Chciał mówić—Bóstwo usta mu zawarło.  
— O synu! Iwoję wiem ja tajemnicę,  
Znam boleść tajną, rozumiem tęsknicę.  
Tyś sam na świecie. Gorzko sercu twemu.  
Za drugim sercem wkoło się oglądasz.  
Znajdziesz, Witolu, znajdziesz, czego żądasz.  
Ale mi smutno: ho duchy swą władzą  
Długiego szczęścia kosztować nie dadzą!  
Rozjaśnij czoło, nie szukaj: bo samo  
Przed ciebie przyjdzie przeznaczenie twoje.—



Rzekła, i szalą osłonią białą  
Zniknęła w chmurce, co na wschód leciała.

Raz, kiedy sładzy spali jeszcze, rano,  
Wdział Witol Wizos, prostą odzież włożył,  
I miecz przypasał, i łuk przypiął krzywy,  
I procę wartką zawiesił u pasa,  
A polem wyszedł, nie wiedząc, gdzie idzie.  
Jesienny ranek przed zimy uspieniem  
Lasy w rozliczne szale ufarbował:  
Tam jakby świeżą krwią polane drzewa,  
Owdzie jak zioła liście powiewały,  
I słabe z wiatrem w powietrzu igrały;  
A wpośród lasów pozółkłych i zbladłych  
Gdzieniegdzie dąb się zielony podnosił,  
Lub sosna czarna, jodła, co gałęźni  
Płacząc ku ziemi, los żony wężowej  
I wieczne łzy jej ludziom przypomina;  
Niżej na krzewiach głóg błyszczał czerwony,  
Dojrzałych kalin grona zrumienione,  
I jarzębiny żółtawe jagody,  
Po nad klóremi wlatywali płacy.  
Nigdzie już kwiatu. Pozółkłe rośliny  
Równy z drzewami owocem się gięły;  
Dąb, suchy żołędź otrząsając z siebie,  
Zrzucił na pastwę stadom dzików głodnych;  
Drzewo Lazdony, przez chłopców odarte,  
Wysmukłe laski wznosiło do góry,

Jakby opieki pod dębów konarem  
 I bezpieczeństwa dla siebie szukało;  
 Pożółkły pola; trawy pozsycały;  
 Wody się mętne w koryta zebrały;  
 A wiatr, clioc niebo świeciło pogodą,  
 Szumiał po lasach i liście otrząsał,  
 I zwierza z gajów wypędzał na pole.  
 Sam jeden Witol szedł z myślami swemi,  
 I, nie pilnując drogi, między puszcze,  
 W ostęp się gęsty, kędy jesień nawet  
 Jeszcze nie doszła, powoli przeciskał.  
 Szedł długi ranek, kiedy źródło czyste  
 Na chwilę jego wędrówkę wstrzymało.  
 Ujrzał doń ścieżkę wijącą się z góry,  
 A wpośród drzewek na górze dom biały;  
 Stanął; wtem piosnkę usłyszał wesołą,  
 Dobrze na Litwie dziewczętom znajomą:

*Jlola ptaszki! hola zwierzę!*

*Chodźcie do mnie In!*

*Mój J>(in dzisiaj zonę bierze —*

*Trzeba służyć mu.*

*fj szarej świcie ty, kwiczoł,*

*Si o dlaj kunie nam \$*

*Jfobr ma kuni szlyk na czole,*

*Jemu twiećć nas dam;*

*Zajac przed koñmi pobiezy;*

*Sło wik śpiewak nasz j*

*Sroka irodzem dla tancerzy;*

*//7//. bfdzle dudarz-*

*Niedźwiedziu ja będę prosić,  
 Będzie klóć luüüü drwa ;  
 kruk wodę musi nosić,  
 Ito ijrzbiet krzywy ma j*

*Jaskółka z fartuchem białym  
 Będzie miski myćj  
 .7 oyoiiem wybujałym  
 f J iewiorka stół trzeć j*

*Lis, co w futrze, juk pan, chodzi,  
 Moie za stół tuleść,  
 Siąść, ijdzie siądq państwo młodzi,  
 X jednej miski jeść.*

*Hola ptaszki! hola zwierze!  
 Chodźcie do mnie tu !  
 Mój pan dzisiaj iouę bierze—  
 Trzeba służyć mu.*

"Witól, wesołej słuchając piosenki,  
 Nie wiedział, czemu uczul lżej na sercu.  
 Głos ten, jak gdyby czarnosieżką władzą,  
 Stęsknioną duszę powoli kołysał.  
 Przed nim po ścieżce szła młoda Litewka  
 Z dzbanem po wodę; za nią koni para,  
 Z spuszczoną głową, wlokła się powoli;  
 I trzodka owiec, becząc, po drożynie  
 Za panią swoją goniła wesoło;  
 I kozieł czarny, z brodą na piędz długą,  
 Poważny, swoich małżonek pilnował;

A krówka biała dwór wiejskiej dziewczyny,  
 Z srokałym ciołkiem idąca, kończyła.  
 Dziewczyna miała bieluchną koszulę,  
 Trzy sznury wielkich na szyi bursztynów;  
 U jej fartucha maleńkie dzwoneczki  
 Za każdym ruchem wesoło brzęczały;  
 W włosach wetkniętych kilka liści ruty  
 I piękne grono czerwonej kaliny;  
 Warkocz, spadając, aż do stóp dosięgał,  
 Pozaplatany kwiatkami jesieni,  
 Jak długa wstęga po za nią powiewał.

I

Kiedy Witola ujrzała, stanęła,  
 Chciała uciekać i do domu wrócić;  
 Ale syn Mildy z łagodnym uśmiechem  
 Strach jej słodkimi uspokoił słowy:  
 — Nie bój się, dziewczę! nie jestem Ajtwaros  
 Ani Giristis, co kobiety straszy,  
 Ani Erajczyn, co czyha w ogrodzie.  
 Blizkiego zamku po nad Niemna brzegiem  
 Jestem ja panem. Chodź napić trzodę,  
 A ja ci wody naczepać pomogę.—  
 Stanęło dziewczę, nie wiedząc, co czynić,  
 Czy nazad wracać, czy do źródła schodzić.  
 Ale Witola łagodne wejrzenie  
 Uspokoiło jej bojaźri dziewiczą.  
 Zeszła, ukradkiem patrząc na niego.

1. litUltia i fliti-liY. 1;lrnc »:ijiti\*«>ralv 1;«>IV.

A 011 jój dzbanem wodę iał w koryto  
I lak powoli pytania zadawał:



— Jak się nazywasz? o piękna dziewczyno! —  
— Romussa Panie!—Kto twoi rodzice?—  
— Tutaj na górze, w tej chacie, mieszkają.—  
— Któż jest twój ojciec i kto twoja matka?—  
— Ojciec jest strzelcem; był kiedyś żołnierzem,  
Ale już teraz z dzikimi zwierzęty,  
Z sarną, zającem i wilkiem się bije. —  
— Tyś u nich jedna?—O! są u nas bracia.

Jeden już nawet starszy był na wojnie,  
 A młodszy jeszcze przy rodzicach w domu.  
 Ojciec go na dwór jaki Kunigasa  
 Chciałby już wysłać; lecz boi się stary,  
 Aby pan jaki bezduszny i chciwy  
 Za niewolnika sobie nie przyswoił.  
 Wolał go jeszcze przy sobie zostawić.—  
 — Mogę zająć z tobą do waszego domu?—  
 — A czemuż? Panie! Rodzice gościnnie  
 Każdego w domu, czein mogą, przyjmują.  
 Pewnieś strudzony i odpocząć zechcesz.—

I Witol poszedł, niosąc dzban dziewczyny,  
 Krętą drożyną do domku białego.  
 Stał Oll wpośród drzew i gęstej leszczyny,  
 Hiałemi okny do wschodu pozierał.  
 Za nim ogródek, w którym jesień płowa  
 Łodygi tylko i chwasty wyniosłe  
 W osieroconych grzędach zostawiła.  
 U progu matka córki wyglądała,  
 A ojciec stary z synem coś rozmawiał,  
 Który kamienną łupał drwa siekierą.  
 — Oto wam gościa przyprowadzam, matko!—  
 Prześcigając go, wołała Romussa.—  
 Rycerz to jakiś, ho ma miecz u boku,  
 I łuk na plecach, i procę u pasa.  
 Znać z jego twarzy, że to pan być musi:  
 A mówił, że tu ma nad Niemnem zamek.—

Malka do doinu pobiegła, a ojciec  
 Powstał, i siwą obnażywszy głowę,  
 Gościa, dziękując za laskę, powitał.  
 Weszli do chaty, a Wilol Kobolóm  
 Naprzód u proga izby się pokłonił.  
 I zaraz na sól podali miód biały,  
 Pieczone koźlę, ser i mleko świeże.  
 Witol, dla Bogów wylawszy ofiarę,  
 I gospodarza z sobą jeść poprosił.  
 — Słyszałem, ojcze — rzekł — od waszej córki,  
 Ze chcecie syna oddać na dwór pański;  
 Ale się lłko boicie, by polem  
 Pan w niewolnika nic chciał go obrócić?—  
 — Prawda lo, Panic!—odpowiedział siary.  
 Ma lala słuszne, niechby szedł na wojnę.  
 Możczy z wojny bogatszy powrócił,  
 Przynióśłby może za co się ożenić.  
 Ale strach teraz. Nieraz człek swobodny  
 Na cale życie pozostanie sługą.  
 Pslry dzięcioł, hardziej pstre jest ludzkie życie  
 Bogi nam losy złe i dobre dają;  
 Lecz przeciw losu nic godzi się śpieszyć  
 I naumyślnie z nieszczęściem próbować.—  
 — Gzyliż — rzekł Wilol—-nic znajdziecie pana,  
 Któremubyście powierzyli syna?—  
 — Jeden jest tylko. Ten siedzi spokojny,  
 O wojnie więcej nie myśli podobno.—

•— Któż lo jesl?—

— Witol.—

— Dziękuję za słowo.

Ja to nim jestem.—

— Kto? Iv jesles? Panie!—

I starzec powstał z przestachem od siołu;

Ale go Witol za rękę powstrzymał.

— Zostań tu ze mną. Chcę pomówić z wami.—

— Jabym śmiał? Panie!—

— Siadaj! bądź spokojny.

Syna do dworu wezmę i obdarzę.

Będzie się za co miał za rok ożenić:

Bo chociaż z wojną nie idę w kraj obcy,

Umiem swym sługóm ze skarbcu nagrodzić.—

To mówiąc, wstawał, chciał odejść, znów siadał;

Nic wiedział, co go w tej chacie trzymało;

Lecz niespokojny, jakby czekał na co,

Chciał próg przestąpić, a coś go trzymało.

Wtem ze świrouka, na misce drewnianej,

Piękna Romussa wyniosła orzechy;

Pod jego wzrokiem płomieniąc się cała,

Ledwie oddawszy, wnet nazad uciekła.

Pożegnał łowca Witol i szedł dalej;

Słanął u źródła, stał i myślał długo;

Powoli potem na zamek powrócił.

Całą noc mu się Itoniussa marzyła,

Całą noc widział, jak trzodę poła,

## 2f3

Z misą orzechów jak biegła ku niemu,  
I swój rumieniec ucieczką tała.

Ledwie przywiodła ranek biały Aussra,  
Witol od zamku znów się puszczać gonił;  
Znowu u źródła, jak gdyby niechcący,  
Usiadł i czekał na przyjście dziewczyny.  
Chwila lak zbiegła, nic nie słyhać było;  
Potem się znowu ozwała piosenka:

*O! sama nie u<iem, co się ilzieje ze mną !  
(V sercu mi smutno i w oczach mi ciemno  
Piosnkę przerywam westchnieniem!  
I'śmiech kończę fez strumieniem !*

*Powiedz, kukulko,*

*Powiedz, przyjaciółko.*

*Co to jest?*

— *Jtloie źle iv chucie?—kukulka mówiła —  
Może cię matka za szkodę wybiła ?*

*Hloie ojciec stary tjdera ?*

*Lub brat tobą poniewiera? —*

— *O, nie, kukulko,*

*Nie to, przyjaciółko,*

*I nie to jesl ! —*

— *Może ci ruta w ogródku uwiędła ?  
Możesz ślnbnetjo plótka nie do przędła ?*

*Moie twój luby na wojnie?*

*Tobie iv sercu niespokojnie? —*

— *O, nie, kukulko,*

*AiV lo. przyjaciółko,*

*Nie lo jesf !—*



SII.W.

— *Moie ci nudno ?—A</> ulka mówiła -  
Moie ci chała ojcovska niemila'!*

*I swatów wyglądasz')*

*I kochanka żądasz?—*

— *Moie, kukułko,*

*Moie, przyjaciółko,*

*Moie to*



30  
Kiedy ostatnie dośpiewała słowa,  
Podniosła oczy, i znowu u źródła  
Dumającego Witola ujrzała;  
I znowu uciec i wracać myślała.  
Sama nie wiedząc, jak poradzić sobie.  
Twarz jej rumieńcem kaliny płonęła,  
Stała, a Witol ośmielać ją zaczął.  
— O! nie bójże się, Romusso! zejdź śmiało.  
Ja i dziś trzodę napoić pomogę.—  
Pomimo woli, w milczeniu schodziła,  
Nie wiedząc sama dziewczyna, co czyni.  
Potem oboje napajali trzodę,  
Nie śmiejąc mówić; tylko czasem wzrokiem  
Ku sobie strzelą, i znów spuszczą oczy.  
Tak gdy się bydło, napiwszy, wróciło,  
Poszła i młoda za trzodą Romussa.  
Wilol, jak wczoraj, nie poszedł w gościnę,  
Ale milczący na zamek powrócił.

Nazajutrz on już nie poszedł do źródła,  
Lecz we śnie widział znów piękną Romuszę,  
I z jej obrazem w głowie się obudził.  
Znów więc się zerwał następnego ranka,  
Wziął Wiżos, łuk swój przez plecy przerzucił,  
I, czarodziejskim urokiem ciągniony,  
Riegl ścieżką w puszcę do znanego źródła,  
A biegnąc, w duszy tak mówił do siebie:  
— Czy Milduwniki czarownym napojem

Serce tam moje ciągną do dziewczyny?  
 Czy jaki urok jój wzrok na mnie rzucił,  
 Żem dla niej pokój, sny moje spokojne,  
 I żądzę sławy nawet z duszy stracił?—  
 Tak Witol myślał, biegnąc ku zdrojowi,  
 I usiadł przy nim. Aż znowu zdaleka  
 Piosnka dziewczyny nad krętą drożyną  
 Temi się słowy, dźwięcząc, odezwała:

*Oj polecę ja daleko !*

*Bo mnie serce ciągnie ztąd.  
 Tam za górą, lam za rzeką,  
 Czyjeś czary duszę wleką  
 fj nieznamy ziemi kąt.*

*Oj polecę! oj porzucę !*

*Niechaj płacze ojciec, brat.  
 Ja się tutaj próżno smucę.  
 I weselsza tu powrócę,  
 litedy ze mną przyjdzie swat.*

*Chcę ja lecieć, chcę', nie mogę—*

*Serce ciągnie, %v oczach Izy,  
 I już na j>róg stawię notę,  
 I boję się sama ID drogę.  
 O Kaunisie! pomóí mi.*

*Ja nie pójdę. Lepiej mego*

*Tu młodzieńca przyslij nam.  
 Próżno czekam ja na nietjo.  
 Serce wzdycha, Izy mi biegą ,  
 I złe myśli o nim mam.*

*O luimisie ! Mililo Pani!  
 Zlitujcie się moim Lóm,  
 Niech przyjdą swaty wysiani,  
 I rodzice zastrzyjani  
 Poprowadzą w jej i) dóm !*

Pieśń kończąc, spojrzy—złękła się dziewczyna:  
 Witol, u źródła siedząc zamyślony,  
 Czekał już na nią. Pieśń jej w ustach kona.  
 Homussa bieży i w krzaki się chowa.  
 Naprózno Witol łagodnie jej wołał.  
 Ona, się kryjąc w leszczyny gałęziach,  
 Patrzyła, cała zrumienioua wstydem,  
 A wyjść nic śmiała jemu się pokazać.  
 Witol ją, biegnąc drożyną, dogonił.  
 — Czegóż się lękasz?—rzekł—czego? dziewczyno!  
 Czyli się wstydzisz śpiewanej piosenki?—  
 — O! nie! mój Panie! lecz ciebie się wstydzę.—  
 Końcem fartucha twarz piękną zakryła,  
 I szła powoli, patrząc z pod oka,  
 Jak Witol za nią w ślad nazad powracał.  
 Zeszli i trzodę u źródła poili.  
 •—Kochasz ty kogo?—zapytał—dziewczyno!—  
 — Ojca, i matkę, i siostry, i braci.—  
 — A więcej?—  
 —Więcej?—więcej już nikogo. --  
 — Czyli do ciebie słano kiedy w swaty?—  
 — Jeszcze ni razu. Jesieni laka młoda! —

—A chcesz, żebym przysłał ich? Romusso!—  
 Ona spojrzała, dzbanek się potoczył,  
 I nic nie mówiąc, do chały uciekła;  
 A trzoda, rycząc, biegła za nią śladem;  
 A Witol, milcząc, do domu powrócił.

Nazajutrz przez las, przez gęstą dąbrowę,  
 Jechali swatę do leśnika chaty,  
 Ale bogato przybrani i strojno,  
 Na pięknych koniach. Za nimi szły wozy.  
 Wieźli dla ojca i dla przyszłej żony  
 liogate dary i piękne ubiory.  
 Wilol ich posłał. Stanęli przed domem.  
 Szedł ojciec ku nim i oczom nic wierzył.

—Wilol nas, Pan nasz, do ciebie przysłał.  
 On Iwoje córkę, Romusę, pokochał.  
 Prosi was, ojcze i matko dziewczyny,  
 Żebyście mu ją za żonę oddali.—  
 Starzy rodzice słuchali, milczeli.  
 Pobiegli bracia Romussy się pytać.  
 Ona się skryła gdzieś w głębi świrunka,  
 I jednym okiem płakała po domu,  
 A drugim szczęściu przysłemu się śmiała.  
 — Wielkie to szczęście — ojciec odpowiedział—  
 Wielkie to szczęście; lecz, panowie swaty,  
 Może Kunigas z ubogiego szydzi?—  
 — Nie — rzekł najstarszy Smerda Wilolowy.—

Na dowód chęci dary wam przysyła.  
 Dobrem je sercem przyjmijcie od niego.  
 Julro wóz zajdzie, jutro Keleweże  
 Córkę na zamek u Niemna powiezie,  
 I zięć wam za nią, jak chcecie, zapłaci.—

Ojciec i matka w zadumieniu stali,  
 Jakby im szczęście tak wielkie się śniło.  
 Już Witolowe swaty odjechali,  
 A oni jeszcze do siebie nie przyszli;  
 Lecz gdy zaczęto podarki wyjmować,  
 J drogie szaty, i sznury bursztynu,  
 Ziolo łańcuchy, i szuby bogato,  
 Oni, jak cudze, ostrożnie wznosili,  
 I jak na cudze, dziwiąc się, palrzali.  
 Dzień przeszedł w ciągiem zdumieniu i gwarze.  
 Iloinussa ciągle w świronku płakała.  
 Nadeszło julro — družki pieśni smutno  
 Nócić jej, czesząc długi włos, zaczęły:

*O mój ojcie drogi!  
 Moja ma li: o mila !  
 Kto będzie mył nogi,  
 Które córka myła ?*

*Kto loie uściele ?  
 Zgotuje wieczerzę?  
 Córkę obcy bierze,  
 fj lezie za mil wiele.*

*O ojniu domowy!  
Kto ciebie rozpali!  
Swaty przyjechali  
X ślnbnemi namowy.*

*Kary! kury moje!  
lito wam ziarna i-zuci,  
Kiedy wasza pani  
Do was jni nie wróci?*

*Krówko moja biała!  
Kto ciebie napoi?  
Ty będziesz ryczała.  
JSiĆma pani twojej!*

Gdy tak śpiewali, na wozie złocistym,  
Strojny bogato, wjechał na podwórek  
Smerda AYitola, jego Keleweże.  
A w wozie białych cztery konie było.  
Le.lwic woźnica utrzymał je w reku.  
Kiedy Roniuszę wsadziły dziewczęta,  
I wóz, i konie, ruszyły z łoskotem,  
.Mignęły tylko i znikły wśród lasu.  
Ledwie przez chwilę słyhać turkot h\io.  
l'o chwili wszystko dokoła ucichło.  
Rodzice, stojąc na progu, płakali;  
A jedno drugie cieszyło jej losem.  
Tymczasem leciał piorunem woźnica.  
Już do granicy zbliżał się itola,  
Ku niemu rycerz wyjechał na koniu,  
W rękę miał żagiew, w drugieui kubek miodu,

Trzykroć wóz z ogniem obleciał dokoła,  
Dał narzeczonej miodu pokoszłować,  
I znikł z pochodnią na drodze zamkowej  
Jadą; aż wreszcie na drogi zawrocie,  
(Idzie las rozrzedniał, pole się rozlega.  
Ujrzeni zamek, który- światłem błyska,  
I bucha kłęby czarnymi z dymników,  
I gwarem zdała weselnym już gada ;  
Odbity jeszcze w Nieliniowej odnodze,  
Dwukroć się dziwniej Romtissie zaświecił  
I hałas dwukroć zdawał jej się sroższy.  
Aż strach jej serce dziewicze ucisnął,  
I łzy się z oczu puściły gorące,  
I, jakby domu i swoich żal było,  
Głowę ku swojej obróciła stronie,  
Za rodzicami wzdychając Romussa.

Pod kopytami zatętuil podwórzec.  
Zniknął woźnica. Dziewczynę porwali,  
Wiedli do pięknej zamkowej komnaty,  
Kędy się wielkie paliło ognisko.  
Swalgoni w bieli, nócąc pieśń weselną,  
Kobiety, starce i tłum wielki ludu,  
Sciśnieni w głębi, ciekawie patrzali.  
Witol za stołem pokrytym obrusem  
Siedział milczący. Roinusę wiedziono,  
I na kobierzec, na szyte wezglowie,  
Na postrzyżyny drnżki posadziły.



Zdjęło ruciany wianek jej dziewiczy,  
I na ramiona spłynęły warkocze,  
A z pod rzęs czarnych białe Izy upadły.  
Drużki już smutną pieśń znowu nóciły:

*Biedna . biedna dziewczyno !  
Gdzie jest wianek twój?  
Zegnałaś się z rodziną!  
Z oczu tu>oich łzy płyną!  
JSie wrócisz już do domu!  
Ji pocieszać cię komu!  
Teraz tutaj dom twój!*

*Biedna ! Lepiej ci było  
tV chacie z matką żyć.  
/ J wszystko cię porzuciło.  
Co było, jak nie było.  
Teraz idziesz w niewolę,  
Zaczynasz ciężką dolę,  
Bo z mężem będziesz żyć!*

*O Bomusso ! płacz Izami!  
Jest czego łzy lać.  
Za twemi rodzicami,  
Swobodą , wspomnieniami,  
/ za braćmi drogiemi,  
I za Bogi twojemi,  
Mąż ci lez nie da lać!*

Potem podeszli rodzice przybrani  
I przez obrączkę włosów nadpalili.  
Składaną Bogom ofiarę zbierali.

Miód i pieniądze na progu rzucili.  
 I znowu pieśni nócili. A Witol  
 Siedział za stołem, i na narzeczoną  
 Patrzył w pół smutku, w pół nadziei okiem.  
 Wiedli ją potem około ogniska,  
 I, zawiązawszy oczy, od drzwi do drzwi  
 Chodząc, u progów zboże i pieniądze  
 Starzy Swalgoni, śpiewając, sypali.  
 Polem najstarszy z weselnych kapłanów,  
 Róg miodu wzięwszy, połączył ich ręce;  
 A pijąc, do nich wolał:—Niech wam Rogi  
 Szczęście, dostatek dadzą, i potomstwo,  
 I długie lata w miłości i zgodzie!—

Od izby drugiej rozwarło podwoje.  
 Tam na cisowym zgotowano stole  
 Ucztę weselną. Już starzy rodzice  
 Na młodą parę za stołem czekali.  
 Wśród pieśni tłum się do izby przeciskał.  
 Zasiedli młodzi; uderzono w rogi;  
 Piszczalki, trąby z śpiewem się ozwały;  
 A taneczników postrojonych kolo  
 Wesołym skokiem okrążyło stoły.

Witol, przy pięknej usiadłszy Romussie,  
 Choć czoło jasne, oblicze spokojne,  
 Chociaż miał szczęściem rozjaśnione oczy,

Wspomniał w tej chwili na zemstę Perkuna,  
 I mimowolnie ezolo zaszło chmurą,  
 A oręż smutnie zabrzączał u boku.

Grajtas się patrzył zwieszony nad gmachem,  
 Grajtas, co zemstą i gniewem oddychał.

Szumiała dalej weselna biesiada;  
 Krążyły rogi; pieśń ucztę stroiła,  
 Jak skroń dziewczyny stroi ruty wianek:  
 Starzy Swalgoni długie szczęścia lata  
 Wróżyli wnukom ich wnuków przez wieki;  
 A Grajtas leciał pod stopy Perkuna,  
 Jęknął boleśnie, aż go pan usłyszał.  
 — Co ci jest? duchu! —

— Spójrz, ojcze, na ziemię  
 Spójrz, ojcze, tylko! — nie będziesz mnie pytać.  
 Synowi Mildy zemstę poprzysiągłeś,  
 Mnie z nią zesłałeś słabego na ziemię.  
 Twoja się zemsta o niego rozbiła,  
 Jak kropla wody o skałę odwieczną.  
 Milda mu dała siłę niepożytą,  
 Kapłani mądrość, odwagę nadludzką.  
 Ja go nie mogę zwyciężyć, o panie!  
 A Oll na ziemi z twej się zemsty śmieje.  
 Czemuż nie spuścisz na niego piorunu?  
 Ty grozisz tylko, a on się weseli;  
 Ty ducha za nim wysyłasz z swą zemstą,  
 Oll ślubowiny po nad Niemna brzegiem.

Ucztę wesołą, spokojnie obchodzi.  
Wszędziem go ścigał, nigdzie nie zwyciężył.  
I twój posłaniec pohańbione czoło  
Nieraz milczący ukrył w czarnej chmurze.  
Mainże się poddać, przyznać mu zwycięstwo?  
Daszże ty, ojcze, tak mu szydzić z siebie?  
Ludzie powiedzą:— Perkun się zestarzał,  
Nic umie nawet i pioruna rzucić.—  
I lud odejdzie od twoich ołtarzy,  
Innego Boga będzie sobie szukać.  
Ojcze! dla czego, przysiągłszy na zemstę,  
Jednemu człeku dajesz szydzić z siebie?  
Tyś go swym palcem na zgubę naznaczył;  
Bogi i duchy siły mu dodały—  
Twój wyrok poszedł, jak dziecięce słowo,  
Jak wiater, co się po wierzchołkach lasu,  
Nie śmiejąc ruszyć gałęzi, kołysze.  
Ojcze! pozwolisz, aby ród przeklęty  
Z niego na twojej ziemi się rozmnożył?  
Czy nie masz więcej piorunu w twem ręku?  
Lepszego, niż ja, twojej zemsty posła?—

Mówił, a lice Perkuna pałało,  
I oczy jego, jak zarzewie krwawe,  
Coraz błyszczały pod chmurną powieką;  
Mówił, a ręka Boga się wznosiła  
I drżała długo, aż z niej piorun błysnął.  
Warpelis łoskot po niebach roztoczył,

A w błyskawicy po nad Niemna brzegiem  
Zajaśniał zamek Witola płomieniem :



Bo piorun upadł w nowożeńców parę,  
I, świętym gmachy objąwszy pożarem,  
Weselną ucztę w stos śmiertelny zmienił.



IORIN, co upadł na  
AYilola głowę,

Odbił się w sercu nieszczęśliwej maiki.  
Ona nieszczęście uczuła zdaleka,  
Zadrżała, okiem powiodła przed siebie,  
I, rozpuściwszy wonnej szaty skrzydła,  
Leciała po nad syna swego zamek.  
Płonął on, żółtym płomieniem objęty.  
Dusza Witola na Jodziowym cieniu  
Leciała na wschód, do ojców krainy.  
Z mieczem Krewejly i głową zwieszoną,  
Smutny, na zgliszcza zamczyska palrzając,  
Powoli mleczną odjeżdżał już drogą.  
Spojrzała matka, zalała się łzami,  
I szatą mglistą cień syna owiała;  
Mówić nie mogąc, łkała i płakała.

— Ty jedziesz, synu, z ojcem się połączyć.  
 Czemuż ja z lobą polecieć nie mogę  
 Do wschodniej ziemi, ojców waszych kraju?!—  
 — O matko!—rzeki duch — dawniej ku wschodowi,  
 Jakby ku szczęściu, poglądałem chciwie;  
 Teraz powoli jadę, palrzę w ziemię,  
 Itoni coś drogiego na ziemi zostawił.—  
 — Żal tobie świata? nic płacz go, mój synu!  
 Żal skarbów lobie? lam ich nic potrzeba.  
 Żal może sławy? pójdzie ona z tobą.—  
 — O malko! nie żal mi świata i życia,  
 Nie żal mi skarbów—ja ich nie kochałem,  
 Nie żal mi sławy—sława idzie z duchem,  
 Lecz żal mi młodej narzeczonej mojej,  
 Klóra fam za mną srebrne lzy wylewa  
 I w dzień wesela z popiołem się żeni;  
 Żal mi: bom życia nie dożył swojego,  
 Ho się u Niemna serce pozostało,  
 Co mnie w tyl, nawet od ojców krainy,  
 Ciągnie do żony, która po mnie płacze.—

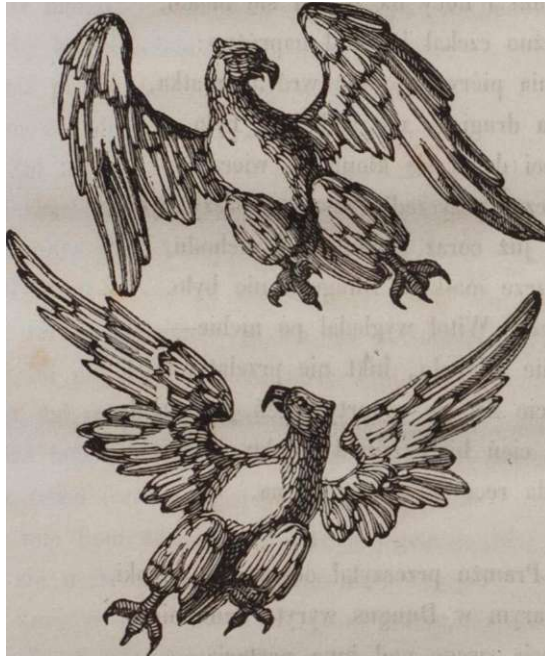
Malka, słuchając mowy lej, dumiała;  
 Polem mu rzekła:—Zaczekaj w tym gaju.  
 Nim się Irzy razy słońce do kąpieli  
 Spuści, i wyjdzie obmyte i świeże,  
 Ja wrócę tutaj. Na Dungus polecę,  
 Zapylam Pramzu o wyrok kamienny,  
 I u Perkuna może co wyblagain.—

Rzekła, uściskiem pożegnała syna,  
I znów ku niebu Miłda poleciała;  
A cień Witula u ojca mogiły  
Trzy dni i nocy na Jodziu się błakał.  
Napróżno czekał i jęczał napróżno:  
Ho dnia pierwszego nie wróciła matka,  
I dnia drugiego nie widać jej było,  
I trzeci dzień się kłonił do wieczora,  
I wieczór przyszedł, zeszło z paszy bydło,  
Niebo już coraz ciemniało z zachodu,  
A jeszcze matki z Dungusu nie było.  
Napróżno Witol wyglądał po niebie—  
Nic nie mignęło, nikt nie przelatywał.  
Nareszcie Aussra czwarty dzień już wiodła,  
Kiedy cień biały zsunął się ku niemu  
I Miłda ręce otwarła do syna.

—Pramżu przeczytał odwieczne wyroki,  
Na starym w Dungus wryte kamieniu.  
Ty życia swego pod inną postacią  
Możesz tu dożyć, nim na wschód powrócisz  
Twoja Romussa dla ciebie orlicą  
Resztę żywota dópędzić wzleciała.  
Ty za nią orłem polecisz, mój synu!  
A kiedy łowiec orlicę zastrzeli,  
Albo na gnieździe od starości skona,  
Ty wolny skrzydła orle tu olrząśniesz  
I wrócisz wówczas do ojców krainy.—



Jeszcze mówiła, już się duch Wiloła  
Orlemi skrzydły uniósł w nowe życie;  
A przeciw niemu leciała orlica,



Krzykiem wesołym Witola wołając.  
Spojrzała malka, ale za chmurami  
Nie było widać nic, tylko zdaleka  
Krzyk ją miłosnej pary dolatywał.

**PLYNĘŁY** lala szczęścia, jak godziny.  
Witol z Romusą, skrzydłami białymi  
Pod chmury razem wznosząc się swobodnie,  
Lecieli, coraz nowe kraje, światy,  
Oglądać z góry.

Siedem morz minęli,  
Na siódmej ziemi na chwilę spoczęli,  
I siali gniazdo na wyniosłej skale.

Ale na obcym niemiło im brzegu.  
Nie ta już ziemia, którą ukochali,  
I nie to słońce, które Litwie świeci.  
Tęskno za puszczą obu nadniemnową.  
Podnieśli skrzydła i na wschód wędrują.  
Sześć morz mijają, siódme białe morze,  
I brzeg znajomy, i Litewską mowę  
Słyszają pod sobą. Usiedli na dębie,  
Skrzydła spuścili, powieszali głowy.

Ale niedługo i tu pozostali.  
 Orłu piersiami chce się próc powietrze,  
 Orzeł chce nowych krajów, nowych światów.  
 Wierna orlica orla nie porzuci.  
 I lecą jeszcze na wschód, ojców kraju  
 Szukać, i mogił zapomnianych dziadów,  
 Które nad drugiein morzem się podnoszą.

A tam znów tęskno za Litwą kochaną.  
 To się wracają i na zachód płyną,  
 I posiadali nad Niemuowym brzegiem.

Tak wieki płyną, wydając się chwilą;  
 Lata migają, jak piorunów błyski.  
 Oni dziś w gnieździe na Litewskiej ziemi,  
 Jutro daleko w cudzy kraj wędrują.  
 I lecą jeszcze i wracają znowu.  
 Aż orle pióra od słońca zbieleły,  
 Szpony osłabły i piersi mu wyschły.  
 I począł tęsknić za duchów krainą,  
 Kędy go czekał ojciec i dziadowie.  
 Roztoczył skrzydła, chciał lecieć—Romtssa  
 Jękliwym głosem Wilola wstrzymała.  
 — Dokąd? mój luby!—

— Czas do ojców ziemi.—

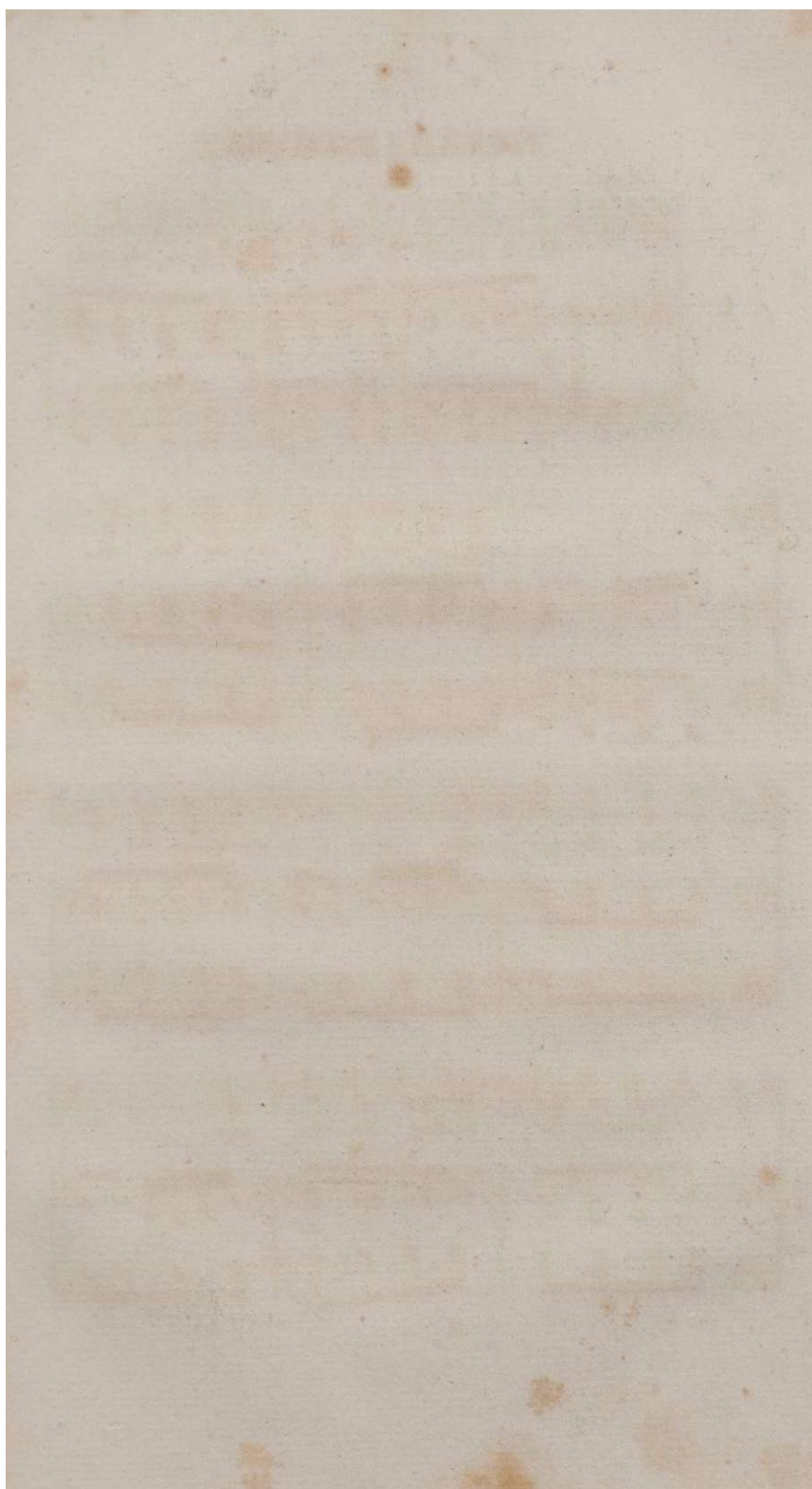
I tęskno z Litwy, i tęskno za niemi;  
 Tęskno: bo cóż się po mnie pozostanie?  
 Gniazdo na dębie, w gruzach gród mój stary,

Pamięć zagasła i piosnka 11 ludu!—  
 — 1 dziecię — cicho Romussa mu powie.—  
 Spójrzysz — to syn twój.—Roztoczyła skrzydła—  
 Rozbite jaje na gnieździe leżało;  
 W nióm dziecię białe, jak w kolebce, spało.  
 Witol nań oczy spoglądał orlemi,  
 I czuł, że nie tak żal lllll było ziemi.  
 Ale na czyjż zda dziecię opiekę?  
 Myślał, i siwe roztoczywszy skrzydła,  
 Wzbił się w powietrze, nad puszcze poleciał.  
 A matka siedzi i tuli piersiami  
 Dziecię kochane, i ojca wygląda  
 Dzień jeden, dwa dni; głosem go przyzywa;  
 Stracli ją przejmuje; coraz częściej woła,  
 Wabi Witola; ale puszcza głucha  
 Szumem jej tylko dzikim odpowiada;  
 I nic nie słyhać, nie widać nikogo.

Siedem dni mija, słyhać lenlent w lesie—  
 Stu jeźdźców zbrojnych przez gościniec jedzie,  
 A stary orzeł przed niemi ich wiedzie.  
 Stali u drzewa i patrzą do góry.  
 Orzeł swe gniazdo ścisnął w silne szpony  
 I z dzieckiem razem u stóp wodza złożył.  
 Spojrzeli, krzykną zdziwieni rycerze.  
 Śpi dziecię w gnieździe pod orłów skrzydłami.  
 Kuuigas Witeu do niego się zbliża,  
 Patrzy na cudo, i orla siwego,

Jak Bóstwo, wita, uderzywszy czołem.  
 Ptak głos radosny ostatni wydaje,  
 Wzleciał, nie ptakiem—rycerz to na koniu  
 Złotemi skrzydły pędzi wschodnią drogą;  
 Z gwiazdą na czole i gwiazdą na piersi,  
 Z białym na ręku sokołem, z ogary,  
 Na Anafielas odważny się wspina.  
 Za nim tuż tęskny ducli orlicy leci;  
 Spogląda na wschód, to na dziecię swoje,  
 To znów na niego, dzieląc się na dwoje.  
 Znikli. A chłopię w gnieździe się obudzi,  
 Z strachem pogląda na stojących ludzi,  
 Wyciąga ręce za matką orlicą.  
 Witen do piersi przytuła je swojej.  
 —\_Boski dar — rzece — radośnie przyjmuję.  
 Niechaj na Bogów służbę się wychowa.  
 W gnieździe znalezion, gniazdo da mu imię.  
 Lizdajkon <sup>1</sup> będziesz zwał się, orli synu!

1. *Lizdas* — (gniazdo; paliz w Strykowskiem |ioJanie o przodku  
 Radziwiłłów Leczdec, albo właściwffj Lizdajkonie.



PIOSNKI ROMUSSI.

Allegro. str. 256

Ho-la ptaszki, ho-la zwierzę chodźcie do mnie

1.

m	1 hi 7	moj pan uxi-w	f f f 1
		i ^ *	^ L J
a	m		L - t l - w

0	^ = f = 1								
<i>fi</i>	fiut- i <	-ja •	siu •	żyć h	mu:.	tt s	LA l	<ej stvi	ce _ce
	- f - f -	r - f						M	gHy

ty kwi.czo le siodlaj ko.nia nau.,

bobr ma ku ni szłyk na czo le je mu wieść się

dan., bobr ma ku ni szłyk na czo le je

f - V - f.

uill wieś\* się i.T.im.

4.

Allegretto.

str. 265.

2.

5.

»i«Ji Uli I ttnuo , jiiosnr ju-7c fv wam wesldmif-iiem ,

Ilill IttHo.

<sup>v - V:</sup> HKuirdi. Winę fer. sknouremHL. I\*. wir.Ls\_Uł kul k,,

*m m*

*-H-*

**i \* "**

I V tempo W

i<HUjirrv Ja cról Ło, to to jest?- co to jest .'

nl lilfilitiii. : f ' ' ? ' ? - ir f



Bię... dna, biedna dziewczyno, gdzie jest wia... nek

twój? zę... na las się zro... dzi... na,

zo... czu twoich łzy ply... ną, nie wró... cisz już do

*in poco ritar:*  
do... mu, ni po... cieszać cię ko... mu

*a tempo.*  
te... raz tu taj dóm twój, te... raz tutaj dom

twój.

PIOSNKA HOMI SSY.

S 11. W .

Allegretto

3.

Oj po-le-ć ja da-le-ko, ho-mnie ser-ce

*pp* fine

Tam, 7u yó , lam zarzeŁą, czyjeś czary iluszę wJcksj

ritardando.

wnieznajo my ziemi kąt. a tempo.

